



NIE...ZNANE
WIERUSZOWSKIE OPOWIEŚCI

Grzegorz Szymański



2023

Spis treści

Czastary	5
Dziewięć trupów na kolejowej stacji	5
Biadaszki	7
Miejsce na szlaku tajemnic przeszłości.....	7
Szustry	9
Śmierć na leśnej drodze	9
Gąszcze	12
Siedem profesji Józefa G.	12
Ostrycharze.....	16
Cuwik i zimna wojna	16
Dąbie.....	18
Dom w cieniu dębu.....	18
Lututów	19
Krajobraz po zarazie	19
Galewice	22
Z Galewic na kresy	22
Chróscin	25
Bezdomny generał Włodzimierz Poznanski.....	25
Głaz	27
Od kamienia twardszy	27
Gola	30
Swoim własnym kosztem	30
Kuźnica Skakawska	32
Tragedia rodziny Gorzaków	32
Brzózki	34
Duchy leśne i domowe	34
Gobelki	37
Mostek nad potokiem	37
Wieruszów	39
Spacer w przeszłość.....	39
Węglewice	41
Młoda, śliczna dziewczyna.....	41
Siwy Jan	43
Kacoperz w mrowisku.....	43
Okoń	45

Boża Męka w miejscu ustronnym.....	45
Przybyłów	47
Na Bąku.....	47
Rybka	49
Katownia w cieniu sosen	49
Wieruszów Podzamcze.....	50
Wilhelmsbruck Banhoff	50
Ostrówek	52
Romantyczne ruiny świetlanej „Przyszłości”	52
Wieruszów	54
Stanisław Żółtowski – malarz Wieruszowski	54
Piaski k. Bolesławca	56
Otwarta księga przeszłości	56
Łubnice	58
Pożegnanie z Marianną	58
Przybyłów	60
Polskę za Matkę wybrali... ..	60
Mieczków.....	62
Brzoza na ruinach	62
Węglewice	64
Pokój jego prochom	64
Moluch.....	66
Ślady, tropy, cienie... ..	66
Ostrówek	68
Uwięziony strażnik mostu	68
Wieruszów	70
Nie dzielą ich mury	70
Krupka	73
Muzyka i stary młyn.....	73
Biadaszki	76
Skrzypce zacczarowane.....	76
Nawrotów.....	79
Miejsce chlebem pachnące	79
Biadaszki	80
Postrach ormowców i pepeerowców.....	80
Pamiętnik znaleziony na śmietniku	82

Parcice	86
Dwie trumny i klątwa zabójczej legendy	86
Legenda o Elżbiecie, babce króla Stasia	86
Nocnik pana hrabiego.....	86
Pan Samochodzik na salonach.....	87
Zabójcza klątwa legendy.....	87
Krupka	88
Polityka i stary młyn	88
Konaty.....	90
Z wiejskiej szkoły do Biblioteki Kongresu USA.....	90
Bocian	92
Ptaki czarownika.....	92
Grądy	95
Rezerwat nie tylko przyrodniczy	95
Siedliska	97
Niedzielne spotkanie z Rysiem	97
Brzózki	98
Krzyże na rozdrożach.....	98
Rybka	102
Królewskie początki i chłopskie pogrzeby	102
Teklinów	107
Samotnik z Teklinowa.....	107
Wójcin.....	109
Hiszpańska narzeczona.....	109
Osiek	111
Zginęła cała rodzina.....	111
Biadaszki	113
Dusze pokutujące i skarb pod krzyżem	113
Gąszcze	116
Skrzydła pośród zbóż.....	116
Sokolniki	118
Olimpijczyk ze starego pałacu	118
Ostrówek	120
Przypadek księdza Sokoła.....	120
Biadaszki	123
Byłem tu tylko gościem	123

Węglewice	126
Brzegami Węglewskiej Strugi	126
Cieszęcin	128
Bohaterowie powstańczej legendy	128
Teklinów	130
Śmierć w Charlottenburgu	130
Gąszcze	133
Toborek	133
Czastary	135
Trzy razy do Czastar	135
Pięciokrotne morderstwo na plebanii	137
Bocian	139
Drugie życie Pelagii Chrupały	139
Walichnowy	141
Klasycyzm i śmieć w płomieniach	141
Lututów	143
Do końca wierny Ojczyźnie	143
Brzózki	145
Wiktoria znad Węglewskiej Strugi	145
Pędziwiatry	147
Willa na skarpie	147
Biadaszki	148
Czas zatrzymany	148
Żelazo	150
Wyprawa do miejsc zastygłych	150
Bibliografia	153

Czastary

Dziewięć trupów na kolejowej stacji

Stacja kolejowa Czastary. Malutka, senna stacyjka, zagubiona gdzieś przy torach pomiędzy Katowicami a Poznaniem. Sama stacyjka znajduje się w miejscowości Józefów, skąd do Czastar jest jeszcze spory kawałek drogi. Stacyjne budynki prawie nic się nie zmieniły od 1926 roku, kiedy to zbudowano tą linię kolejową wraz z całą towarzyszącą jej infrastrukturą. Cicho tu i spokojnie. Panujący w tym miejscu nastrój jest prawie taki sam, jak ten z „Pociągów pod specjalnym nadzorem” Bohumila Hrabala. Nic już tu nie przypomina wydarzeń sprzed 75 lat. Wydarzeń, które odbiły się szerokim echem nie tylko w Polsce ale i za granicą.

W dniu 17 lutego 1946 roku oddział powojennego polskiego podziemia antykomunistycznego dowodzony przez Wiktora Wójcika „Wilczka” zaatakował pociąg osobowy relacji Poznań – Katowice. W czasie akcji zastrzelono dziewięciu podróżujących nim żołnierzy sowieckich. Akcja w Czastarach miała być odpowiedzią na nasilającą się na przełomie 1945 i 1946 roku falę przestępstw, rozbojów i gwałtów na kobietach, jakich na terenie ówczesnego powiatu wieluńskiego dopuszczali się żołnierze sowieccy. O skali tych przestępstw może świadczyć chociażby fakt, że w końcu stycznia 1946 roku funkcjonariusze PUBP w Wieluniu aresztowali kilku żołnierzy radzieckich, którzy w pociągu relacji Poznań – Katowice wielokrotnie usiłowali dokonać gwałtów na podróżujących nim polskich kobietach. W ataku na pociąg udział wzięło około dwudziestu partyzantów, w tym dwie kobiety; Helena Motyka „Dziuńka” i Irena Tomaszewicz „Danka”. Ustalono, że punktem zbornym oddziału po zakończonej akcji będzie gospodarstwo Mikołaja Żurka w Wiewiórcie koło Bolesławca. Partyzanci po przybyciu do Czastar najpierw udali się na odbywającą się w miejscowej szkole zabawę taneczną. Po krótkim patriotycznym przemówieniu dowódcy oddziału, jeden z partyzantów zaintonował „Rotę”, którą podjęli wszyscy uczestnicy zabawy. Około drugiej w nocy dwudziestoosobowy oddział przybył na stację kolejową w Czastarach. Gdy na stacji zatrzymał się oczekiwany pociąg, partyzanci wtargnęli do wagonów i zaczęli sprawdzać przedziały, krzyżąc, aby wszyscy Rosjanie natychmiast opuścili skład. Doszło do szamotaniny. Wojskowych mówiących po rosyjsku rozstrzeliwano od razu. Ciała zastrzelonych żołnierzy partyzanci wyciągnęli na peron stacji. Przeszukano i częściowo zdjęto z nich mundury i buty. Z pociągu wyniesiono też bagaże należące do ofiar. Cała akcja trwała niespełna pół godziny. Na miejscu zastrzelono dziewięciu żołnierzy sowieckich a dwóch zostało ciężko rannych, z których jeden zmarł po przewiezieniu do szpitala w Kępnie. Po zakończonej akcji partyzanci bez strat dotarli na wcześniej ustalone miejsce zbiórki, gdzie oczekiwała ich reszta oddziału wraz z dowódcą – Stanisławem Pankiem „Rudym”, któremu „Wilczek” zdał dokładny raport z przeprowadzonej akcji. Następnie część członków oddziału wymaszerowała w kierunku Goli i przeszła na lewy brzeg Proсны. W Wiewiórcie pozostało jedynie kilku partyzantów. Na skutek donosu, jeszcze tej samej nocy siły bezpieczeństwa zorganizowały obławę. Nad ranem, 18 lutego 1946 roku zabudowania otoczyli ubowcy i żołnierze KBW. Partyzanci próbowali się bronić. Po około czterdziestu minutach wymiany ognia, w wyniku której zginął Wiktor Wójcik „Wilczek”, postanowili się poddać. Zatrzymani przez ubowców; Helena Motyka „Dziuńka”, Irena Tomaszewicz „Danka”, Edward Szemberski „Śmigus” i Roman Roszowski „Wiarus” zostali przewiezieni najpierw na posterunek MO w Bolesławcu

a następnie do więzienia we Wrocławiu. Po brutalnym śledztwie i torturach, skazani zostali na karę śmierci. Wyrok wykonano 18 lipca 1946 roku. Jedynie Irena Tomaszewicz, jako niepełnoletnia, skazana została na 15 lat pozbawienia wolności. W 1974 roku na budynku stacyjnym w Czastarach umieszczono tablicę z nazwiskami zastrzelonych żołnierzy sowieckich i mylną informacją, jakoby zostali oni zabici przez „bandę Rudego”. W rzeczywistości, Stanisław Panek „Rudy”, jeden z najbardziej znanych partyzantów polskiego powojennego podziemia antykomunistycznego w naszych okolicach, nie brał udziału w tej akcji ani też nigdy nie pojawił się na stacji Czastary. Pamiątkową tablicę umieszczono tam, jak głosił napis, z inicjatywy „społeczeństwa powiatu wierszowskiego”. Już w ćwierć wieku później, wierszowskie władze powiatowe stanowczo wypierały się jakiegokolwiek związku z treścią rzeczonyj tablicy, jak i z nią samą. Na podstawie ustawy dekomunizacyjnej została ona zdemontowana na polecenie administratora budynku kolejowego a następnie prawdopodobnie wywieziona do magazynów kolejowych w Zduńskiej Woli.



Biadaszki

Miejsce na szlaku tajemnic przeszłości...

To miejsce najlepiej odwiedzić w bezśnieżny, zimowy dzień lub wczesną wiosną, gdy liście, trawa i zielsko nie przesłaniają widoku. Najlepiej wybrać się tam rowerem, bo auta tak naprawdę nie ma gdzie zostawić. By tam trafić, trzeba jadać od strony Głazu w kierunku Biadaszek, po minięciu Bociana, tuż przed samym zakrętem asfaltowej drogi w lewo zjechać w słabo widoczną, zarośniętą leśną drogę, właściwie ścieżkę, po jej lewej stronie. Po kilkudziesięciu metrach należy skręcić w prawo i przedostać się przez las. W odpowiedniej porze roku, gdy nic nie przesłania widoków, po kilkunastu metrach dochodzimy do brzegu okrągłego, śródleśnego jeziorka. Mocno zamulone i częściowo zarośnięte tatarakiem wodne oczko nie jest naturalnym tworem przyrody. Jest pamiątką po wydarzeniach z czasów II Wojny Światowej. To lej po upadku w tym miejscu niemieckiego pocisku latającej bomby – V1. Latające bomby, znane pod nazwą V 1, produkowane były przez Niemców od 1942 roku. Odpalano je początkowo z poligonu w Penemunde na wyspie Uznam a po zbombardowaniu fabryki przez aliantów w 1943 roku z prowizorycznych wyrzutni na terenach okupowanej Polski. Bomby przeznaczone były przede wszystkim do bombardowania miast i obiektów na terenie Anglii. Napędzana silnikiem pulsacyjnym latająca bomba miała zasięg około 250 km i ważyła ponad dwie tony. Latała z prędkością około 650 km / h i przenosiła prawie tonę materiału wybuchowego. Latem 1943 roku Niemcy przeprowadzili szereg prób i testów owej broni a poligonem doświadczalnym były okolice Lututowa i Galewic. Bomby spadły w pobliżu kościoła w Lututowie oraz właśnie tu; w pobliżu Biadaszek w gminie Galewice. Jedna z nich upadła i eksplodowała na polach pomiędzy Bocianem a Głazem. Przed kilku laty lej po jej wybuchu został zasypany a miejsce jest teraz zwykłym polem uprawnym. Druga spadła na skraju lasu w pobliżu Biadaszek i ślady eksplozji tego pocisku możemy oglądać do dziś. Wybuch bomby wyrwał kilkumetrowej głębokości lej o regularnym, okrągłym kształcie i średnicy około trzydziestu metrów. Na jego krawędziach do dziś doskonale widać wał ziemi wyrzucony siłą eksplozji. Po upadku i eksplozji tych pocisków niemieckie specjalne jednostki inżynieryjne otaczały miejsce wybuchu w celu pozbierania wszystkich odłamków i elementów latającej bomby. Projekt był objęty tajemnicą wojskową i wymagał odpowiednich zabezpieczeń. Dlatego też bardzo trudno tu znaleźć jakikolwiek większy element latającego pocisku, który eksplodował w tym miejscu przed prawie osiemdziesięciu laty. To trudne dziś do znalezienia miejsce jest jednym z licznych świadków historii w naszych okolicach i ciekawym punktem na jeszcze nieodkrytych szlakach tajemnic przeszłości.



Szustry

Śmierć na leśnej drodze

Bezpowrotnie minęły już czasy rozsianych po lasach romantycznych gajówek i leśniczówek, z których to urzędujący leśniczy wyruszał z flintą do lasu by ściagać kłusowników i złodziei drewna. Jednak przed stu laty, a także w bliższych nam czasach, sprawy przedstawiały się zupełnie inaczej, a praca leśnika nie należała do najbezpieczniejszych. Przy rozstaju leśnej drogi prowadzącej z leśniczówki Szustry przez Ostrycharze i dalej do Lututowa stoi wysoki, drewniany krzyż z metalową tabliczką. Umieszczony tam napis informuje dziś już nielicznych przechodniów, że postawiono go w tym miejscu na pamiątkę tragicznej śmierci leśniczego Emila Boneckiego i jego małżonki, którzy zginęli w tym miejscu dokładnie przed stu laty. Emil Bonecki objął posadę leśniczego Leśnictwa Lututów w Nadleśnictwie Wieluń krótko po odzyskaniu niepodległości przez Polskę. Mogło to być około 1919 lub 1920 roku. Wraz z małżonką i trójką dzieci zamieszkał w leśniczówce Szustry. W tych powojennych czasach przed leśniczymi państwowych lasów stało niełatwe zadanie utrzymania porządku i zabezpieczenia lasów przed nadmierną i niekontrolowaną eksploatacją i dewastacją. Według opinii zwierzchników i pozostałych pracowników służby leśnej, leśniczy Emil Bonecki był człowiekiem pod względem służbowym ściśle trzymającym się przepisów i strzegącym sumiennie powierzonego mu dobra. W dniu 8 sierpnia 1921 roku leśniczy Bonecki z małżonką i gajowym Ignacym Maślakiem udali się do Lututowa by zakupić tam sprzęt niezbędny do planowanego żywicowania sosnowego lasu. Podróżowali bryczką. Powoził gajowy Maślak. Gdy dojechali już na skraj lasu w pobliżu pierwszych zabudowań wsi Ostrycharze, zatrzymali ich dwaj zamaskowani i uzbrojeni mężczyźni. Strzałami z rewolwerów zabili leśniczego Boneckiego i jego żonę. Woźnica, gajowy Ignacy Maślak, jak podaje ówczesny raport policyjny, „wyprosił się od śmierci”. Zabójcy, po zrewidowaniu ofiar, skradli przewożone przez Boneckiego pieniądze na zakup sprzętu oraz pozostałe wartościowe przedmioty w postaci zegarków i biżuterii. Następnie, zabrawszy bryczkę, oddalili się w nieznanym kierunku, pozostawiając ciała zamordowanych i zszokowanego gajowego na leśnej drodze. Wszystkie okoliczności tej tragedii wskazywały na to, że było to typowe morderstwo na zlecenie. W wyniku podjętego śledztwa rychło aresztowano kilku mieszkańców gminy z terenu gminy Lututów i Galewice, podejrzanych o związek z tą zbrodnią. Dalsze dochodzenie wykazało, że zleceniodawcą tego okrutnego podwójnego morderstwa był dość zamożny mieszkaniec gminy Lututów a jednocześnie ławnik ówczesnego Sądu Pokoju w Lututowie. Zamordowanie rodziny Boneckich miało być zemstą za nałożoną przez leśniczego Emila Boneckiego na owego ławnika grzywnę za, jak to podano w protokółach przesłuchań, „przekroczenia leśne”. Owe „przekroczenia” zapewne dotyczyły wycinki i handlu drewnem z państwowego lasu bez wymaganych zezwoleń i opłat. Dalsze śledztwo wykazało, że także inni funkcjonariusze służby leśnej z terenu gminy Lututów otrzymywali pogroźki od wyżej wymienionego. Śledztwo w tej sprawie trwało dość długo. Podejrzani o zlecenie i dokonanie tego podwójnego zabójstwa, broniąc się przed karą, kierowali podejrzenia na szereg innych osób, zupełnie ze sprawą nie związanych. Wśród takich znalazł się, między innymi, młynarz ze wsi Konaty w gminie Galewice – Andrzej Konat, rzekomo posądzany wcześniej przez leśniczego Boneckiego o kłusownictwo.

Dziś, po upływie nieomal wieku od tych tragicznych wydarzeń trudno już ustalić, kogo i w jakim wymiarze skazano za to podwójne morderstwo. Małżonków Boneckich pochowano we wspólnej mogile na cmentarzu parafialnym w Walichnowach, bo do tej parafii należała wówczas leśna osada w Szustrach. Tragedia rodziny Boneckich wstrząsnęła umysłami spokojnych okolicznych mieszkańców, oraz spowodowała bolesne przygnębienie wśród licznego grona służby leśnej, wiernie stojącej na straży powierzonego im skarbu narodowego. O zbrodni w Szustrach obszernie rozpisywano się nie tylko w lokalnej prasie. W numerze czwartym kwartalnika „Las Polski” z 1921 roku informację o tych tragicznych wydarzeniach zamieszczono na pierwszych stronach tego branżowego periodyku. Z jej treści wynika, że trójka osieroconych dzieci Boneckich w wieku 8, 6 i 2 lat przygarnięta została przez krewną zamordowanego leśniczego zamieszkałą w Przemyślu. Polscy leśnicy nie zapomnieli o rodzinie zamordowanych. W jednym z kolejnych numerów „Lasu Polskiego” z grudnia 1925 roku znaleźć można listę osób, które wpłaciły dobrowolne składki na „fundusz pomocy sierotom po śp. Emilu Boneckim”. Dziś o tych tragicznych wydarzeniach sprzed stu lat przypomina jedynie pamiątkowy krzyż. Do domu w którym mieszkali Boneccy; leśniczówki Szustry, jest stąd nie dalej niż półtora kilometra. W czasie nie tylko wakacyjnych wędrówek warto odwiedzić te malownicze zakątki będące dziś jedynymi świadkami dramatycznych wydarzeń, jakie rozegrały się tutaj dokładnie sto lat temu.





Gąszcze

Siedem profesji Józefa G.

Najczęściej prawie nie zauważamy, że jeszcze nie tak dawno żyli wśród nas ludzie po których pozostała nie tylko pamięć, ale także istniejące do dziś, materialne dzieła ich pracy czy pasji. Jedną z takich niezwykłych osób był Józef Gonera. Na świat przyszedł w 1908 roku w Gąszczach. Jego rodzicami byli Stanisław i Marianna z domu Dulas. Józef był najmłodszy z piątki rodzeństwa. Był jedynym chłopcem spośród piątki dzieci Stanisława i Marianny. Przed nim na świat przyszły cztery siostry: Maria (1894), Zofia (1900), Józefa (1902) i Franciszka (1904). Mimo że dzieciństwo Józefa przypadło na lata pierwszej wojny światowej, rodzina nie doznawała niedostatku. Gonerowie posiadali piętnastomorgowe gospodarstwo, przestronny dom i sad rodzący dorodne owoce od żniw do późnej jesieni. Józef dorastał otoczony miłością rodziców i starszych sióstr. Do szkoły, zwanej wówczas powszechną, uczęszczał w pobliskich Konatach. Od wczesnego dzieciństwa Józef posiadał wyjątkowy talent do stolarstwa i obróbki drewna w szczególności. Nie miał jednak nic z Antka, którego losy tak barwnie opisał Bolesław Prus w znanej noweli pod takim samym tytułem. Józef, będąc małym chłopcem, nie strugał zabawek, nie rzeźbił świątków czy drewnianych ptaszków, choć rzeźba w drewnie nie była mu obca. Jakbyśmy to dziś powiedzieli, Józef miał dar ciesielstwa. Posiadał tę Bożą iskrę, która nie wiadać skąd, obdarza niektórych samorodnym talentem i wyobraźnią tak wielką, że wprost rodzą się z gotowymi umiejętnościami w danej dziedzinie. Możliwe, że pewien wpływ mieli tu dwaj najstarsi bracia jego matki, którzy w drugiej połowie XIX wieku byli znanymi w szerokiej okolicy budowniczymi wodnych młynów i wiatraków. Pierwszym „dziełem” Józefa, wykonanym około 1919 roku był zbudowany w odpowiedniej skali model tartaku napędzanego kołem wodnym. Model składał się z szopy tartacznej, koła wodnego, mechanizmu przekładniowego i kilku figurek pracowników poruszających się żwawo przy obróbce grubej, sosnowej kłody. Z braku odpowiedniego strumyka Józef rozmontował model tartaku i przeniósł go nad kanał zasilający pobliski staw rybny. Tam spiętrzył wodę i złożył model na powrót, by przekonać się, czy będzie działać jak należy. Szybko jednak został przepędzony przez dzierżawcę stawu, któremu piętrzenie wody i przemyślna konstrukcja najwidoczniej nie przypadły do gustu. Model tartaku został przez niego zarekwirowany a Józef wrócił do domu. Bynajmniej nie zniechęciło go to do dalszej pracy w zawodzie cieśli i stolarza. Pod koniec lat dwudziestych minionego wieku, Józef, wówczas nawet nie dwudziestoletni, zaczął budować domy. Nigdy nie robił żadnych rysunków ani szkiców. Nie dokonywał skomplikowanych obliczeń i pomiarów. Pytany, skąd wie, jak będzie wyglądał zbudowany przez niego dom, odpowiadał, że widzi go w wyobraźni. Pozostaje tylko przyciąć odpowiednio belki i poskładać je w całość. Domy budowane przez Józefa w latach dwudziestych i trzydziestych XX wieku są dość charakterystyczne i jeszcze kilka z nich zachowało się do dziś w naszej okolicy. Taki dom składał się z dwóch izb: kuchni i pokoju. Do kuchni wchodziło się z dobudowanego z desek niewielkiego ganku. Dom posiadał, w zależności od potrzeb zamawiającego, trzy lub cztery okna. Miał drewnianą podłogę i zależnie od zasobności inwestora, pokryty był słomianą strzechą lub dachówką. Rzecz w tym, że Józef budował domy, jakbyśmy to dziś nazwali, „pod klucz”. Wznosił ściany, dach, komin. Wykonywał i zakładał podłogi oraz całą stolarkę drzwiową i okienną. Charakterystyczne dla jego stolarskiego kunsztu były okna, które, nie wiadomo dlaczego, nazywał „weneckimi”; podwójne, składające się z wielu precyzyjnie

dopasowanych elementów. Oprócz budynków mieszkalnych konstruował także stodoły i szopy. Sezon budowlany trwał od wczesnej wiosny do późnej jesieni. Zima była dla Józefa okresem pracy w przydomowym warsztacie stolarskim. Tam powstawały okna, drzwi, meble, drobny sprzęt kuchenny, taki jak drewniane łyżki, deski do krojenia, maselnice czy inne wyroby, przydatne w gospodarstwie. Wszystkie te rzeczy Józef wykonywał ręcznie, mając za narzędzia proste wiertła i zestaw stolarskich strugów, zwanych popularnie heblami. Józef budował także sanie; nieodzowny środek lokomocji w śnieżne i mroźne zimy, w czasach kiedy samochód był ogromną rzadkością a komunikacja publiczna w ogóle nie istniała. Zdarzały się także zamówienia specjalne. Do takich należało wykonanie bryczki czy obrotowej sceny dla amatorskiego teatru. Bryczki spisywały się świetnie przez wiele lat a spektakl odegrany na zbudowanej przez Józefa scenie na pewno cieszył się dużym uznaniem publiczności. Stawiając budynki, Józef przy obróbce drewna prawie wcale nie używał piły. Wszystkie belki obrabiał specjalnym ciesielskim toporem. Ten naturalny sposób obróbki drewna zapewniał budynkom trwałość przez wiele lat.

W 1932 roku Józef ożenił się ze Stanisławą Jankowską. Na świat kolejno przyszły ich dzieci: Władysław (1934), Stanisław (1936), Antoni (1939), Marianna (1941) i Stanisława urodzona w roku 1947. W czasie wojny i niemieckiej okupacji Józef wraz z całą swą rodziną został przez Niemców wyrzucony ze swego gospodarstwa i wywieziony na roboty przymusowe do okupowanej Francji. Początkowo pracował w zarządzanym przez Niemców gospodarstwie rolnym w okolicach Sedanu. Po wyzwoleniu Francji przez wojska aliantów w 1944 roku podjął pracę w tym samym gospodarstwie już jako pracownik najemny. Ciężkie lata okupacji z dała od Ojczyzny cała rodzina szczęśliwie przetrwała dzięki ofiarnej pomocy pracownicy francuskiego Czerwonego Krzyża Denis Breton, która robiła co tylko było w jej mocy, by pomóc tej polskiej rodzinie z czworgiem małych dzieci. W 1946 roku Józef wraz z rodziną szczęśliwie powrócił do Polski. Dom i gospodarstwo zastał rozgrabione i zrujnowane. Sytuacja w Polsce też diametralnie różniła się od tej przed wysiedleniem. Mimo wyjazdu z Francji Denis Breton nadal interesowała się losami Józefa i jego rodziny. Często pisała z Paryża, gdzie zamieszkała po wojnie, troszcząc się o los dzieci i pytając o możliwości pomocy. Jednak żaden z listów wysłanych do niej przez Józefa nie dotarł do adresatki, zatrzymany przez komunistyczną cenzurę. Po kilku latach tej jednostronnej korespondencji Denis przestała pisać. Była najlepszą, bezinteresowną przyjaciółką rodziny Józefa a zapewne i wielu innych Polaków, których wojenne losy rzuciły do Francji.

Po powrocie z wygnania do rodzinnych Gąszczy Józefowi nie brakowało pracy. Sąsiednie wsie, takie jak Biadaszki czy Ostrówek, zostały w pierwszych dniach września 1939 roku prawie doszczętnie spalone przez wkraczające do Polski wojska niemieckie. Józef budował od podstaw dom po domu, zagrodę po zagrodzie, wprost nie mogąc opędzić się od zamówień. W sumie wzniesionych przez niego budynków powstało po wojnie kilkadziesiąt, jeśli nie więcej. W czasach powojennej odbudowy powstawały już domy według nowego pomysłu Józefa. Były to obszerne, czteroizbowe budynki wzniesione na planie mocno zbliżonym do kwadratu. Charakteryzowały je znane już „weneckie” okna oraz ozdobne i szykowne wykończenie szczytów. Z czasem drewno coraz częściej zaczęła zastępować cegła lub żuźlowy kamień zwany „pustakiem”. Józef nadal jednak zajmował się stolarką budując dachy oraz produkując drewniane okna i drzwi. Józef miał także swoje pasje. Największą z nich

było pszczelarstwo. W najlepszych czasach pasieka Józefa składała się z czterech uli, co przy racjonalnej gospodarce w zupełności wystarczyło na zaspokojenie domowych potrzeb. Ule i cały sprzęt pasieczny Józef wykonał sam. Zdarzało się, że budował także ule na zamówienie okolicznych pszczelarzy. Gdyby wyliczyć wszystkie profesje cieśli Józefa, uzbierało by ich się sporo. By podołać zamówieniom i utrzymać rodzinę Józef musiał być stolarzem, szewcem, rymarzem, bednarzem, kołodziejem, stelmachem, nie licząc pszczelarstwa i rolnictwa. Nie obcy był mu także świat mody i elegancji. Przed wojną i długo po niej w dobrym tonie było spacerować z laską. Zmieniały się tylko wzory. Przed wojną Józef wyrabiał proste laski zakończone toczoną, okrągłą główką. Czasy powojenne przyniosły modę na laski z łukowato wygiętym zakończeniem, zwane często „mačkami”. Te ostatnie robiło się z drewna bukowego. Józef najpierw wynajdywał prostą gałąź bez sęków i narośli. Po jej przycięciu i wstępnym obrobieniu koniec laski zanurzało się w parowanych dla świń lub drobiu ziemniakach, by zmięknął. Po odpowiednim wygięciu, zawiązaniu sznurkiem i wystygnięciu laska nabierała pożądanego kształtu. Z taką właśnie laską najbardziej go zapamiętałem. Ubrany w ciemny garnitur i czarny melonik, z nieodłącznym papierosem w palcach prawej ręki miał w sobie coś z bohaterów powieści Franza Kafki. Józef Gonera zmarł po krótkiej chorobie latem 1983 roku. Spoczął na cmentarzu w Ostrówku. Pozostała po nim pamięć najbliższych oraz wiele domów w całej okolicy, z których niejeden do dziś służy z powodzeniem jego mieszkańcom.





Ostrycharze

Cuwik i zimna wojna

Czy w Ostrycharzach w dzisiejszej gminie Lututów przed wiekami produkowano i wypalano cegłę? Trudno powiedzieć. Nazwa wsi wskazuje na jej dość stare pochodzenie. Według „Słownika języka polskiego” pod redakcją Witolda Doroszewskiego – „strycharz”, to ceglarz, cegielnik – rzemieślnik wyrabiający cegły. Także przyrząd do wyrównywania gliny w formie, rodzaj deseczki, zwany był strychulcem. Nazwisko Ostrycharz także jest jeszcze dość często spotykane w tych okolicach. Niewiele też wnosi, zazwyczaj niezawodny, „Słownik geograficzny Królestwa Polskiego”. Można tam przeczytać, że Ostrycharze to kolonia w gminie i parafii Lututów, w 1880 roku składająca się z dziewięciu domów zamieszkałych przez 62 osoby. Pod tym względem od tamtych czasów do dziś niewiele się tu zmieniło. Najlepiej wybrać się tam na rowerową wycieczkę. Gdy zjedziemy z głównej drogi na skraju lasu w Augustynowie, dotrzemy do mostu na wąskiej jeszcze w tym miejscu i niepozornej Strudze Węglewskiej. Stąd można udać się w lewo, polną drogą przez rozległe łąki i pola wzdłuż rzeczki, lub pojechać nieco dalej, wybierając cienistą drogę wzdłuż krawędzi lasu. Każda z tych dróg zaprowadzi nas w końcu do urokliwego miejsca pośrodku rozległych pól i łąk pomiędzy Augustynowem, Ostrycharzami a Lututowem. Nad brzegiem strugi na niewielkim pagórku stoi prastara drewniana kapliczka z figurą św. Jana. Figurę świętego umieszczono tu w arkadowej kapliczce wyrzeźbionej z jednego dębowego pnia. Czterospadowy daszek zwieńczony jest cebulastą kopułą. Jak podają znawcy tematu, ten typ kapliczek był szczególnie rozpowszechniony na polskich ziemiach w pierwszych latach XIX wieku. Stan zachowania kapliczki w Ostrycharzach pozwala przypuszczać, że może ona stać tam już od około dwustu lat. Skąd wziął się święty Jan na tym oddalonym od sąsiednich wsi pustkowiu? Jakie okoliczności i intencje spowodowały, że umieszczono go tutaj, nad brzegiem Węglewskiej Strugi przed prawie dwoma wiekami? Ustne przekazy miejscowych mieszkańców sugerują, że niegdyś stał tu wodny młyn. Bardzo możliwe. Na starej mapie Królestwa Polskiego z 1839 roku w miejscu, gdzie dziś stoi jedynie kapliczka, zaznaczona jest osada o nazwie Cuwik. Możliwe, że zachowana do dziś kapliczka jest jedynym śladem po istniejącej tu niegdyś wiosce albo i młynie. Ta stojąca na niewielkim kopczyku kapliczka jest dziś jednym z nielicznych w naszych okolicach przykładów autentycznego artystycznego arcydzieła dawnej sztuki ludowej.

Z początkiem lat sześćdziesiątych minionego wieku miejscem tym nieoczekiwanie zainteresowało się Ludowe Wojsko Polskie. W myśl zimnowojennej doktryny wojennej ówczesnego tzw. Układu Warszawskiego, pola pomiędzy Augustynowem, Ostrycharzami i Młynkiem miały stać się miejscem koncentracji wojsk zmechanizowanych na wypadek planowanego w sztabach „bratnich armii” ataku na imperialistyczne siły NATO. W tym celu na przepływającej tamtędy Węglewskiej Strudze zbudowano kilka solidnych, żelbetonowych mostów, prowadzących zupełnie donikąd. Dwa z nich spięły wąskie koryto rzeki a trzeci, najsolidniejszy, przerzucono równoległe do Węglewskiej Strugi nad niewielkim, polnym strumykiem. I tak w jednym miejscu można dziś spotkać dwustuletnią kapliczkę o kruchej, ażurowej konstrukcji w towarzystwie przykładów solidnej, żelbetonowej inżynierii militarnej z nieco bliższych nam czasów.



Dąbie

Dom w cieniu dębu

Przepiętna gmina Galewice pełna jest ciekawych miejsc, nierzadko o zaskakującej i dramatycznej historii. Jednym z nich jest położona nieco na uboczu miejscowość Dąbie. Na końcu wsi do dziś zachowały się resztki parku z prastarym, pomnikowym dębem i uroczą, przydrożną figurą. Jeszcze pod koniec zeszłego wieku stał tu nadwątlony czasem dworek. Mimo że dziś trzeba nie lada wyobraźni, by uwierzyć, że kiedyś miejsce to tętniło całkiem innym życiem, warto przyjechać tu o każdej porze roku.

Budynek starego dworu w Dąbiu na zdjęciu z 1987 roku trzyma się jeszcze jako tako w całości. Majątek ziemski, coś ze sto mórg, jeszcze do połowy lat pięćdziesiątych ubiegłego stulecia pozostawał w rękach rodziny Bolkowskich. Pochodzący z Wieruszowa Bolkowscy, wcześniej właściciele okazałej kamienicy w Częstochowie, nabyli majątek w Dąbiu w dość niefortunnym czasie, bo prawie w przededniu wybuchu pierwszej wojny światowej. Dopiero gdy ucichła wojenna zawierucha i ukształtowały się granice odrodzonej ojczyzny, Bolkowscy sprowadzili się tu na stałe. We dworze zamieszkał Stanisław Bolkowski z żoną Jadwigą i dwoma synami: Krzysztofem i Adamem. Osiedli tu z nadzieją na spokojne życie na wsi. Względna stabilizacja nie trwała jednak zbyt długo! 10 sierpnia 1926 roku cała rodzina Bolkowskich udała się na przypadające na ten dzień uroczystości odpustowe do pobliskiego Ostrówka. Po powrocie na miejscu dworu zastali jedynie kupę zgliszczy. Pozbawieni dachu nad głową wyjechali do Częstochowy. Posiadali tam przecież kamienicę i to przy pryncypialnej częstochowskiej ulicy – Alejach Najświętszej Marii Panny. Na parterze otworzyli cukiernię. Po trzech latach przystąpili do odbudowy spalonego dworu. Szczupłość środków finansowych pozwoliła jedynie na wzniesienie ścian. Na pokrycie dachu i ukończenie budowy zabrakło już pieniędzy. Budynek przez cztery lata stał niczym nie zabezpieczony. Zmęczeni nie kończącymi się kłopotami finansowymi sprzedali część ziemi, zatrudnili zarządcę i znowu wyjechali do Częstochowy z mocnym postanowieniem, że do Dąbia przyjeżdżać będą jedynie na święta i wakacje. Zarządca energicznie wziął się do pracy. W szybkim czasie ukończono budowę domu, zagospodarowano park i wyremontowano budynki gospodarcze.

Wszystkie te inwestycje tak zadłużyły majątek, że po roku znowu trzeba było sprzedać część ziemi, by uzyskać środki na spłatę kredytu. Ledwo się z tym uporali, wybuchła kolejna wojna. Kapitan Stanisław Bolkowski poległ 4 września 1939 roku gdzieś pod Kłobuckiem. Jadwiga Bolkowska z dziećmi wyjechała do Warszawy, gdzie szczęśliwie przetrwała okupację i powstanie. Po wojnie Jadwiga Bolkowska z synami powróciła do Dąbia by uregulować raz na zawsze wszystkie sprawy związane z utrzymaniem tej tak kłopotliwej posiadłości. Sprzedała resztę ziemi, pozostawiając sobie jedynie zabudowania i ogród. Jej dwaj synowie nie mieli ani powołania ani zamiłowania do pracy na roli. Drzemały w nich dusze artystów. Adam Bolkowski był dość zdolnym malarzem. Jako absolwent wydziału Historii Sztuki Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu został pracownikiem Ministerstwa Kultury i Sztuki. Jego młodszy brat Krzysztof był wieloletnim członkiem zespołu pieśni i tańca „Śląsk”. Do Dąbia powracali jeszcze wielokrotnie, spędzając tu już ze swymi rodzinami wakacje i urlopy. W 1968 roku na skutek antysyjonistycznej nagonki obydwaj Bolkowscy wyemigrowali do Szwecji. Tak zakończyła się historia dworu pod starym dębem. Dziś tylko kilka starych drzew i krzewów

wyznacza to miejsce. Z upływem czasu niezamieszkały dwór popadł w całkowitą ruinę. W miejscu, gdzie niegdyś był dziedziniec powstało nowe gospodarstwo. Jak było tu przed laty, pamięta jedynie stary, rozłożysty dąb, który przetrwał wszystkie wydarzenia, dziejowe burze i ludzkie dramaty.



Lututów

Krajobraz po zarazie

Dziś już znalazłoby się niewiele, którym nazwa Młynek kojarzy się z konkretnym miejscem czy miejscowością. Nie ma tu nawet tablicy informacyjnej z tą nazwą. Nazwa Młynek powoli staje się nazwą zwyczajową, odchodzącą w zapomnienie, znaną tylko "miejscowym".

A Młynek to mała miejscowość w gminie Lututów położona przy drodze łączącej Łódź z Wrocławiem. Jest tu przystanek autobusowy, kilka domów i stary tartak. W pobliżu las i rozległe równiny pól. Mało kto, albo prawie nikt nie pamięta już o tym, że po prawej stronie drogi, jadąc w kierunku Sieradza i Łodzi, na niewielkim piaszczystym wzniesieniu znajdował się jeszcze do niedawna jeden z największych cmentarzy żydowskich w okolicach Wieruszowa. Tu od stuleci spoczywały doczesne szczątki wielu pokoleń mieszkających w pobliskim Lututowie wyznawców religii Mojżeszowej. Ileż było na terenie Rzeczypospolitej takich miasteczek, w których izraelici żyli w przeważającej liczbie - nikt dziś nie zliczy! Lututów nie był wśród nich wyjątkiem.

Przed drugą wojną światową na prawie dwa tysiące mieszkańców Lututowa, więcej niż połowa było pochodzenia żydowskiego. Ludność żydowska zajmowała się głównie handlem i rzemiosłem. Działały liczne organizacje zrzeszające członków żydowskiej społeczności miasteczka. Działał tu Związek Syjonistów, do którego aktywnych działaczy należeli: Jakub Rusek, Chaskiel Ajzner i Herszel Jakimowicz. Istniało żydowskie Stowarzyszenie Dobroczynne w skład zarządu którego wchodził: Icek Herszlikowicz, Aleksander Wolman i Szymon Berkowicz. Funkcjonowało tu także Żydowskie Towarzystwo Kulturalno-Oświatowe, którego prezesem był Szlama Lipanowicz, sekretarzem Moszek Laufer a skarbnikiem Szlama Frejlich.

O poziomie życia i znaczeniu społeczności żydowskiej w Lututowie świadczyć może chociażby zachowany do dziś budynek dziewiętnastowiecznej synagogi, już na pierwszy rzut oka imponujący swymi rozmiarami i rozmachem w stosunku do niskiej, parterowej zabudowy większej części miasteczka. Na bramach stojących wokół lututowskiego rynku kamieniczek jeszcze dziś można odnaleźć tabliczki z nazwiskami ich przedwojennych właścicieli, takich jak np. Josel i Majcher Kornowie. Mimo że po dawnych mieszkańcach nie pozostał już dziś nawet najmniejszy ślad, nadal można tu odczuć tę typową dla dawnych polsko - żydowskich miasteczek atmosferę i klimat. Wystarczy przez uchyloną bramę wejść na chwilę na którekolwiek z podwórek stojących w rynku kamieniczek, by odnieść wrażenie, że czas zatrzymał się tu przed wielu, wielu laty. Przechodząc obok murów starej synagogi wydaje nam się, że z jej wnętrza dobiegają dźwięki monotonnego śpiewu żydowskich kantorów.

Ale to tylko złudzenie, wywołane jedynie przez wyobraźnię. Nie ma już w Lututowie ciasnych żydowskich sklepików, wyszynków, składów i warsztatów. Z wnętrza synagogi przerobionej po wojnie na salę kinową a później na szwalnię nie dobiega już dziś żaden ludzki głos. Cała społeczność, cały naród zniknął, wyparował. Uleciał z dymem krematoryjnych kominów lub zasypyany został zimnym piaskiem zbiorowych mogił po równie zbiorowych egzekucjach. Ostatnia nadzieja na zatrzymanie śladów przeszłości to cmentarz. Ale cmentarza też już nie ma! Niemcy zlikwidowali żywych. Zglądzieli całą żydowską społeczność tego małego miasteczka. Prawie wszystkich Lututowskich żydów wywieziono do obozu zagłady w Chełmnie nad Nerem. Wojnę przeżyło zaledwie kilka osób.

Po likwidacji całej społeczności przyszła kolej na zacieranie śladów pamięci. Zaczęło się od niszczenia i wywożenia nagrobków z żydowskiego cmentarza. Czego nie udało się dokończyć Niemcom, z dobrym skutkiem udało się nam i to wiele lat po zakończeniu tej najtragiczniejszej w dziejach naszych obydwu - polskiego i żydowskiego - narodów wojny. Do dzieła niszczenia ostatnich śladów pamięci po lututowskich żydach przystąpiono pod koniec lat siedemdziesiątych minionego wieku. Resztkami potłuczonych nagrobków z żydowskiego cmentarza zasilono fundamenty na "budowach socjalizmu". Następnie na polecenie ówczesnych miejscowych władz gminnych, przy milczącej aprobachie społeczeństwa jak i miejscowego duchowieństwa teren dawnego cmentarza stał się kopalnią piasku i żwiru. Działalność wydobywczą na terenie cmentarza prowadzono jeszcze w początkach lat osiemdziesiątych minionego stulecia. Wykopane "przy okazji" czaszki i kości przez wiele lat walały się po przyległym lesie i przydrożnych rowach.

Dziś teren dawnego cmentarza żydowskiego w Młynku koło Lututowa to zarośnięte krzakami i pełne śmieci wyrobisko o stromych, osypujących się skarpach, na zboczach którego gdzieś walają się nikłe resztki piaskowcowych nagrobków i pokruszone cegły. Zewsząd uderza w uszy przedziwna cisza i martwota. Atmosfery przygnębienia dodają zionące pustką wyrwanych okien i drzwi ruiny, stojącej w sąsiedztwie dawnego cmentarza, starej chaty. Do tego miejsca, jak do tysiąca innych, gdzie zgładzono nawet pamięć po zamordowanym żydowskim narodzie pasują dziś jedynie słowa napisanej w 1947 roku przez Antoniego Słonimskiego "Elegii miasteczek żydowskich":

*„Znikły resztki ostatnie, żydowskie łachmany
Krew piaskiem przysypano, ślady uprzątnięto
I wapnem sinym czysto wybielono ściany
Jak po zarazie jakiejś lub na wielkie święto.”*



Galewice

Z Galewic na kresy

Nikt już dziś nie pamięta, kim tak naprawdę była Eliza, zwana przez najbliższych Nelly. Jej postać zachowała się dziś jedynie w mglistych wspomnieniach tych najstarszych, którzy coś tam słyszeli, coś zapamiętali z opowiadań swoich rodziców czy dziadków.

Pokolenie, które pamiętało początek minionego wieku dawno spoczęło snem wiecznym na wszystkich okolicznych cmentarzach. Wartości, jakimi żali ludzie sto, a może i więcej lat temu, dawno odeszły w zapomnienie, zdewaluowały się, zostały zaniechane. Porzucone wreszcie.

Nikt już nie pamięta, kim był Zygmunt, którego zasypana śmieciami i gruzem mogiła do dziś znajduje się gdzieś na lwowskim cmentarzu Orłąt – bohaterskich i bardzo młodych obrońców miasta i całej, odradzającej się po latach niewoli Ojczyzny.

Kto by tam dziś zawracał sobie głowę jakąś romantyczną i tragiczną historią jakichś dwojga młodych ludzi, którym dane było żyć tylko przez pierwszych kilkanaście lat minionego stulecia. Stulecia, które przyniosło tyle tragicznych wydarzeń w sali całych narodów, że los zaledwie dwojga osób zda się być przy tym nic nie znaczącym epizodem, nie wartym być może wspomnienia a tym bardziej zapamiętywania.

Kim więc była owa Nelly, wychowana w galewickim dworze w rodzinie Czapskich? Rodzinie, spokrewnionej z najlepszymi arystokratycznymi rodami całej nieomal Europy. Rodzinie, której przedstawiciele na zawsze wpisali się w historię, politykę i sztukę.

Nelly dorastała w galewickim dworze. Przyszła na świat w pierwszych latach minionego wieku. Nie wiadomo, kim byli jej rodzice. Na pewno nie nazywała się Czapska, lecz zupełnie inaczej. W tamtych czasach po polskich dworach wychowywał się cała masa przygarniętych dzieci krewnych czy znajomych. Także pokrzyżowane losy Polaków przełomu XIX i XX wieku niezmiernie często zmuszały całe rodziny do emigracji, ukrywania się, zmiany nazwisk, konspiracji. Przychodzące na świat dzieci często wychowywały się u bliższej czy dalszej rodziny, nie znając nawet swoich prawdziwych rodziców. Z takiego też zapewne świata pochodziła Nelly. Dziś nikt już nie pamięta nawet, jak wyglądała. Nie zachowała się żadna jej fotografia czy portret. Po prostu była i już jej nie ma, tak, jak nie ma zapomnianego już dziś świata, do którego należała. Nelly miała usposobienie artystyczne. Całymi dniami potrafiła rysować twarze przebywających we dworze czy okolicznych dzieci. Spotykano ją często w różnych zakątkach dworskiego parku jak przenosiła na papier stare lipy, na których liściach i pniach zmieniające się ciągle wraz z przemieszczającym się słońcem refleksy migotały i tańczyły cała gamą cieni i odcieni.

W galewickim dworze wakacje rokrocznie spędzał Zygmunt. Był dalekim krewnym Czapskich, mieszkającym we Lwowie. Był studentem Politechniki Lwowskiej. Niezwykle uzdolniony, pisał wiersze, dobrze malował, świetnie grał na fortepianie. Podczas którychś z kolei wakacji spędzanych w galewickim dworze poznał Nelly. Dwoje młodych ludzi połączyła miłość od pierwszego wejrzenia, taka, o jakiej dziś można przeczytać jedynie w starych romansach lub dziewiętnastowiecznych powieściach. Połączyły ich wspólne zainteresowania sztuką, muzyką, malarstwem. Gdy tylko było im dane przebywać razem, całymi godzinami

przesiadali w okalającym galewicki dwór parku a szczególnie w położonej na jego skraju altance, gdzie zapewne przyrzekli sobie dożgonna miłość.

Wieczorami grali na fortepianie melodie patriotycznych pieśni, które rozbrzmiewały wówczas w każdym polskim domu.

Gdy 1 listopada 1918 roku rozpoczęły się walki o Lwów, Zygmunt wraz ze swym starszym bratem, mimo prośb rodziców, uciekł z domu, by bronić swego ukochanego miasta przed Ukraińcami. O takich jak Zygmunt „orłętach” pisał Marian Hemar w jednym ze swych wierszy:

*Matka płakała: Czyś ty zwariował?
Ojciec się gniewał: Czyś ty się "wścik"?
Zamknął go w domu. Czapkę mu schował,
Kolega gwizdnął i - chłopiec znikł...*

*Kto go tak uczył? Kto go tak skusił?
Jaka muzyka? - Do jakich słów?
Kto go opętał? - Kto go przymusił?
Żeby on zginął - za co? - za Lwów!!!*

*Kto mu wyszeptał słowa nadziei,
Że on na zawsze, na wszystkie dni
Do polskiej mapy ten Lwów przyklei
Gumą arabską - kropelką krwi!*

Tak też się stało. Zygmunt poległ w pierwszych dniach obrony miasta, trafiony ukraińską kulą. Jak wielu mu podobnych, pochowany został na lwowskim cmentarzu, który później nazwano Cmentarzem Orłąt.

Na drugiej najsłynniejszej lwowskiej nekropolii – cmentarzu Łyczakowskim – spoczęła niebawem Nelly. Bezskutecznie oczekiwała w galewickim dworze na jakąkolwiek wiadomość od Zygmunta. Gdy tylko do Galewic dotarła wieść, że Ukraińcy zostali wyparci z miasta, Nelly udała się na poszukiwanie swego ukochanego. Po uciążliwej i pełnej przygód podróży dotarła do Lwowa, gdzie po wielu trudach odnalazła wreszcie mogiłę Zygmunta.

Rankiem następnego dnia znaleziono ją martwą obok jego grobu. Popęłała samobójstwo zażywając dużą ilość środków nasennych.

Życie we Lwowie i w galewickim dworze toczyło się dalej. O wielkiej i tragicznej miłości Nelly i Zygmunta szybko zapomniano. Tym szybciej, że ona była tylko biedną wychowanką a on zwykłym studentem, jakich setki poległo w czasie bohaterskiej obrony Lwowa – tego jednego z najpiękniejszych polskich miast. Przyszły kolejne wydarzenia, kolejne dziejowe burze i zawieruchy. Postać Nelly rozmyła się w ludzkiej pamięci jak lustrzane odbicie w falach zmaconej wody.

Ktoś tam wspominał ja po latach, jako panienkę ze dworu, która spacerowała po polach, zbierała kwiaty, malowała jakieś pejzaże i później otruła się chyba gdzieś, wyjechawszy na kresy. I tak romantyczna miłość połączyła na zawsze wschodnie i zachodnie krańce naszej Ojczyzny, jak przysięga na śmierć i życie, którą w altance galewickiego parku złożyli sobie Nelly i Zygmunt.

Dzisiaj próżno szukać ich mogił. Romantyczne alejki galewickiego parku zarosły trawą i krzewami. Po altance, w której przyrzekali sobie dożgonną miłość także nie ma już dziś najmniejszego śladu. Ktoś może powiedzieć dzisiaj, że Nelly i Zygmunt nigdy nie istnieli i może nawet nie mieli prawa istnieć. Cóż jednak wart byłby świat bez żadnych uczuć i chociażby cienia pamięci o tych, którzy żyli, kochali i cierpieli tu przed nami?



Chróścín

Bezdomny generał Włodzimierz Poznanski

Losy generała wojsk rosyjskich, Włodzimierza Poznanskiego, którego grób znajduje się do dziś na starym cmentarzu w podbolesławieckich Piaskach, są kolejnym dowodem na to, że historia to nie wyłącznie daty bitew i nazwiska poszczególnych wodzów czy monarchów. Historię tworzą zwykli ludzie, będący na przestrzeni dziejów świadkami i uczestnikami wydarzeń opisywanych w pamiętnikach, książkach, czy też podawanych w szkolnych podręcznikach.

W chróscińskim pałacu Łopuchinów generał Poznanski żył dostatnio i beztrosko. O wyznaczonych porach podawano do stołu, służący stawiał samowar a ordynans czyścił garderobę i buty. Spacerem udawano się na nabożeństwo do pobliskiej cerkwi a dalsze przejażdżki odbywano lakierowanym powozem, zaprzężonym w dwójkę lub czwórkę koni. Jak podają dostępne źródła, generał był tu rezydentem. Możliwe, że pełnił jakąś funkcję w wojskowych strukturach tego rosyjsko – niemieckiego pogranicza, czego jednak dziś nie sposób się już dowiedzieć. W każdym bądź razie, w pałacu w Chróscinie, nazywany często zamkiem, koncentrowało się życie arystokratycznej elity rosyjskiej społeczności tych pogranicznych terenów. Pewnym jest tylko to, że generał mieszkał tu z całą swoją rodziną; żoną Elżbietą (Jelizawietą) i szwagierką Lidią Popową.

Na nadprośniańskim pograniczu przez ponad sto dwadzieścia lat żyły obok siebie i wzajemnie się przenikały polskie, rosyjskie, niemieckie i żydowskie żywioły. Mimo różnic, wszystkie te cztery nacje i kultury żyły zgodnie, bez wyraźnych antagonizmów czy konfliktów. Wszystko zmieniło się z chwilą wybuchu I Wojny Światowej w 1914 roku. Gdy wojska cesarza Wilhelma z impetem ruszyły na wschód, dotychczasowi sąsiedzi z obu stron Prusny stali się śmiertelnymi wrogami. Pałacowa sielanka generała skończyła się w jednej chwili. Gdyby jeszcze tego było mało, w Rosji wybuchła rewolucja bolszewicka i cały dotychczasowy świat carskiego imperium legł w gruzach. Rodzina Łopuchinów, właściciele chróscińskiego pałacu, bogata i ustosunkowana, znalazła schronienie u swych krewnych rozsiansych po całej Europie. Generał Poznanski w chwili zakończenia wojny w 1918 roku stał się wraz całą swoją rodziną człowiekiem bez domu i ojczyzny. Rosyjskie imperium przestało istnieć. Byłemu carskiemu wojskowemu nikt nie wypłacał już generalskiej emerytury. Pałac w Chróscinie, w którym spokojnie pomieszkiwał, stał się własnością skarbu państwa odrodzonej w 1918 roku Rzeczypospolitej. Do bolszewickiej Rosji też nie miał po co wracać. Generał i cała jego rodzina stali się w niepodległej Polsce bezdomnymi cudzoziemcami. Pomoc przyszła niespodziewanie i to z najmniej oczekiwanej strony. Starego generała wraz z jego małżonką i szwagierką przygarnął do swego domu Leon Krause z Mieleszyna. Krause był Niemcem, właścicielem sporego gospodarstwa, położonego po lewej stronie drogi, jadąc z Mieleszyna w kierunku Bolesławca.

Jeszcze kilkadziesiąt lat temu dobrze widoczne były ruiny zabudowań i pozostałości należącej do Leona Krausego cegielni. Generał Włodzimierz Poznanski mieszkał w jego domu przez dwanaście lat. Zmarł w 1930 roku. Pochowano go w prawosławnej części cmentarza w Piaskach koło Bolesławca. Nie wiadomo, kiedy zmarła jego żona Elżbieta i szwagierka Lidia

Popowa. Wszyscy troje spoczywają we wspólnej krypcie. Rosyjskojęzyczną tablicę na nagrobku, zawierającą szczegółowe informacje o zmarłych, zasłonięto współczesną, z treścią w języku polskim. Obok grobu generała i jego rodziny zachowało się jeszcze kilka nagrobków z misternie kutymi, prawosławnymi krzyżami. Co ciekawe, nagrobne krzyże wykonane zostały w zakładzie ślusarskim Piotra Webera w Bolesławcu, o czym informują umieszczone na ich ogrodzeniach tabliczki. Warto odwiedzić tę prastarą nekropolię pełną dowodów na zgodne współżycie mieszkańców obydwu brzegów Prosny, mimo dzielących ich przez wieki narodowych, językowych i wyznaniowych różnic.



Głaz

Od kamienia twardszy

Przy drodze łączącej Galewice z Biadaszkami, tuż nad Strugą Węglewską leży niewielka miejscowość Głaz, znana dziś z funkcjonującego tu od 1980 roku Domu Wczasów Dziecięcych. Ktoś kiedyś próbował mi tłumaczyć, że nazwa miejscowości pochodzi wprost od rosyjskiego słowa "głaz" czyli oko. Swą znajomość rzeczy mój rozmówca uzasadniał tym, że w okresie zaborów mieścił się tu jeden z największych w tym rejonie nadgranicznych garnizonów carskiej armii strzegącej pobliskiej granicy niemiecko - rosyjskiej. Miało to być "oko" na całą granicę. Tłumaczenie ze wszech miar logiczne, lecz mijające się zupełnie z prawdą historyczną i zachowanymi dokumentami. W drugim tomie wydanego w 1880 roku „Słownika geograficznego Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich” czytamy, że Głaz to należący do klucza węglewskiego folwark w powiecie wieluńskim, w gminie Galewice, parafii Cieszęcin. W 1827 roku było tu pięć domów i 40 mieszkańców. Głaz istniał więc dużo wcześniej, niż stał się siedzibą garnizonu rosyjskich pograniczników. Dopiero w kilka lat po upadku Powstania Styczniowego na części folwarcznych gruntów rosyjscy zaborcy wzniesli solidny budynek koszarowy oraz kilka domów, w których zamieszkała kadra oficerska wraz z rodzinami. Jak sięgam pamięcią, to stojące tu jeszcze w latach siedemdziesiątych minionego wieku domy wyglądały jakby żywcem przeniesione gdzieś spod Moskwy dziewiętnastowieczne rosyjskie dache z niewysokimi, płaskimi dachami i rozległymi tarasami na których to przy słonecznej pogodzie rozsiadały całe rosyjskie rodziny racząc się czajem z samowara i blinami. Rodziny rosyjskich oficerów z ich odmiennymi od naszych obyczajami i stylem życia doskonale wryły się w pamięć okolicznych mieszkańców, skoro jeszcze w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych minionego wieku ci, którzy pamiętali czasy zaborów wspominali ich swoistym, nie pozbawionym dobrodusznego humoru wierszykiem:

*„Czaj pili, popili się,
Bliny jedli, posrali się”*

Sama nazwa miejscowości pochodzi oczywiście od głazu, sporych rozmiarów polnego kamienia, który leżał niegdyś pod płotem okalającym koszary a dziś stoi przed głównym wejściem do budynku Domu Wczasów Dziecięcych, jakoby na potwierdzenie trafności nazwy nadanej przed wiekami tej niewielkiej miejscowości. Ktoś mógłby się zapytać, co może być szczególnie w zwykłym polnym kamieniu, że to on właśnie dał nazwę temu miejscu? Przecież czego jak czego, ale kamieni wszędzie jest pełno. Owszem. Jest. Ale nie w pobliżu Głazu. Równie niewiele można znaleźć ich w najbliższej okolicy. Temu uroczemu zakątkowi nie brakuje prawie niczego. Jest rzeka; Węglewska Struga o rozległej dolinie, pełna zakoli i meandrów. Są wyniosłe piaszczyste wzgórza i ciche doliny. Lasy i zagajniki. Bagna i moczary. Śródleśne jeziora i malownicze strumyki. Pola i łąki. Nie ma tylko jednego; urodzaju na polne kamienie, które w innych częściach naszego kraju są powszechnością a i często utrapieniem rolników. Gdy znajdziesz tu jakiś większy kamień albo gład – masz wyjątkowe szczęście. Mimo że natura nie poskąpiła tej ziemi prawie niczego, dając wspaniałe krajobrazy i wspaniałych ludzi - kamienie wydzielają oszczędnie, by nie powiedzieć – skąpo.

Rosjanie tak naprawdę zadomowili się w Głazie dopiero w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XIX wieku. Gdy wybuchła pierwsza wojna światowa ewakuowali się w pierwszych jej dniach na wschód. Pozostały po nich jedynie wspomnienia, nieliczne mogiły na starym węglewickim cmentarzu i koszarowe budynki.

W odrodzonej Polsce zrazu nie wiedziiano, co zrobić z pozostawionym przez Rosjan wojskowym obiektem i należącym do niego prawie stuhektarowym gospodarstwem rolnym. Głaz stał się własnością skarbu państwa, podobnie jak należący wcześniej do rosyjskiej rodziny Łopuchinów Chróscin. W połowie lat dwudziestych minionego wieku ulokowano tu Zakład Wychowawczo - Poprawczy dla chłopców. Szefem placówki został Marceł Dąbrowski – były inspektor więzienia na warszawskim Mokotowie. Realizowano tu program wychowania przez pracę, naukę i modlitwę. Kapelanem zakładu był przez jakiś czas ksiądz Bolesław Sokół z parafii w Ostrówku.

Marceł Dąbrowski postanowił związać swój los z Głazem na stałe. W 1936 roku na wysokiej skarpie Węglewskiej Strugi zbudował dla swej rodziny stojący tu do dziś dom. Dom ten, stoi o kilkadziesiąt metrów od zabudowań dawnych koszar. Znajduje się jednak na drugim brzegu Węglewskiej Strugi i już z tego tytułu przynależy do miejscowości o wdzięcznej nazwie Pędziwiatry.

We wrześniu 1939 roku wychowankowie zakładu, tak jak niegdyś Rosjanie, ewakuowali się wraz ze swymi opiekunami na wschód. Do Głazu wkroczyli Niemcy. W budynku koszar urządzili zrazu prowizoryczny obóz dla Żydów a następnie szpital. Gospodarstwem rolnym zarządzał niemiecki administrator a do pracy zatrudniano Polaków z okolicznych wsi. Zamieszkali na tych terenach nieliczni Niemcy otrzymali różne funkcje w okupacyjnej administracji. Jedną z takich osób był Franciszek Mencil, zatrudniony przez Niemców w administracji gospodarstwa rolnego w Głazie. Ożeniony się z Polką mieszkał przed wojną w pobliskim Przybyłowie gdzie wraz z żoną prowadził niewielkie gospodarstwo rolne. Doskonale poznał miejscowych ludzi i panujące tu stosunki. Świetnie mówił po polsku. Franciszek Mencil przez całą okupację, z narażeniem życia pomagał wszystkim potrzebującym. Ostrzegał mieszkańców przed kontrolami i akcjami okupanta. W tajemnicy przed swymi niemieckimi współpracownikami zaopatrywał co biedniejszych w żywność, wydawał "lewe" zaświadczenia o zatrudnieniu, dostarczał niedostępne dla Polaków recepty i lekarstwa, pożyczzał pieniądze. Po wyzwoleniu pozostał w Głazie. Nie miał się czego obawiać.

W styczniu 1945 roku do Głazu niespodziewanie powrócili rosyjscy żołnierze. Tym razem była to idąca na Berlin Armia Czerwona. W koszarowych budynkach zorganizowali obóz przejściowy dla niemieckich jeńców wojennych i niemieckich rodzin wypędzonych z Łodzi, zaś gospodarstwo rolne dokładnie ograbili z trzody, bydła i zapasów. Po kilku miesiącach obóz i jeńców przekazano władzom polskim a miejsce rosyjskich strażników zajęli zatrudnieni tu wcześniej przez Niemców w charakterze taniej siły roboczej Polacy. Po opuszczeniu Głazu przez niemieckich jeńców i więźniów, w drugiej połowie lat czterdziestych zeszłego wieku zorganizowano tu sanatorium dla chorych na gruźlicę. Następnie w 1952 roku uruchomiono czteroletnie Technikum Rolnicze przeniesione z Chróscina. Pierwszy egzamin dojrzałości, kiedy to absolwenci otrzymali tytuł agrotechnika, odbył się tu już w 1953 roku. Technikum Rolnicze w Głazie posiadało bardzo dobrą bazę do praktycznej nauki zawodu.

Przyszkolne gospodarstwo rolne miało sporo dobrej ziemi, rozległy sad i zupełnie dobre budynki gospodarskie. Przez cały okres istnienia szkoły rolniczej w Głazie dyrektorem placówki był Jerzy Krzewski. Warto przypomnieć nazwiska, nieżyjących już dziś nauczycieli ówczesnego Technikum Rolniczego. Przedmiotów zawodowych uczyli tu, między innymi: Leon Czupryński- ogólna uprawa roślin i chemia, Feliks Chyliński – maszynoznawstwo, Irena Chylińska – szczegółowa uprawa roślin, Ludwik Milewski – hodowla zwierząt. Przedmiotów ogólnokształcących uczyli; Monika Krzewska – matematyka, Janina Burnowicz i Czesław Siekaniec – język polski, Piotr Burnowicz – język rosyjski, Lucjan Felusiak – przysposobienie obronne. Kierownikiem przyszkolnego gospodarstwa rolnego był Józef Baran a ogrodnikiem – Stanisław Kołacha. W szkole prowadzono eksperymentalną hodowlę jedwabników oraz doświadczalną uprawę wielu innych mniej znanych roślin. W 1957 roku szkołę przeniesiono do miejscowości Bujny koło Piotrkowa Trybunalskiego, tworząc tam Zespół Szkół Rolniczych. Część kadry nauczycielskiej Technikum Rolniczego w Głazie znalazła pracę w Lututowie, gdzie istniało Technikum Weterynaryjne, przekształcone później w Technikum Rachunkowości Rolnej. Po opuszczeniu Głazu przez uczniów w budynkach szkoły otwarto ośrodek leczenia alkoholików, by następnie utworzyć tutaj Szpital dla Nerwowo i Psychiczenie Chorych. Szpital psychiatryczny istniał do 1977 roku. Następnie, po generalnym remoncie obiektów powstał tu Dom Wczasów Dziecięcych, którego pierwszym dyrektorem był Lech Baliński. Gospodarstwo rolne, częściowo rozparcelowane pod koniec lat dziewięćdziesiątych XX wieku, ma także nowego właściciela.

Mimo zmieniających się granic państwowych, władców, wojen, systemów ustrojowych, gospodarczych i organizacyjnych, Głaz ciągle tętni życiem i trwa na swoim miejscu, niejako na potwierdzenie swej nazwy, od kamienia twardszy.



Gola

Swoim własnym kosztem

Rozłożona malowniczo wzdłuż Proсны wieś Gola w gminie Bolesławiec jest ewenementem w skali regionu, a może nie tylko. W tej liczącej mniej niż dwustu mieszkańców miejscowości znajdują się aż dwie kaplice. Stara i nowa. Gola, mimo że administracyjnie należy do gminy Bolesławiec, od wieków przynależała do parafii w Wójcinie. Kaplica w Goli od momentu swego powstania była filialną dla wójcińskiego kościoła. Nie było by w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie to, że stara kaplica w Goli jest kaplicą prywatną, zbudowaną w 1899 roku z fundacji rodziny Mączków. Często w historii czytamy, że fundatorami kaplic, kościołów, zamków byli królowie, książęta, możnowładcy czy bogata arystokracja. Kaplicę w Goli pobudowali Mączkowie, osiadła tu z dziada – pradziada chłopska rodzina, od pokoleń uprawiająca nadprośniańską ziemię. By zrozumieć, co zainspirowało rodzinę Mączków do podjęcia trudu budowy tego niewielkiego kościółka, trzeba najpierw odwiedzić wójciński cmentarz. W najstarszej jego części stoi skromny, zadbany nagrobek pod którym spoczywają doczesne szczątki Konstancji Mączka. Konstancyi, jak informuje wyryty w piaskowcu napis. Z nagrobnej inskrypcji można się dowiedzieć, że Konstancja Mączka przeżyła lat 18 i umarła w roku 1895. Kim była ta zmarła u progu życia dziewczyna, spoczywająca na wieki w ciszy wójcińskiej nekropolii? Konstancja Mączka przysłała na świat w 1877 roku. Była córką Katarzyny i Wincentego. Często mówi się, że ktoś już urodził się z powołaniem. Powołani do stanu duchownego kochają Boga i tej miłości, prędzej czy później, poświęcają swoje życie. Są ludzie, którzy kochają ziemię. To powołanie każe im ciężko pracować i zmagać się z przeciwnościami natury, by siać, pielęgnować i zbierać plon ciężkiej pracy do końca swych dni. Takich powołań wyliczać by można bez końca. U podłoża każdego z nich tkwi to jedno, jedyne uczucie – uczucie miłości. Konstancja urodziła się z miłością do zwierząt. W dużym i zasobnym gospodarstwie jej rodziców zwierząt nigdy nie brakowało. Koty, psy, drób, krowy i wreszcie konie, były największą pasją Konstancji od najmłodszych lat. Gdyby żyła w dzisiejszych czasach, zapewne została by wziętym lekarzem weterynarii, doskonałym rolnikiem i hodowcą a może utytułowaną sportsmenką odnoszącą sukcesy w jeździectwie. Jej dzieciństwo i młodość pełne były tej naturalnej radości życia, tak charakterystycznej dla urodzonych i wychowanych na wsi, w otoczeniu przyrody i obdarzonych miłością rodziców dzieci. Mączkowie bardzo kochali swą córkę. Na atmosferę rodzinnego domu Konstancji składały się dwie podstawowe rzeczy; modlitwa i praca. Był to ten zapomniany już dziś, dziewiętnastowieczny, pozytywistyczny etos wytrwałej pracy i codziennego wysiłku połączony z prawdziwą miłością Boga i Ojczyzny, gdzie nie zapomniano o modlitwie na Anioł Pański i wspólnym wieczornym pacierzu nawet po najcięższym dniu chłopskiej harówki. Konstancja prawdopodobnie uczyła się w wójcińskiej szkole a także tam, w Wójcinie, przystąpiła do pierwszej Komunii Świętej. W rodzinnym domu czas wypełniała jej pomoc w gospodarstwie rodziców, a z czasem jeździecka pasja.

Konne wyprawy na nadprośniańskie łąki, do golskiego lasu, w okolice chróścińskiej cerkwi i dalej, stały się niemal codziennością. Jednak pewnego ciepłego, czerwcowego wieczoru 1895 roku do zagrody powrócił jedynie wierzchowiec. Zaniepokojeni rodzice natychmiast wszczęli poszukiwania. Wreszcie znaleziono Konstancję. Dziewczyna nie dawała

już znaków życia. Czy możemy sobie dziś wyobrazić rozpacz rodziców po stracie ukochanego dziecka? Co się wydarzyło? Czy spadła z konia i zabiła się na miejscu? Czy koń potknął się i przygniótł ją swym ciężarem? Czy stało się coś zupełnie innego? Zrozpaczeni rodzice pochowali Konstancję na wójcińskim cmentarzu. Zapewne piaszczysta jeszcze wówczas droga z Goli do Wójcina była ostatnią ziemską drogą Konstancji. Po tragicznej i niespodziewanej śmierci córki Wincenty i Katarzyna Mączkowie długo nie mogli sobie odpowiedzieć na pytanie; dlaczego? Dlaczego akurat ich dziecko Bóg zabrał do siebie w kwiecie wieku? Czy był to wypadek? Przypadek? Zrządzenie losu? Mimo że przybici stratą ukochanego dziecka, postanowili zrobić coś, co pozwoli im zachować pamięć o Konstancji a jednocześnie służyć będzie całej społeczności z takim oddaniem, jak wielkie było poświęcenie ich córki dla jej największej miłości; koni i radości przedwcześnie zgasłego życia. Część ich rodzinnego majątku, która w przyszłości miała stać się posagiem Konstancji przeznaczyli na budowę publicznej kaplicy, którą wzniesli na swym gruncie, pośrodku wsi, tuż przy drodze do Wójcina. Kaplicę zbudowano w modnym podówczas, neogotyckim stylu. Budowę i wyposażanie tej małej świątyni zakończono w 1899 roku. Na jednej z jej wewnętrznych ścian umieszczona została tablica fundacyjna z następującym napisem: „Wincenty i Katarzyna Mączka. 1899. Swoim własnym kosztem”. Od tego też roku prywatna kaplica w Goli stała się kaplicą filialną dla parafii w Wójcinie. Za jej patrona obrano Wincentego a Paulo, imiennika ojca Konstancji.

Święty Wincenty był żyjącym na przełomie XVI i XVII wieku skromnym francuskim zakonikiem, założycielem zakonu szarytek. Po beatyfikacji w początkach XVIII stulecia ogłoszono go patronem wszystkich dzieł miłosierdzia w kościele katolickim. Jest także patronem zgromadzenia lazarystów, szarytek, kleru, organizacji charytatywnych, podrzutków, szpitali i więźniów. Kaplica w Goli przez ponad sto lat służyła Bogu i mieszkańcom tej miejscowości. Prawie pięć mieszkających tu pokoleń modliło się w niej w każdą niedzielę i święta. Z czasem wydała się być nieco przyciasna dla wciąż rozrastającej się wsi. W 2010 roku oddano tu do użytku nową, przestronną kaplicę pod wezwaniem Matki Boskiej Fatimskiej. Stara kaplica jest już dziś nieczynna i z biegiem lat powoli, acz nieubłaganie, niszczeje. Po żyjącej tu przed ponad stu laty Konstancji, oprócz kaplicy, pozostał jedynie grób na wójcińskim cmentarzu, wyblakłe zdjęcie i postrzępiony modlitewnik z podpisem jej matki. Na tym można by zakończyć tę smutną, acz budującą historię krótkiego życia Konstancji. Wypada jedynie zadać pytanie, kto dziś w obliczu osobistej tragedii jest w stanie zdobyć się na to, by stworzyć coś, co służyć będzie Bogu i kolejnym pokoleniom, „swoim własnym kosztem?”



Kuźnica Skakawska

Tragedia rodziny Gorzaków

Trzy kobiety: Julianna Gorzak i jej dwie kilkunastoletnie córki; Leokadia i Cecylia zginęły wczesnym rankiem 8 stycznia 1946 roku, zastrzelone przed domem sołtysa w Kuźnicy Skakawskiej koło Wieruszowa. Tragiczna śmierć całej rodziny Gorzaków była bodajże najdramatyczniejszym wydarzeniem w powojennych dziejach tej miejscowości. Te trzy kobiety z Kuźnicy Skakawskiej były ofiarami okrutnej, bratobójczej wojny, która toczyła się na naszych terenach w latach 1945 – 1955.

Pod koniec 1945 roku oddział najbardziej znanego partyzanta polskiego powojennego podziemia antykomunistycznego – Franciszka Olszówki, „Otta” dokonał dwóch spektakularnych akcji: zamachu na szefa Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa w Kępnie a następnie rozbicia siedziby kępińskiej ubecji. Po takiej porażce komuniści zmobilizowali poważne siły. Do Kępna skierowano 14. Pułk Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego z Poznania. Żołnierze i ubecy wyruszyli w teren, przeprowadzając pacyfikacje kilku miejscowości i aresztując szereg osób podejrzanych o współpracę z oddziałem Franciszka Olszówki. Pod koniec listopada 1945 roku posterunek MO w Podzamczu otrzymał donos, w którym poinformowano, iż „Otto” ze swym oddziałem przebywa w leśniczówce Dobrygość koło Kuźnicy Skakawskiej. Na miejsce natychmiast udała się pięćdziesięciosobowa grupa operacyjna połączonych sił UB, MO i KBW. Partyzanci zostali zupełnie zaskoczeni. W rozsypance wycofali się w głąb nadprośniańskich lasów, pozostawiając na miejscu spore zapasy amunicji, broni, konie i wozy z zaopatrzeniem. W trakcie chaotycznego odwrotu zginął jeden z partyzantów. Oddział został rozbity na dwie grupy. Część żołnierzy z Franciszkiem Olszówką na czele zatrzymała się we wsi Szpot. Druga część oddziału z zastępcą „Otta” Stanisławem Pankiem „Rudym” przedostała się na prawy brzeg Proсны i ukryła w zabudowaniach wsi Rzepisko koło Łubnic. Franciszek Olszówka, korzystając z sieci swych informatorów, szybko ustalił, kto doniósł organom bezpieczeństwa o pobycie jego żołnierzy w leśniczówce Dobrygość.

W dniu 8 stycznia 1946 roku „Otto” wraz jednym ze swych żołnierzy przybył do Kuźnicy Skakawskiej do domu rodziny Gorzaków. Z mieszkania wyprowadzili Juliannę Gorzak oraz jej córki; Leokadię i Cecylię. Wszystkie trzy kobiety zostały przez „Otta” zastrzelone przed domem sołtysa wsi. Odczytany im wyrok śmierci „Otto” polecił sołtysowi dostarczyć do siedziby kępińskiego UB. Po dokonanej egzekucji resztki oddziału „Otta” wymaszerowały ze Szpotu w kierunku Kępna.



Brzózki

Duchy leśne i domowe

Gdy byłem jeszcze dzieckiem, zawsze zastanawiało mnie, czy czas ma swoje granice. Nieco później przekonałem się, że będąc zjawiskiem ciągłym, nie powinien mieć ni początku, ni końca. Tylko człowiek wyznacza mu pewne umowne przestrzenie, ograniczając w swej naiwności jego ramy za pomocą wskazówek zegara, kalendarza, czy bardziej lub mniej istotnych dat, będących jedynie symbolicznym wyznacznikiem przemijania. Upływający czas nie ma granic i nikt i nic nie jest w stanie powstrzymać jego niedostrzegalnego, stałego ruchu. Wszystkie otaczające nas przedmioty, cała postrzegana rzeczywistość podlega widocznym przemianom. Przemijają dni, przemijają pory roku, przemija życie i przemijają pokolenia. Wszystko to rozgrywa się wokół nas i w odniesieniu do nas. Dzieje się w czasie, który dyskretnie nam towarzyszy a na którego bieg i bezustanny ruch nie mamy najmniejszego wpływu. Nie można go ani zatrzymać, ani zawrócić a każda kolejna zastana sytuacja nie ma właściwości stanu trwałego. Wobec tak ogromnej i niewyobrażalnej potęgi, jaką jest niedostrzegalny i nienamacalny upływ czasu jesteśmy bezsilni i bezradni.

W czasie, który minął i mija istnieją jedynie pogranicza. To da się zauważyć nawet wtedy, gdy nasza wrażliwość na otaczające zjawiska uległa stępieniu albo nawet wówczas, gdy nie chcemy jej zmusić do chociażby odrobiny wysiłku. Pogranicza, które zawsze stają się łącznikiem pomiędzy przeszłością, teraźniejszością a przyszłością dostrzega się dopiero po latach.

Wiem o tym dziś doskonale. Gdy najszcześniejsze lata dzieciństwa przyszło mi przeżyć w zapadłej wiosce na północnych krańcach wieruszowskiego powiatu, nie zdawałem sobie wówczas sprawy z przemijającego czasu. Po prostu czas, jako taki, dla mnie nie istniał. Ale to było tylko moim subiektywnym odczuciem. Aż do momentu, gdy w przeżywanym przez mnie czasie zaczęły pojawiać się pogranicza. Pierwszym, dającym się zauważyć pograniczem był moment elektryfikacji wsi. Doskonale pamiętam wszystkie związane z tym wydarzenia i sytuacje. Nie pamiętam zaś czasu „przed”. Cały czas „przed”, w którym żyłem, zaginął gdzieś w mrokach mojej dziecięcej pamięci, w cieniach, jakie rzucało po kątach światło naftowej lampy.

Tak samo na pograniczu czasu zginął i uleciał gdzieś w niepamięć mój rodzinny dom. Wystarczy tylko, że przymknę na chwilę oczy, by widzieć go znowu takim, jakim był w latach mojego dzieciństwa: wielki wiejski dom, kryty strzechą, z szeregiem pokoi, pomieszczeń, tajemniczych zakamarków i schowków. Dom zbudowano jeszcze w pierwszej połowie XIX stulecia. Do czasu, kiedy rozebrano go w osiemdziesiątych latach minionego wieku, przemieszczało w nim wiele pokoleń i zaszło wiele radosnych jak i tragicznych wydarzeń.

Mój dom dzieciństwa posiadał cały rząd okien, przez które można było patrzeć na północ i południe. Cieśla, który go budował, miał jakieś takie rozeznanie co do kanonów i zasad architektury. Dom postawił na osi wschód – zachód, z lekkim odchyleniem w kierunku południowo – zachodnim. Dzięki temu słoneczne światło do połowy dnia wpadało do wnętrza przez wszystkie okna południowej fasady a po południu, gdy słońce zaczynało się chylić ku

zachodowi, zaczynało zaglądać do nich od północy. W opracowaniach dotyczących historii architektury takie ustawienie domu określane jest dziś terminem; „na jedenastą godzinę”.

Nad wszystkim królował ogromny komin o kilkumetrowej średnicy u swej podstawy. Do jego wnętrza można było nie tylko zajrzeć, ale i wejść przez specjalne drzwi z obszernej sieni, zaopatrzone w solidny skobel. We wnętrzu komina można było się swobodnie poruszać a na dobrą sprawę zmieściło by się tam nawet łóżko. Pomieszczenie u podstawy komina wykorzystywano przez wiele lat jako wędzarnię, gdzie na osadzonych w przeciwległych ścianach drągach wędziły się szynki i pęta kiełbas. Z komina prowadziły wyloty do poszczególnych pomieszczeń i pokoi, w których stały piece służące do ich ogrzewania. Piece były przemyślnie zbudowane przez zduna z cegły i gliny, a ich powierzchnia uformowana była w taki sposób, że do złudzenia przypominała fakturę piecowych kafli.

Pomiędzy zajmującym prawie całą środkową część domu kominem a północną ścianą budynku znajdowało się wąskie pomieszczenie z jednym, niewielkim okienkiem o wybrukowanej cegłą podłodze. Pomieszczenie to spełniało szczególną rolę, zwłaszcza w okresie mroźnych i długich zim, jakich dziś już trudno uświadczyc. Dłuższa ściana tego pomieszczenia była jednocześnie ścianą kominową. W długie zimowe wieczory kobiety i dziewczęta, siedząc oparte o nagrzaną ścianę komina przedły tu wełnę na wrzecionach lub skubały pierze. Przez ile lat i pokoleń musiała trwać ta praca, skoro ceglana podłoga pełna była dołków wyżłobionych przez obracające się wrzeciona! Kto dziś potrafi przuć na wrzecionie, jak homerowska Penelopa? Kto dziś pamięta, jak takie wrzeciono naprawdę wyglądało?

Z północnych okien domu można było patrzeć na łąkę i ciągnące się aż po horyzont pola. Głównym pionowym akcentem horyzontu był wiatrak, którego śmigła obracały się miarowo wśród łanów zbóż i zielonych zagonów.

Południowe okna wychodziły na podwórze. Tuż pod nimi rozpościerał się kwiatowy ogród, przez który wiodła ścieżka do drzwi wejściowych. W ogrodzie królowały słoneczniki, malwy i żółte kwiatki bez nazwy. Połowę domu aż po szczyt dachu pokrywały zwoje winorośli tworząc rodzaj cienistej werandy na d oknami wschodniej jego części. W letnich miesiącach słoneczne światło wpadające do sypialni moich rodziców było niejako filtrowane przez ażurową zasłonę winogronowych liści i tańczyło kolorowymi refleksami po pomalowanych na niebiesko ścianach, przesączaając się jak przez witraże średniowiecznych katedr.

Dom miał także swoje tajemnice. Jedną z nich były przedziwne znaki wymalowane na jego frontowej ścianie w postaci symetrycznych, wyblakłych już za mojej pamięci, białych kół, tuż nad wejściowymi drzwiami. Jak opowiadano, znaki te były swoistym kodem rozpoznawczym informującym o ilości gotowych do zamążpójścia panien zamieszkujących ten dom jeszcze w końcu XIX wieku. Sądząc po ilości wymalowanych kół, panien tych było aż sześć. Czy wszystkie wyszły szczęśliwie za mąż i jak potoczyły się ich dalsze losy – o tym ani wtedy, ani dziś nikt już nie potrafił powiedzieć mi nic ciekawego.

Kolejna tajemnica dotyczyła największego pokoju tego ogromnego domu. Z uwagi na to, że dom był najobszerniejszy w całej okolicy, jego największy pokój wykorzystywano od czasu do czasu jako salę zebrań, spotkań i zabaw. Nie wiadomo już dokładnie kiedy, może przed pierwszą wojną światową a może wcześniej ktoś przypadkiem lub celowo pozbawił życia

jednego z uczestników karnawałowej zabawy. Zanim zjechała policja, ciało gdzieś usunięto i cichcem pochowano w nieznanym do dziś miejscu. Poszukiwania, śledztwo i dochodzenie nie dały żadnych rezultatów. Nie ustalono winnego ani też nigdy nie odnaleziono ciała ofiary.

Podobno duch nieboszczyka długo jeszcze straszył mieszkańców domu, wydając dziwne odgłosy po nocach, a zwłaszcza w dzień zaduszny. Wówczas to wszyscy domownicy skupiali się w jednym pokoju i przy świetle naftowej lampy starali się przeczekać tę noc, w którą to zjawia przypominała o swym istnieniu. Duchów w samym domu i najbliższej okolicy było znacznie więcej. Krążyły po polach, łąkach i okolicznych uroczyskach.

Po zatorfionych i słabo zmeliorowanych łąkach w pobliżu domu błąkał się duch geometry, który źle pomierzywszy działki które otrzymali okoliczni chłopci w momencie uwłaszczenia po powstaniu styczniowym, skazany został na wieczną tułaczkę po polach w postaci wędrującego płomyka przeskakującego z kretowiny na kretowinę. Dziś wiadomo już, że w ten sposób w letnie noce ulegały samoczynnemu spalaniu opary gromadzącego się pod powierzchnią ziemi błotnego gazu – metanu. Dla mieszkańców mojego domu na zawsze pozostał on jednak duchem przekupnego geometry. Kolejne duchy zamieszkiwały las i śródleśne uroczyska, na które składały się zarośla, śródleśne łąki i jeziorka otoczone gęstwiną olch.

Leśne duchy były najmniej groźne. Można je było spotkać podczas zbierania jagód, grzybów grabienia ściółki lub zbierania chrustu. Duchy leśne miały w sobie dużo złośliwego humoru. Zwłaszcza jeden, który występował pod postacią sporych rozmiarów szarego ptaka, potrafił sprowadzić odwiedzających las na prawdziwe manowce. Ptak ten, zwany popularnie „zwodzijossem”, udając zranionego w skrzydło przysiadł na pniu, wydając piskliwe głosy. Gdy ktoś zbliżył się w jego stronę, ptak zrywał się do lotu i nadal, pozorując kalectwo, oddalał się kilka kroków. I tak, krok po kroku potrafił wyprowadzić niczego nieświadomą ofiarę w największą gęstwinę i na najdziksze ostępy lasu, skąd trudno było wyjść a co dopiero odnaleźć drogę do domu. Ów duch leśny pod postacią ptaka był na tyle zmyślny, że na swe ofiary zawsze wybierał osoby samotnie przebywające w lesie. Wtedy sukces był murowany a nieszczęsny wędrowiec zwiedziony zawodem i dziwnym zachowaniem ptaka wracał do domu późną nocą, zmęczony do niemożliwości szukaniem powrotnej drogi.

W takim właśnie świecie stał mój rodzinny dom, którego już dawno nie ma, po którym nie pozostał nawet najmniejszy ślad, oprócz kilku starych owocowych drzew z przydomowego sadu. Cały ten świat pozostał tylko w mojej pamięci, poza granicą czasu, który już minął i nigdy nie wróci.



Grobelki

Mostek nad potokiem

By dojechać do wsi o nazwie Grobelki należy najpierw dotrzeć do Bidaszek – miejscowości położonej na północno - wschodnim krańcu gminy Galewice. Stąd kierujemy się polną drogą w stronę miejscowości Żelazo. Po przejechaniu około trzech kilometrów wśród malowniczych pól, lasków i piaszczystych wydm docieramy do ukrytych w lesie, pierwszych zabudowań Grobelek. Wieś cała, to dziś raptem trzy domy, z których przez okrągły rok zamieszkały jest tylko jeden. Panująca tu o każdej porze roku głucha cisza aż dzwoni w uszach.

Z zabudowaniami sąsiadują ciągnące się tu kilometrami lasy, oraz nieco bliżej – dość rozległe, porośnięte kępami olch bagnisko zwane Olszyną. Samo bagnisko Olszyna nie powstało w sposób naturalny, lecz jest efektem działalności człowieka. Niegdyś rozciągały się tu podmokłe łąki. Pod cienką warstwą darni natrafić można tu na głębokie pokłady torfu – jeszcze nie tak dawno podstawowego środka opałowego na naszej wsi. Kto był posiadaczem zasobnego w torf kawałka łąki – mógł uchodzić za szczęściarza. Nie tylko, że nie miał kłopotów z pozyskaniem tego nieco lepszego od drewna opału, to jeszcze mógł trochę zarobić, sprzedając torf tym, którzy takiego szczęścia nie mieli. Przez całe pokolenia w Olszynie wydobywano torf prawie na skalę przemysłową. Potorfowe doły z czasem napełniły się wodą, zarosły bagienną roślinnością i przekształciły się w trzęsawisko, pełne tataraku, nenufarów, ryb i wodnego ptactwa. Tak powstała Olszyna. Jak sama nazwa wskazuje, w Olszynie olcha jest drzewem wszechobecnym.

Warto w tym miejscu poświęcić kilka słów, temu jednemu z najczęściej spotykanych w tych stronach drzew. Olch jest drzewem podmokłych nizin, obrzeży jezior i trzęsawisk oraz nie zmeliorowanych łąk. Olcha przyrasta bardzo szybko. Chyba najszybciej ze wszystkich drzew naszej strefy klimatycznej. Drzewo to bywa także utrapieniem. Wycięte, daje natychmiast bujne odrosty od korzeni. Mimo to, olcha zawsze spełniała ważną rolę w życiu mieszkańców okolicznych wsi, nie tylko Grobelek. Olchowe drzewo, na nizinach i podmokłych łąkach spełniała niebagatelną rolę - wypompowuje z przesyconej wilgocią ziemi ogromne ilości wody. W czasach, gdy melioracja łąk i pól nie była jeszcze zjawiskiem powszechnym a pola uprawne formowano w tzw. zagony, niezastąpioną dla prawidłowej gospodarki wodnej w uprawnej glebie była olcha, którą spotkać można na każdym, bardziej podmokłym miejscu.

Znaczenie olchy doceniono już przed wiekami. W dawnych Niderlandach był taki obyczaj, że ojciec nowo narodzonej córki zobowiązany był do posadzenia pewnej liczby drzew olchowych, które w przyszłości stanowiły integralną część i podstawę posagu młodej panny. Z olchowego drzewa można było zrobić stół i łożo.

Dziś, naturalną kolejną rzeczą, w Olszynie przybywa olchowych drzew a ubywa otwartych oczek wodnych i zalewisk. Przyczyniła się do tego nie tylko planowa melioracja a także z roku na rok suchszy klimat. Przez Olszynę przepływa ciek wodny, kanał, przybierający miejscami postać śródlęśnej rzeczki. Biorąc swój początek gdzieś w głębi ciągnących się hen pod Lututów i Klonową lasów dociera do Olszyny. Rozległe bagnisko, przez które musi przesączyć się płynąca tym potokiem woda oczyszcza ją i filtruje. Tak oczyszczona płynie dalej, uregulowanym już kanałem przez łąki i pola, by po kilku kilometrach znów przepływać przez

rozległe łąki i pastwiska położone obok miejscowości o nazwie Bidadzki, a noszące także nazwę związaną z olchą - Olszynki.

Poziom wody w tym strumieniu - kanale uzależniony jest od pory roku, ale także od klimatycznych wahań i pogodowych anomalii. Bywa, że wiosenne wody nie mieszczą się w wąskim korycie wodnego cieku i rozlewają się szeroko na pola, łąki i pastwiska. Bywa i tak, że tylko gdzieś, na dnie stoją jeszcze niewielkie kałuże mętnej wody. W większości miejsc po dnie potoku można chodzić suchą stopą wśród wyrosłej tu przez lato trawy i zielska.

Wysoki drewniany most nad tym potokiem tuż przy zabudowaniach Grobelek bywa często niejako zawieszony w próżni nad wyschniętym do cna korytem i niewielką doliną tej kiedy indziej bystrej i pełnej wody rzeczki.

Nie wiadomo, kto i kiedy wsi o trzech zabudowaniach nadał nazwę Grobelek. Nie wiadomo także, od kiedy sąsiadujące z nią moczary, trzęsawiska i potorfowe doły zaczęto nazywać Olszyną. A może nic nie stoi na przeszkodzie, by płynący tędy ni to strumyk, ni kanał nazwać także Olszyną? Może nazwa ta utrwali się i pozostanie już tu na zawsze, tak jak inne, którymi nazwano okoliczne bagna, lasy, łąki i pola?

A nazw tych, znanych tylko miejscowym, jest tu bez liku. Rozległe łąki nazywane są Ługiem. Druga ich część, oddzielona od pierwszej pasmem piaszczystych wydm nazywana jest Dalszą. Ukryte w lesie bagienko, nie wiedzieć czemu, nazwano Łuzokiem. Większości tych nazw nie znajdzie się na żadnych mapach ani w żadnych spisach. Są nazwami miejscowymi, zwyczajowymi, pozwalającymi każdemu z żyjących tu od pokoleń na precyzyjne i bezbłędne określenie każdego miejsca i zakątka jego małej ojczyzny, tego całego "mikroświata" zamkniętego horyzontem lasów pełnych uroczysk i tajemniczych miejsc. Jednym z nich bez wątpienia są właśnie te trzy domy, które kiedyś, ktoś nazwał Grobelkami.



Wieruszów

Spacer w przeszłość

Spacer po najciekawszych miejscach Wieruszowa najlepiej rozpocząć od prehistorycznego grodziska w Wieruszowie – Podzamczu. Grodzisko położone jest w widłach rzeki Proсны i Niesobu, przy skrzyżowaniu drogi E - 8 z drogą do Opatowa. Owalny cypel, na obszarze którego zbudowano gród, od strony zachodniej i północnej stromo opada w kierunku rzeki Niesób. Od strony wschodniej otoczony jest przez dawniej zabagnione łąki pradoliny Proсны. Budowlę otaczał wał konstrukcji drewniano – ziemno - kamiennej o długości ponad 500 metrów, szerokości od 10 do 15 m i zachowanej do dziś wysokości około 4 metrów. Powierzchnia grodziska liczy około pięciu hektarów. Na podstawie badań ustalono, że powstało ono w okresie halsztackim (700 – 550 p.n.e.) i zostało wzniesione przez ludność kultury łużyckiej. Budowa warownego grodziska w tym okresie wiąże się z zagrożeniem najazdami scytyjskimi. Najazdy Scytów przebiegały w omawianym okresie wzdłuż funkcjonujących szlaków handlowych jako dróg najłatwiejszych do przebycia, ciągnących się wzdłuż cieków wodnych oraz łączących najbardziej rozwinięte pod względem ekonomicznym ośrodki.

Grodzisko, z uwagi na swe położenie spełniało oprócz funkcji obronnych również funkcję ośrodka handlowego, znajdującego się na trasie słynnego szlaku bursztynowego. Była to droga, którą aż do upadku Rzymu dokonywała się wymiana handlowa, przedmiotem której było z jednej strony żelazo, ozdoby i szkło, z drugiej zaś bursztyn oraz futra i zwierzęta. Najbardziej cenionym przez Rzymian był bursztyn pochodzący z bałtyckiego półwyspu Sambia. Handel bursztynem sambijskim koncentrował się począwszy od II w p.n.e. w Akwilei nad Adriatykiem, skąd poprzez Słowenię, Nizinę Węgierską, Bramę Morawską, dorzecze środkowej Proсны, ujście Neru do Warty i dalej wzdłuż Bzury, dochodził do Wisły, by jej prawym brzegiem, dotrzeć do Sambii. Szlak bursztynowy funkcjonował nieprzerwanie około 400 lat. O szlaku bursztynowym wspomina także żyjący w tym czasie słynny geograf i historyk rzymski Ptolemeusz Klaudiusz. Sporządził on mapę szlaku bursztynowego, na której umieścił dwie miejscowości położone na dzisiejszych ziemiach polskich. Jedną z nich była Calisia - dzisiejszy Kalisz, drugą zaś Arsonium.

Wyniki badań historyków wskazują z dużym prawdopodobieństwem, że wymienione przez Ptolemeusza Klaudiusza Arsonion to dzisiejszy Wieruszów. Kres wymiany handlowej, a tym samym zanik szlaku bursztynowego nastąpił w wyniku najazdu barbarzyńców na Imperium Rzymskie.



Węglewice

Młoda, śliczna dziewczyna...

„To była młoda, śliczna dziewczyna...”. Tak wspominają ci, którzy zapamiętali ją z czasów okupacji. Dla najbliższych na zawsze pozostała Helenką. Helena Karsznia z Węglewic; łączniczka Armii Krajowej, więźniarka niemieckiego obozu koncentracyjnego w Bergen – Belsen była jedną z tych niezliczonych milionów Polaków, którzy oddali swe młode życie za naszą Ojczyznę w czasie II Wojny Światowej. Urodziła się w 1921 roku w Węglewicach, gdzie jej rodzice prowadzili niewielkie gospodarstwo rolne. Tu też spędziła swe dzieciństwo i młodość. W Węglewicach zastał ją także wybuch wojny 1 września 1939 roku. W pierwszym dniu wojny dom rodziny Karszniów został spalony przez wkraczające wojska niemieckie. Wraz z nastaniem niemieckiej okupacji, rodzina Karszniów, oprócz Heleny i jej siostr; Janiny i Krystyny, została w 1942 roku przez okupantów wysiedlona i wywieziona na roboty przymusowe do Francji. Po wywiezieniu rodziny Helena zamieszkała w Teklinowie, gdzie podjęła pracę w zakładzie krawieckim, którego właścicielem był Leon Leszczyński. Leon Leszczyński, podoficer Wojska Polskiego, od 1941 roku działał w strukturach polskiego podziemia niepodległościowego. Jako żołnierz AK o pseudonimie „Wacek” był dowódcą grupy akowców o kryptonimie „Wierzba” na terenie Teklinowa, Jutrkowa i Nawrotowa. Jego oddział wchodził w skład kompanii AK Obwodu Kępińskiego „Reduta”. Jednym z podstawowych zadań żołnierzy z grupy „Wierzba” było przyjmowanie zrzutów alianckich i przygotowywanie lądowisk. Helena Karsznia, zaprzysiężona do Armii Krajowej, została łączniczką dowódcy grupy. Jak wynika z zachowanych zapisków i wspomnień, członkowie grupy AK „Wierzba” zostali zadenuncjowani przez jednego ze swych konspiracyjnych kolegów. Leona Leszczyńskiego i Helenę Karsznię aresztowano w Teklinowie w dniu 9 grudnia 1944 roku. W tym samym czasie aresztowania objęły wielu członków AK w okolicach Wieruszowa i Kępna. Początkowo aresztowanych umieszczono w więzieniu w Wieluniu, skąd po brutalnych przesłuchaniach przewiezieni zostali do więzienia w Ostrzeszowie. Tam oddzielono kobiety od mężczyzn. Helena trafiła stąd do obozu koncentracyjnego w Bergen – Belsen. Natomiast Leon Leszczyński został wywieziony do obozu koncentracyjnego w Gross – Rosen.

W pierwszych miesiącach ostatniego roku wojny w Bergen – Belsen więziono dziesiątki tysięcy osób zwiezionych tu z różnych obozów z terenów Niemiec i Polski. Głód, choroby, wycieńczenie, powodowały ogromną śmiertelność. Ogółem w Bergen – Belsen zmarło ponad 70 tysięcy więźniów. Obóz został wyzwolony 15 kwietnia 1945 przez 63. Pułk Artylerii Przeciwpancernej ppłk. Richarda Taylora z brytyjskiej 11. Dywizji Pancerniej. Mimo wielkich wysiłków, aby uratować tych, którzy przeżyli, do końca kwietnia zmarło 9000, a do końca czerwca jeszcze dalsze 4000 osób. Helena Karsznia, bohaterska łączniczka AK, doczekała dnia wyzwolenia. Tuż po oswobodzeniu więźniów alianci nagrali film o wyzwoleniu obozu, na którym jej siostra Janina rozpoznała ją wśród tysięcy uwolnionych. Nie powróciła jednak do domu. Z zachowanej dokumentacji obozowej wynika, że po wyzwoleniu przebywała w szpitalu zorganizowanym w budynkach byłych koszar wojskowych w pobliżu obozu. Tam zmarła na tyfus w dniu 8 czerwca 1945 roku. Została pochowana na terenie KL Bergen – Belsen na niewielkim cmentarzu, który istnieje tam do dziś. Jej konspiracyjny dowódca, Leon Leszczyński, także nie powrócił do domu. Umieszczony początkowo w obozie

koncentracyjnym Gross – Rosen, z początkiem stycznia 1945 roku, w obliczu radzieckiej ofensywy, opuścił obóz z jednym z licznych „transportów śmierci”. Przewożony z obozu do obozu, znalazł się w końcu w obozie koncentracyjnym w Mauthausen, gdzie zmarł z wycieńczenia 26 maja 1945 roku, kilkanaście dni po oswobodzeniu obozu przez wojska amerykańskie.



Siwy Jan

Kacoperz w mrowisku

Siwy Jan to jedna z tych wiosek, leśnych osad w naszej okolicy, która już dawno przestała istnieć. Żywot Siwego Jana zakończył się pod koniec lat siedemdziesiątych minionego wieku. Do Siwego Jana, a dziś już jedynie do miejsca, gdzie znajdowała się wioska o tej nazwie, prowadzi wiele dróg. Można tam dotrzeć od strony Lututowa, Popieliny, Przybyłowa, Żelaza, podlututowskich Piasek lub też Ostrówka bądź Rybki. Na mapie z 1936 roku dokładnie zaznaczono, że w Siwym Janie było kilka gospodarstw i leśniczówka. Ostatni opuszczony i zrujnowany dom stał tam jeszcze w połowie lat siedemdziesiątych minionego wieku, opierając się czasowi, niepogodzie i dewastacji. Dziś pozostały już tylko zarysy fundamentów, walające się gdzieniegdzie stare cegły, stara grusza i kilka usychających, wyniosłych jabłoni – jedyny ślad po zadbanym niegdyś, przydomowym sadzie. Nazwa tej śródleśnej osady zachwycała mnie od pierwszej chwili! Miejscowi, pytani o jej pochodzenie albo nic nie wiedzieli, albo też tłumaczyli, że zapewne przed wielu laty doszło do jakiejś pomyłki i że miejsce to powinno nazywać się nie „siwy” a Święty Jan. Wielokrotnie odwiedzałem tą polanę o niesamowitej aurze i atmosferze, by znaleźć tam jakieś potwierdzenie, jakiś ślad, trop, który cokolwiek by wyjaśnił co do tej oryginalnej i tajemniczej nazwy. Święty Jan, choć bardzo w naszych okolicach popularny, zawsze był strażnikiem mostów i opiekunem wody. Prastare figury świętego Jana Nepomucena stoją do dziś w Ostrycharzach, Ostrówku, Bolesławcu, Węglewicach, Wieruszowie; wsiach i miasteczkach usadowionych nad brzegami Proсны i Węglewskiej Strugi. Możliwe, że dawniej w naszych okolicach figur i kapliczek poświęconych Janowi z Nepomuka było znacznie więcej. Święty ten szczególnej czci zażywał na przełomie XVIII i XIX wieku. Jego figurami w kaplicach, kapliczkach, na kolumnach i cokołach usiany jest do dziś cały Dolny Śląsk, Czechy i Saksonia. Jednak w pobliżu naszego Siwego Jana nie ma żadnej rzeki ani mostu. Poszukiwania przeszłości tego miejsca w dziewiętnastowiecznych słownikach czy bardziej współczesnych przewodnikach i opracowaniach nie dały żadnego rezultatu. Jedyne zdanie, jakie znalazłem, informowało, że „wieś obecnie nie istnieje”. Dopiero lektura opracowań etnograficznych naprowadziła mnie na pewien toponimiczny trop. Tam też dowiedziałem się, co to jest „kacoperz” - stara, gwarowa nazwa nietoperza. Wiele wskazuje na to, że nazwa Siwy Jan nawiązuje do pradawnych tradycji sobótkowych i świętojańskich. Nie chodzi tu już o kwiat paproci i świętojańskie wianki, które to obrzędy spopularyzowane zostały dopiero w latach sześćdziesiątych XX wieku. Raczej dotyczy to pradawnej magii miłosnej, której towarzyszące obrzędy zaginęły na polskich ziemiach już prawie zupełnie w epoce przedrozbiorowej.

Pradawne obchody letniego przesilenia, przypadającego na noc z 23 na 24 czerwca w swej odwiecznej, czystej formie zaczęły zanikać na polskich ziemiach już w XVI wieku. Już wówczas rozpoczął się swoisty wewnętrzny rozkład obrzędu, który zatracał swą odwieczną powagę, przekształcając się w zabawę, a zabobon i czarownictwo, od dawna już czepiające się sobótkowego święta, wysuwały się na pierwszy plan. Sobótkowe zwyczaje i obrzędy jedynie szcątkowo zachowały się jeszcze w odludnych wioskach i leśnych osadach do połowy XIX wieku. Stanisław Czernik w swej fenomenalnej książce pt. „Stare złoto. O polskiej pieśni ludowej” pisze tak: „W wigilię św. Jana późnym wieczorem dziewczęta wiejskie zbierały się

u jednej ze swych rówieśnic. Tu zdjawszy zarówno ubranie wierzchnie jak i bieliznę, brały ze sobą martwego nietoperza i pędem pomykały do lasu. Znalazszy mrowisko, zakopywały w nim nietoperza. Następnie pobrawszy się za ręce, tańczyły wokół mrowiska śpiewając:

*„Kacoperz, kacoperz, z kacoperzów rodu
Służył ci u Jana białego za młodu
Zdejmujemy z niego szaty
Ostaną się ino gnaty
Leluja!”*

Następnie, po odkopaniu kostek nietoperza, starały się takowe wsunąć nieznacznie pod pościel upatrzonego młodzieńca. Gdy ten ostatni prześpi się na kostkach, niechybnie zakocha się w dziewczynie. Dziś takie rzeczy niechybnie zaliczane być mogą do kategorii zabobonu. Nie znaczy to jednak, że podlutowski Siwy Jan nie mógł być jeszcze przed dwustu laty miejscem, gdzie takie obrzędy i ceremonie odprawiano a związana z nimi nazwa tego miejsca przetrwała do dziś. Miejsce po dawnej osadzie samo w sobie do dziś jest wyjątkowo urokliwe i tajemnicze zarazem, o czym może przekonać się każdy, komu zechce się tam wybrać, zwłaszcza latem.

Na zakończenie jeszcze jedno pośrednie potwierdzenie moich przypuszczeń, co do pochodzenia nazwy Siwy Jan. Oskar Kolberg w XXIII tomie swego dzieła „Lud” o swych badaniach ludoznawczych na terenie ziemi kaliskiej pisał: „Nas samych zapewniano w czasie podróży naszej po Kaliskiem w roku 1843, że sobótek od wielu lat w tej okolicy już wieśniacy nie zapalają, prócz niektórych miejscowości w Wieluńskim, których nam jednak wskazać nie umiano”.



Okoń

Boża Męka w miejscu ustronnym

Kapliczki, krzyże, przydrożne figury od wieków wpisują się w polski krajobraz kulturowy. Etnografowie, etnologowie, badacze kultury rozróżniają dziesiątki ich stylów i typów. Jednym z nich jest Boża Męka. Jest to krzyż czyli figura z wyobrażeniem ukrzyżowanego Chrystusa. Symbol ten stawiany był w Polsce przez ludzi pobożnych w miejscu dawnych kościołów i kaplic, przy drogach rozstajnych, w miejscu bitew, potyczek i mogił. Stawiano je także jako fundacje skruszonych winowajców, inne wznosili osieroceni rodzice po stracie najukochańszego lub kilkorga dzieci. Albo też jako podziękowanie Bogu za podzwignięcie z ciężkiej niemocy, na pamiątkę jubileuszu, czy też na intencję uśmierzenia zarazy morowej. Zasadą było, że wznoszono je zazwyczaj na krańcu wsi, w miejscach oddalonych i ustronnych. Jak wykazują badania, najczęściej krzyży Bożej Męki postawiono na naszych ziemiach w latach 1865 – 1880. Jaka była skala wznoszenia tych figur świadczyć może carski „ukaz” z 1880 roku zabraniający katolikom w Królestwie Polskim wznoszenia nowych krzyży drewnianych na miejscu starych i zniszczonych a sugerujący zastępowanie ich krzyżami z materiałów trwałych, takich jak metal czy kamień.

Jednym z najpiękniejszych krzyży Bożej Męki w naszym powiecie jest krzyż w Okoniu. Jak wspominają mieszkańcy, postawiono go około 1875 roku na jednym z wyniosłych pagórków na skraju stromej doliny Węglewskiej Strugi. Wokół można naliczyć jeszcze siedem podobnych pagórków, jak siedem wzgórz Jerozolimy. Miejsce wybrano nieprzypadkowo, gdyż według przekazów, fundatorzy mieli tam zamiar zbudować kalwarię. Ich losy potoczyły się jednak inaczej. Kalwaria nigdy nie powstała a do dziś pozostał tylko ten jeden krzyż. Z biegiem czasu miejsce obrosło plebejską legendą o zabitym przez woły parobku. Przez ponad stulecie drewniany, w początkach naszego wieku, z inicjatywy proboszcza parafii Węglewice, zastąpiony murem z przepiękną figurą ukrzyżowanego, nawiązującym w formie do tradycyjnych, XIX – wiecznych wzorów. Nie tylko krzyż, ale całe jego otoczenie jest miejscem urzekającym. Z wysokiego wzgórza roztacza się wspaniała panorama na szeroką dolinę rzeki, piaszczyste wzgórza i ścianę lasu po jej drugiej stronie. Wokół stary sosnowy bór i niesamowita, skłaniająca do zadumy i refleksji cisza. Ciekawostką może być znajdujący się obok krzyża prastary kopiec wyznaczający granicę pomiędzy obszarem dawnego folwarku Głaz a gruntami wsi Okoń. Dziś trudno tam trafić. Dawne drogi i leśne ścieżki straciły swoje znaczenie. Wyznaczono nowe szlaki komunikacyjne. By tam dotrzeć, trzeba jadąc od strony Głazu skręcić w lewo, by po około trzystu metrach znowu skręcić w lewo a następnie w prawo. Po dotarciu do lasu trzeba pójść pod górę zakosami wąskiej leśnej drogi, by wreszcie dotrzeć do stojącego po lewej stronie krzyża. Trud dotarcia do tego przepięknego miejsca jest niczym, w porównaniu z duchowym i estetycznym wrażeniem jakie wywiera ono na każdym, kto je odwiedzi.



Przybyłów

Na Bąku

Nie wiem, czy ktokolwiek jest w stanie bezbłędnie odpowiedzieć na pytanie; gdzie szukać Przybyłowa? Przybyłów to jedna z wielu wsi położonych wśród lasów w północno – wschodniej części wieruszowskiego powiatu. Ta z pozoru mała miejscowość zajmuje dość rozległy obszar, na który składają się lasy, pola i łąki.

Kształt tej wsi wyznacza skrzyżowanie dwóch ważnych niegdyś dróg. Jedna z nich łączyła Węglewice z Lututowem. Drugą zaś można było z Wieruszowa dojechać do Klonowej, Brąszewic i dalej do Sieradza. Trakty te były uczęszczane przez wieki, łącząc miasteczka, w których odbywały się słynne targi i jarmarki. Skrzyżowanie tych dwu dróg wyznaczało centralny punkt Przybyłowa. Na przedłużeniach prowadzących w cztery strony świata dróg, jak na ramionach krzyża, rozkładały się wiejskie zabudowania. Pośrodku Przybyłowa, na samym skraju krzyżujących się tu dróg od niepamiętnych czasów stała karczma. Nazywano ją karczmą „Na Bąku”.

Dziś w miejscu gdzie niegdyś stała karczma jest tylko niewielki pagórek porośnięty kępami jeżyn. Gdzieś tam walają się jeszcze kawałki szerniałych cegieł z których zapewne zbudowany był komin karczemnego budynku. Cały teren na którym stała niegdyś karczma porośnięty jest zieloną, soczystą trawą, choć już kilka metrów dalej rozciągają się pozbawione zielonej roślinności piaszczyste pagórki.

Na placu przed karczmą przez dziesiątki, jeśli nie przez setki lat stały zaprzężone do bryczek i chłopskich furmanek konie. Koński nawóz użyźnił w tym miejscu ziemię do tego stopnia, że soczysta, zielona murawa utrzyma się tu jeszcze przez wiele, wiele lat.

Dziś nawet najstarsi mieszkający tu ludzie nie pamiętają, jak wyglądała karczma „Na Bąku”. Niczym pewnie nie różniła się od pozostałych karczem rozsianych wzdłuż dawnych polskich dróg i traktów. Budynek starej karczmy, wciąż jeszcze czynnej, stoi do dziś w podsieradzkim Tumidaju. Tam podobno zatrzymywał się cesarz Napoleon Bonaparte. Nie wiadomo, ile w tym prawdy. Wiadomo za to, że miejsc w których rzekomo zatrzymywał się Napoleon jest w tej okolicy kilka, jak nie kilkanaście. Gdyby cesarz w każdym z nich zatrzymał się chociażby na krótki popas, musiałby drogę z Paryża do Warszawy przemierzać co najmniej kilkadziesiąt razy.

W karczmie „Na Bąku” raczej nie zatrzymała się żadna znana historyczna postać. A przynajmniej nic o tym nie wiadomo. Zatrzymywali się tu za to bardzo często mieszkańcy okolicznych wsi oraz podróżujący pomiędzy sąsiednimi miasteczkami kupcy i handlarze. W Lututowie targi odbywały się w czwartki a w Wieruszowie w środy. Brąszewice słynęły niegdyś z handlu końmi a do Węglewic udawano się po zakup wełny. W karczmie zawsze panował ruch i gwar. To „Na Bąku” zatrzymywano się na odpoczynek w drodze na targ, tu załatwiano nie zawsze czyste interesy, tu też „podsumowywano” udane handlowe transakcje. W karczmie, jak i dziś w barach czy pod wiejskimi sklepami, nie brakowało pospolitych pijaków. Co ciekawe, miarą alkoholizmu owych czasów była szerokość prowadzących do karczemnej izby drzwi. Niejeden z pogrążonych w alkoholowej chorobie utracjuszy

zastanawiał się, przepiwszy całą gospodarkę, jak przez tak wąskie drzwi mogła zmieścić się cała, spora niekiedy, ojcowizna.

Jak szerokie były drzwi prowadzące do przybyłowskiej karczmy, trudno powiedzieć, gdyż po budynku nie ma już prawie najmniejszego śladu. Dlaczego karczmie nadano nazwę „Na Baku” – też dziś już trudno dociec. Nazwy karczem były rozmaite. Były nazwy zwyczajne: od kształtu czy koloru budynku, nazwiska właściciela czy pobliskiej miejscowości. Najczęściej jednak karczmie nadawano jakąś charakterystyczną nazwę w związku z jej przeznaczeniem jako miejsca odpoczynku, albo też miejsca hulanki czy łotrostwa. Stąd często takie nazwy jak: Przystań, Przerwa, Zmiana, Wygoda czy Popas. Druga kategoria to nazwy typu Utrata, Mordownia, Zbójnia czy Ostatni Grosz albo Psia Wólka. Do nieco innej kategorii należały nazwy mające dać podróżnym złudzenie, że znajdują się u kresu podróży: Rzym, Paryż, Warszawa czy Nowy Świat. Karczma w Przybyłowie nazywała się po prostu „Na Baku”. Pozostało jeszcze coś w potocznych powiedzeniach, co w pewnym sensie może, choć wcale nie musi, tłumaczyć pochodzenie tej nazwy. O kimś podpitym mówi się jeszcze niekiedy, że jest „pod muchą”. Dlaczego dawniej nie mógł być „pod bakiem”? Ale to tylko odległe i może mało trafne skojarzenie. Karczmy najczęściej dzierżawili i prowadzili Żydzi. Nie inaczej było też i „Na Baku”. Karczma w Przybyłowie nie różniła się od setek innych rozsianych po ziemiach całej Polski. Z pewnością była obszernym drewnianym budynkiem, który mieścił pod swym dachem mieszkanie arendarza, salę z ławami, stołami i szynkwasem oraz stajnię dla koni, gdyby ktoś zechciał zatrzymać się tu na dłużej. Nie wiadomo, czy gospodarz karczmy dysponował izbami noclegowymi. Jednak w każdej z karczem można było takie pomieszczenie znaleźć, a jeśli nie, to wygospodarować kąt do spania, chociażby w stajni czy szopie. Któż zresztą, bez wyraźnej potrzeby czy przypadku zatrzymywałby się dłużej w przybyłowskiej karczmie? By pokonać drogę z Węglewic do Lututowa, czy z Braszewic do Wierszowa; w tę i z powrotem wystarczył w zupełności jeden dzień. Zatrzymywano się tam jedynie dla odpoczynku, wychnienia koniom i napicia się czegoś, przy okazji wymieniając plotki i najświeższe informacje.

Wiek XIX to złote czasy karczmy „Na Baku”. Żydowscy arendarze cieszyli się sporym poparciem carskiej władzy, często pozostając na jej usługach w charakterze informatorów i donosicieli, meldujących policyjnej „zwierzchności” o podejrzanych osobach kręcących się w okolicy, o ciemnych interesach i przemytnikach.

Stopniowy zmierzch staropolskich karczem nastąpił po pierwszej wojnie światowej. Druga definitywnie i nieubłaganie zmiotła je w jednej chwili z powierzchni ziemi. Arendarze, zwani tu „pachciarzami” podzielili los żydowskiej społeczności ze wszystkich okolicznych miasteczek, ginąc w obozach zagłady i masowych egzekucjach. Karczmenne budynki spłonęły lub zostały rozebrane.

I w ten sposób odszedł i przeminął świat przydrożnych wyszynków. Ucichł gwar karczmennych izb i rzenie stojących na przed nimi koni, tak jak ucichło i zgasło zawodzenie żydowskich kantorów w synagogach okolicznych miasteczek. Pozostała w ludzkiej pamięci jedynie nazwa: „Na Baku” i niewielka polana porośnięta każdej wiosny kobiercem zielonej trawy.

Rybka

Katownia w cieniu sosen

Miejsc, w których w pierwszym okresie po „wyzwoleniu” przetrzymywano i katowano polskich patriotów, naliczono na obszarze dzisiejszej Polski około 550. W tej liczbie mieszczą się zarówno placówki NKWD, Smierszu, jak i rodzimych organów bezpieczeństwa. Pracowały one przecież pod bezpośrednią kuratelą swoich sowieckich odpowiedników. Rozpoczęta tragicznym nalotem na bezbronny Wieluń II Wojna Światowa oficjalnie zakończyła się 9 maja 1945 roku. W okolicie Wieruszowa wyzwolenie spod niemieckiej okupacji przyszło kilka miesięcy wcześniej; pomiędzy 18 a 21 stycznia tego samego roku. Od tamtych wydarzeń minęło już ponad siedemdziesiąt lat. Przez ponad pięć lat niemieckiej okupacji mieszkańcy naszych wsi i miasteczek doświadczali gehenny wysiedleń, wywózek na przymusowe roboty, aresztowań, więzień, egzekucji i morderstw. Wielu przeszło przez piekło niemieckich obozów koncentracyjnych. Wielu nigdy nie powróciło do swych domów. Działające prawie od początku okupacji w okolicach Wieruszowa struktury podziemnego państwa polskiego, głównie Armii Krajowej a później Batalionów Chłopskich w zasadzie nie prowadziły partyzanckiej walki zbrojnej z okupantem, ograniczając się do drobnych akcji sabotażowych i pracy wywiadowczej. Prawdziwa wojna rozpoczęła się na naszych terenach dopiero po przejściu frontu Armii Czerwonej na zachód. Ta pełna okrucieństwa i bezwzględności „wojna po wojnie” trwała przez dziesięć lat. Od 1945 do 1955 roku. Już w ostatniej dekadzie stycznia 1945 roku w budynku szkoły w Rybce usadowiła się placówka sowieckiego NKWD. Bolszewicy, pod pozorem organizacji szpitala, założyli tu punkt przetrzymań, przesłuchań, tortur i katownię dla osób niewygodnych dla bolszewickiego systemu. Nikt już dziś nie dowie się, ile osób przewinęło się przez to miejsce i ile zostało zakatowanych i zamordowanych. Do dziś nie wiadomo, gdzie szukać ich grobów. Miejsce na urządzenie w budynku szkoły sowieckiej katowni wybrane zostało nieprzypadkowo. Znajdowało się w sporym oddaleniu od zabudowań sąsiednich wsi, osłonięte lasem i wyniosłym, piaszczystym wzgórzem. Nikt z zewnątrz nie słyszał krzyków przesłuchiwanym, torturowanym i mordowanym. Tych nielicznych, którzy zdawali sobie sprawę z tego, co dzieje się w tym miejscu paraliżował strach. Nikt nie spodziewał się takiej skali okrucieństwa i prześladowań ze strony „wyzwolicieli”. Po odejściu funkcjonariuszy NKWD na zachód, z końcem lata 1945 roku do działania przystąpił polski Urząd Bezpieczeństwa, Milicja Obywatelska, jednostki Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego wspierani przez miejscowych działaczy PPR. Rozpoczęło się zmasowane polowanie na byłych żołnierzy AK, działaczy niepodległościowych oraz wszystkich tych, którzy w jakikolwiek sposób okazywali niezadowolenie z wprowadzanych nowych, komunistycznych porządków. Rosnące z dnia na dzień poczucie zagrożenia i niemożność rozpoczęcia na nowo pokojowego życia, zmusiło setki osób do ponownego ukrywania się, już nie tyle przed nowym okupantem, co przed Polakami reprezentującymi nową, „ludową” władzę. Dziesiątki byłych członków podziemia niepodległościowego wróciły do lasu, by nadal prowadzić okrutną i z czasem beznadziejną walkę, już nie o zwycięstwo, ale o godność i prawdziwie pojętą wolność. Po to, by dać świadectwo oporu przeciwko nieludzkiemu, bolszewickiemu systemowi. Front tej krwawej wojny domowej podzielił rodziny, przyjaciół, znajomych. Oprócz tych, którzy zginęli z bronią w rękę, wielu pragnienie wolności przypłaciło śmiercią w ubeckich katowniach. Inni spędzili wiele lat za kratami komunistycznych więzień. Gdy sowiecka katownia w budynku

szkoły w Rybce przestała działać, cały ciężar prześladowań, represji i upokorzeń przeniesiony został do nieodległego Głazu, gdzie jeszcze do początków lat pięćdziesiątych minionego wieku istniał obóz dla osób niewygodnych dla komunistycznej władzy Polski Ludowej. W Rybce do budynku powrócili uczniowie. Szkoła w tej miejscowości istniała do połowy lat siedemdziesiątych XX wieku, kiedy to zlikwidowano ją w ramach jednej z licznych powojennych reform oświatowych. Dziś w jej murach znajduje się Dom Strażaka i mieszkania.



Wieruszów Podzamcze

Wilhelmsbruck Banhoff

Powiat wieruszowski, a zwłaszcza położona na lewym brzegu rzeki Prosnycy jego część, to najdalej na zachód wysunięty skrawek Województwa Łódzkiego. Od 1793 roku do momentu odzyskania niepodległości przez Polskę, ziemie te znajdowały się pod panowaniem pruskim a dzisiejsza lewobrzeżna część Wieruszowa, zwana obecnie Podzamczem, była odrębną miejscowością w Wielkim Księstwie Poznańskim i nazywała się Wilhelmsbruck (Most Wilhelma). Zgodnie z pruskim podziałem administracyjnym ówczesny Wilhelmsbruck należał do powiatu kępińskiego (Kreis Kempen) w rejencji wrocławskiej (Breslau). W leżącym nad samą granicą Wilhelmsbrucke od 1815 roku istniało przejście graniczne i komora celna. Wszak była to ważna miejscowość graniczna pomiędzy Prusami a Rosją. W 1872 roku miejscowość

uzyskała połączenie kolejowe z Wrocławiem przez Kępno, Syców i Oleśnicę. Inwestorem linii kolejowej była berlińska Spółka Akcyjna o nazwie Breslau – Warschauer Eisenbahngesellschaft, której zamiarem było doprowadzenie bezpośredniej linii kolejowej przez Sieradz i Łódź aż do Warszawy. (Należy zauważyć, że duże miasto gubernialne jakim był leżący w zaborze rosyjskim Kalisz, uzyskało połączenie kolejowe z Łodzią i Warszawą dopiero w roku 1902.) Koszt budowy wyniósł około 8 milionów marek. Pokryto go głównie dzięki sprzedaży akcji. Mieszkańcy pobliskiego Kępna wykupili akcje za ponad 240 tysięcy marek, popierając w ten sposób cenne dla ich miasta przedsięwzięcie.

Budowa kolei przyczyniła się do szybkiego wzrostu wymiany handlowej pomiędzy przedsiębiorstwami działającymi po lewej i prawej stronie Prosny. Płody rolne, surowce, drewno czy papier wymieniano na materiały czy maszyny i urządzenia sprowadzane z Prus i pozostałych części Niemiec. Doprowadzenie linii kolejowej znacznie wpłynęło także na rozwój miejscowości. Powstało tu kilka hoteli, biur mieszczących przedstawicielstwa różnych przedsiębiorstw oraz szereg budynków użyteczności publicznej, jak chociażby wzniesiony w 1888 roku kościół ewangelicki czy remiza strażacka z 1913 roku. Po zwycięskim Powstaniu Wielkopolskim i decyzjach traktatu wersalskiego miejscowość znalazła się w granicach II Rzeczypospolitej. Dawną niemiecką nazwę Wilhelmsbruck zmieniono na Podzamcze. Miejscowość stała się siedzibą wójtostwa w skład którego weszły pobliskie wsie leżące uprzednio w Wielkim Księstwie Poznańskim: Wyszanów, Jutrków, Teklinów i Kuźnica Skakawska. Po odzyskaniu niepodległości przez Polskę i zmianie granic zabrakło jednak bezpośredniego połączenia kolejowego pomiędzy Górnym Śląskiem a wybrzeżem Bałtyku i portem gdynskim – polskim oknem na świat. Linia kolejowa Tarnowskie Góry – Kalety – Kępno – Poznań na odcinku od Lublińca do Łęki Opatowskiej znalazła się na terytorium Niemiec. Gdy w 1925 roku rozpoczęła się tzw. „wojna celna” pomiędzy Polską a Niemcami, przewóz towarów przez „korytarz kluczowski” stał się dla Polski ekonomicznie nieopłacalny. W tej sytuacji Sejm II RP upoważnił rząd do budowy nowej linii kolejowej od Kalet przez Herby Nowe i Wieluń do stacji w Podzamczu. Ustawę o budowie nowego odcinka linii kolejowej podpisali: ówczesny prezydent RP Stanisław Wojciechowski i minister skarbu, premier Władysław Grabski. Kierownictwo budowy kolei powierzono inżynierowi Józefowi Nowkuńskiemu, którego młodzi współpracownicy testowali nowoczesny jak na owe czasy materiał budowlany, jakim był beton. Kierownictwo budowy miało swą siedzibę w Lublińcu. Koszt całego przedsięwzięcia wyniósł około 17 milionów złotych. Wszystkie prace wykonywały polskie firmy. Główną z nich było Towarzystwo Robót Inżynierskich z Poznania. Na nowo wybudowanej linii powstało osiem stacji kolejowych, osiem mostów stalowych, trzydzieści mostów betonowych oraz prawie 140 przejazdów drogowych. Budowę rozpoczęto w pierwszych dniach sierpnia 1925 roku a zakończono w kwietniu 1927 roku. W październiku 1926 roku teren budowy w okolicach Pątnowa Wieluńskiego wizytował ówczesny premier Kazimierz Bartel i wicepremier Eugeniusz Kwiatkowski. Ruch towarowy z Kalet do Podzamcza rozpoczął się 6 listopada 1926 roku a osobowy – w kwietniu roku następnego. Pierwszy pociąg pospieszny przejechał tędy w maju 1927 roku. Do pomysłu bezpośredniego połączenia kolejowego pomiędzy Wrocławiem a Warszawą przez Podzamcze – Sieradz – Łódź powrócono w 1949 roku. Jednak z uwagi na istniejące już wówczas połączenie kolejowe Wrocław – Ostrów Wielkopolski – Warszawa, odstąpiono od realizacji tego projektu.

W stulecie istnienia Województwa Łódzkiego pojawiła się szansa budowy bezpośredniego połączenia kolejowego pomiędzy Wrocławiem a Łodzią. W związku z budową pomiędzy Łodzią a Warszawą Centralnego Portu Komunikacyjnego kończąca się niegdyś w Podzamczu linia kolejowa z Wrocławia znalazła się na trasie międzynarodowej linii łączącej Pragę przez Lubawkę, Wrocław, Sieradz i Łódź z Centralnym Portem Komunikacyjnym.



Ostrówek

Romantyczne ruiny świetlanej „Przyszłości”

Nieopodal lokalnej drogi pomiędzy Ostrówkiem a Kaźmirowem w gminie Galewice rzucają się w oczy sporych rozmiarów romantyczne ruiny. Ruiny, które trudno zrazu zakwalifikować do jakiegokolwiek epoki. Obiekt w tej postaci stoi tam od około pięćdziesięciu lat i wygląda na niedokończony i porzucony. Tyle pozostało z czasów funkcjonowania w Ostrówku Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej o wdzięcznej nazwie „Przyszłość”. Rolnicze Spółdzielnie Produkcyjne były polskimi odpowiednikami radzieckich kołchozów. Chłopi mieli w nich gospodarować wspólnie na wniesionej przez nich do spółdzielni ziemi. Takie kołchozy tworzono przymusowo w ramach planowej kolektywizacji polskiego rolnictwa w latach 1950–1956. Po dojściu do władzy Władysława Gomułki w 1956 roku partia zezwoliła na ich likwidację.

Do idei tworzenia kołchozów na polskiej wsi powrócono w drugiej połowie lat siedemdziesiątych XX wieku. Ówczesny pierwszy sekretarz KC PZPR Edward Gierek postanowił wprowadzić na polską wieś kolektywny system gospodarowania ostrożnie i niejako „tylnymi drzwiami”, zachęcając do tworzenia wiejskich kołchozów dotacjami, ułatwieniami i kredytami, obiecując zrzeszonym „światłą przyszłość”. Taki też kołchoz utworzono w Ostrówku, bodajże w roku 1977. Za państwowe dotacje przystąpiono do budowy „bazy”. Dziś już trudno rozeznaczyć, czy miała to być chlewnia, obora czy też magazyn do przechowywania wyprodukowanego kołchozową metodą „dobra”. Cała inicjatywa rychło upadła wraz z upadkiem pierwszego sekretarza KC PZPR. Spółdzielnia została rozwiązana a rozpoczętej budowy kołchozowych zabudowań nigdy nie dokończono. Trwała ruina, jaka pozostała po tym przedsięwzięciu jest do dziś pomnikiem komunistycznego systemu gospodarki. Możliwe, że za jakiś czas znajdzie się wśród atrakcji któregoś z licznych w naszym regionie szlaków turystycznych jako pozostałość i zabytek z „epoki socjalizmu”.



Wieruszów

Stanisław Żółtowski – malarz Wieruszowski

Ten urodzony w 1914 roku w Wieruszowie malarz i grafik był jednym z ostatnich autentycznych kolorystów w malarstwie polskim minionego stulecia. W 1934 roku rozpoczął studia na warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych. Był uczniem dwóch mistrzów malarstwa realistycznego; Tadeusza Pruszkowskiego i Felicjana Kowarskiego. Studia malarskie przerwała mu wojna. Stanisław Żółtowski walczył w Powstaniu Warszawskim w zgrupowaniu „Kryśka” AK pod pseudonimem „Aplas”. W 1947 roku obronił dyplom z zakresu malarstwa i grafiki pod kierunkiem słynnego Jana Cybisa. Od 1950 roku był wykładowcą warszawskiej ASP. Pedagogiczną karierę ukoronował w 1979 roku tytułem profesora malarstwa i rysunku. Zmarł w 2004 roku w Warszawie. Stanisław Żółtowski przez całe swoje długie artystyczne życie pozostał wierny koloryzmowi, charakterystycznemu dla twórczości tak znanych polskich malarzy jak Józef Czapski, Piotr Potworowski czy wspomniany już Jan Cybis. W pierwszych latach powojennych w jego twórczości dominował pejzaż. Specyficzny, gdyż można go śmiało nazwać pejzażem dokumentalnym. Z lat 1948 – 1950 pochodzi impresjonistyczny cykl rysunków i akwarel obrazujący budowę warszawskiej trasy W – Z. Dzieła tego okresu to prawdziwy reportaż plastyczny z placu budowy. W ten sposób Żółtowski wkroczył w okres socrealizmu w którym przez następne dekady swej twórczości wyżywał się bujnie i szczerze.

Druga połowa lat pięćdziesiątych minionego wieku to dla artysty okres ścisłej współpracy z wojskiem. Stworzył w tym czasie szereg wielkoformatowych scen batalistycznych pełnych pozy i patosu. Płótna tego okresu w zdecydowanej większości monotematycznie obrazują walki I armii LWP na Wale Pomorskim, imponując warsztatowym rozmachem i rozmiarami. W dekadzie lat sześćdziesiątych XX wieku Stanisław Żółtowski z batalisty stał się naraz abstrakcjonistą. Jego artystyczne kompozycje z tego okresu są jednocześnie projektami do komponowania wielkich płaszczyzn, np. ozdabiania zewnętrznych ścian budynków i bloków mieszkalnych, których głównym celem byłoby tylko kolorystyczne oddziaływanie na widza.

Ostatnie lata minionego wieku w twórczości artysty to okres powrotu do koloryzmu. A także częstych powrotów do rodzinnego Wieruszowa. Sporą pozycję w dorobku artysty zajmują pejzaże znad Proсны czy wieruszowskie uliczki. Stanisław Żółtowski był artystą wszechstronnym i niejednorodnym. To osobowość bardzo aktywnie twórcza i szczerze oddana ideowej sprawie. W 1991 roku Stanisław Żółtowski został pierwszym Honorowym Obywatel Wieruszowa. W sali sesyjnej wieruszowskiego Urzędu Miejskiego można podziwiać niewielką stałą galerię obrazów podarowanych swemu rodzinnemu miastu przez artystę. Parafrazując słowa Witolda Gombrowicza można powiedzieć, że wybitny malarz Stanisław Żółtowski „wielkim socrealistą był”, co bynajmniej nie umniejsza jego pozycji jako wybitnego kolorysty i wieruszowianina.



Piaski k. Bolesławca

Otwarta księga przeszłości

Prawie zapomniana już dziś, dziewiętnastowieczna poetka, Elżbieta Bośniacka tak pisała w jednym ze swych wierszy: „Możesz ty zwiedzać paryskie cmentarze? Lub w innych grodach nasze śmierci pola? Możesz podziwiać kaplice, ołtarze, nad które smukłą wystrzela topola?”. Przyznam się, że nie. Nie zwiedzałem paryskich nekropolii z setkami mogił polskich tułaczy, pisarzy i kompozytorów. Raz w życiu byłem na warszawskich Powązkach. I to wszystko. Ale za to wiele razy odwiedzałem cmentarz w podbolesławieckich Piaskach!

Mimo haniebnej dewastacji tej prastarej nekropoli, zachowało się tu jeszcze wiele przepięknych nagrobków z XIX i początków XX wieku. Na żadnym innym z okolicznych cmentarzy nie znajdziesz tak wymyślnych nagrobnych rzeźb, misternych figurek aniołów i kutyh przez wiejskich kowali żelaznych płotów, krat i krzyży! Przepych miesza się tu z surową skromnością a dobry gust sąsiaduje z przedziwnymi zwieńczeniami grobowych pomników. Cmentarz w Piaskach czyta się jak otwartą księgę przeszłości. Jak zapis dziejów, obyczajowości, hierarchii społecznej i zamożności mieszkających tu przed nami pokoleń. Pośrodku cmentarza stoi drewniany kościółek, któremu patronuje święta Małgorzata. Kościół ten wzniesiono w XVII, a może i nawet w XVI wieku. Któż by to dzisiaj pamiętał! W jego cieniu stoją krypty i nagrobne pomniki pod którymi spoczywają mieszkańcy Bolesławca i zapewne wielu innych miejscowości. Chowano tu przez stulecia chłopów i mieszczan, rzemieślników i arystokratów, polityków, artystów i żołnierzy. Wśród nich nie brakuje tych, co polegli w 1863 roku, w Powstaniach Śląskich, w wojnie z bolszewikami, jak i w tej ostatniej. Nie sposób zapamiętać i wymienić ich wszystkich!

Zachowało się też w dobrym stanie kilkanaście krypt grobowych, sięgających swymi początkami nawet XVIII stulecia. Jedną z ciekawszych jest ta w kształcie umieszczonej na wyniosłym katafalku trumny. Trumny, które leżą pod ziemią w jej wnętrzu, kryjąc doczesne szczątki zmarłych, dawno rozsypały się już w pył. Zaś ta, wyrzeźbiona z szarego piaskowca trwa przez stulecia, przypominając o nieuchronnej granicy pomiędzy życiem doczesnym a wiecznym. Niektóre z zabytkowych nagrobków opatrzone są napisami informującymi gdzie i kto go wykonał. Wśród nich spotkać można także adresy renomowanych artystycznych zakładów kamieniarskich z przedwojennej Warszawy. Na grobowych pomnikach zdarzają się też inskrypcje wykute przez mniej fachowych i słabiej obeznanych z ortografią mistrzów kamieniarskich. Na nagrobku zmarłego w 1863 roku Karola Kaniewskiego wykuto napis informujący, że to właśnie tu leżą jego „wzłoki” a zmarły prosi o „westhnienie” do Boga. Nie mniej ciekawym nagrobkiem jest ten ustawiony na mogile rosyjskiego generała Włodzimierza Poznańskiego. Ten carski wojskowy, mieszkający do 1917 roku w Chróście, po rewolucji październikowej w Rosji i przejściu władzy przez bolszewików nie wrócił już do swej ojczyzny. Zamieszkał w Mieleszynie, przygarnięty przez niemiecką rodzinę Krauze. Zmarł w 1930 roku.

Prawosławnych nagrobków jest tu jeszcze kilka. Groby Rosjan z charakterystycznymi prawosławnymi krzyżami napotykamy na wszystkich prawie cmentarzach wzdłuż Proсны, która była graniczną rzeką pomiędzy dwoma zaborami. Rosyjscy wojskowi i urzędnicy,

oddaleni od swych rodzinnych stron o tysiące kilometrów, służyli tu w nieznanym i obcym sobie kraju. Gdy zastawała ich śmierć, najczęściej chowani byli na miejscowym katolickim cmentarzu, jedynie kształtem nagrobnego krzyża zaznaczając religijną odrębność zmarłego. Ludzie stąd, znad Proсны, rodzili się, pracowali, zakładali rodziny, wychowywali dzieci i umierali w miejscu swego urodzenia, tak jak ich ojcowie, dziadkowie i pradziadkowie. Próg rodzinnego domu i obejście, kościół, parafia, pobliskie miasteczko, linia horyzontu i wreszcie cmentarz wyznaczały granice świata im znajomego i bliskiego. Jeśli kiedyś traficie na podbolesławiecki cmentarz, nie zapomnijcie, że „umarłych pamięć dotąd trwa, dokąd pamięcią im się płaci”.



Łubnice

Pożegnanie z Marianną

Wzdłuż Prosny i Węgrowskiej Strugi rozsianych jest wiele prastarych świątyń i kaplic. Jednym z najstarszych jest kościół pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny w Łubnicach, którego mury pamiętają XV wiek. Tym, co najbardziej zachwyca odwiedzających tą świątynię, są pokrywające jej wnętrze polichromie. Na malowidła i obrazy patrzeć można tu godzinami, tyle w nich zaskakujących detali, wzorów, kolorów, symboli. Gdy jednak przyjrzymy się dokładniej, zauważymy, że całość malarskiego dzieła nie jest skończona. Na ścianach łubnickiej świątyni pozostało sześć niezamalowanych pól w formie prostokątów. Możliwe, że miały zostać wypełnione scenami z życia Najświętszej Marii Panny, pod której wezwaniem pozostaje łubnicka świątynia. Dlaczego pozostały te puste miejsca?

Do 1935 roku kościół w Łubnicach był kościołem filialnym dla rozległej parafii dzieżkowskiej. W 1912 roku staraniem proboszcza parafii Dzieżkowice, księdza Antoniego Snawadzkiego, dokonano gruntownego remontu kościoła a jego wnętrze ozdobiono monumentalną polichromią. Jak notują kroniki, dzieła tego dokonano dzięki ogromnej ofiarności parafian. Polichromie i obrazy w łubnickiej świątyni są dziełem Antoniego Szulczyńskiego, któremu towarzyszył zespół współpracowników i uczniów. Sam mistrz, Antoni Szulczyński był jednym z najwybitniejszych malarzy okresu Młodej Polski. Urodził się w 1877 roku w Wilczynie koło Konina. Nie wiadomo co tak bardzo rozpało wyobraźnię chłopca, którego ojciec był młynarzem; właścicielem wiatraka i sporego gospodarstwa. Aby realizować swoje młodzieńcze marzenia Antoni Szulczyński wyjechał z małej wielkopolskiej wsi, by w Krakowie rozpocząć studia na Akademii Sztuk Pięknych pod kierunkiem Teodora Axentowicza. Swój artystyczny warsztat doskonalił następnie na uczelniach w Wiedniu, Rzymie, Monachium i Wilnie. O wielkości jego talentu niech świadczy fakt, że już jako student rozpoczął pracę nad polichromiami w kościele w Miedźnie. W swoim dorobku artysta ma również zadziwiające swoim arcyzmem polichromie i obrazy w kościołach w Skulsku, Kramsku, Wilczynie, Broniszewie, Złotkowie i oczywiście w Łubnicach. Znany ze swoich dzieł sakralnych Antoni Szulczyński był też cenionym portrecistą i autorem pejzaży, które zdobiły ściany wielu domów. Był twórcą licznych realistycznych portretów jak i wspaniałych obrazów o tematyce sakralnej. Tworzył w cieniu osobistej tragedii. W wyniku nie do końca jasnego splotu zdarzeń utracił władzę w nogach.

We wspomnieniach na temat jego życia przewija się informacja, że od pewnego momentu był „słabego zdrowia”. Inni twierdzą, że paraliż nóg był wynikiem skoku do jeziora lub następstwem powikłań poddmrożeńowych. Pewne jest, że artysta przez wiele lat jeździł po całej Europie, szukając dla siebie pomocy w tych dolegliwościach. W 1912 roku, wraz z towarzyszącym mu zespołem współpracowników i uczniów przystąpił do realizacji zamówionej dla łubnickiego kościoła polichromii. Już wówczas trzydziestopięcioletni artysta o ugruntowanej sławie i pozycji poznał tu mieszkankę Łubnic Mariannę Maślankę. Na czas pracy przy ozdabianiu łubnickiego kościoła Szulczyński zamieszkał w domu ówczesnego wójta Łubnic – Antoniego Maślanki. Tam także mieszkała Marianna, urodzona w 1895 roku bratanica wójta. Artysta zakochał się w Mariannie od pierwszego wejrzenia. W jego oczach uosabiała ona wszystkie cechy młodopolskiej muzy. Tym bardziej, że w miejscowym środowisku

Marianna uchodziła za piękność. To jej rysy nadał artysta wizerunkowi Matki Boskiej z Dzieciątkiem, umieszczonemu nad głównym ołtarzem łubnickiego kościoła. Poznana w Łubnicach Marianna stała się dla Antoniego Szulczyńskiego tym, czym dla Lucjana Rydla była Jadwiga Mikołajczykówna z podkrakowskich Bronowic, której ślub i wesele stały się tematem i tłem najsłynniejszego młodopolskiego dramatu „Wesele” Stanisława Wyspiańskiego. Antoni Szulczyński studiując w Krakowie doskonale znał ówczesną krakowską bohemę artystyczną, wśród której panował na przełomie XIX i XX wieku swoisty kult „wiejskości” i wręcz moda na zawieranie małżeństw z chłopskimi córkami. Marianna nie odwzajemniła gorącego i gwałtownego uczucia artysty. Ani jej w głowie było wychodzić za dużo starszego i częściowo sparaliżowanego malarza. Tym bardziej, że była już zaręczona z kawalerem z sąsiedniej wsi; Józefem Znamcem. To przesądziło o zakończeniu płomiennego uczucia artysty. Ślub młodej pary odbył się jeszcze przed ukończeniem prac malarskich w łubnickiej świątyni. Zawiedziony i rozżalony Antoni Szulczyński nie dokończył swego dzieła. Opuścił Łubnice z dnia na dzień. Zmarł w 1922 roku w wieku zaledwie czterdziestu pięciu lat. Pomimo uznania, jakim cieszył się we współczesnym jemu czasie i talentowi, którym dorównywał Wyspiańskiemu czy Mehofferowi, dzisiaj jest artystą znanym jedynie przez nielicznych. Mamy to szczęście, że do dziś możemy podziwiać przepiękną, choć nie ukończoną, polichromię w łubnickim kościele; wybitne dzieło tego niepospolitego artysty.



Przybyłów

Polskę za Matkę wybrali...

Mało kto dziś zdaje sobie sprawę z faktu, że do końca II wojny światowej, położony dziś w gminie Galewice Przybyłów był w znacznej części zamieszkały przez ewangelików, potomków niemieckich osadników z początków XIX wieku. Niemieccy osadnicy byli mieszkańcami założonych przez zaborcze władze pruskie kolonii w latach 1800 – 1806, kiedy to ziemie te znalazły się na krótko pod panowaniem pruskim jako tzw. Prusy Południowe. Kolejna fala niemieckich kolonistów napłynęła na te tereny w latach 1820 – 1830, sprowadzona przez rząd Królestwa Polskiego celem uprzemysłowienia i podniesienia poziomu gospodarczego kraju. Akcję osiedleńczą kolonistów niemieckich wspierał także ówczesny właściciel dóbr lututowskich Alojzy Biernacki. Przybyłów był wówczas folwarkiem należącym do klucza lututowskiego. Na dość słabych glebach tego folwarku osadzono w latach dwudziestych XIX wieku kilka rodzin ewangelików przybyłych tu z nieodległego Śląska i Saksonii. Przez prawie półtora stulecia niemieccy koloniści ulegali stopniowej asymilacji poprzez małżeństwa i życie w środowisku wyłącznie polskim. Z czasem od rdzennych katolickich mieszkańców różniła ich jedynie religia i język, który z pokolenia na pokolenie stawał się coraz bardziej językiem „domowym”, i to nie zawsze, biorąc pod uwagę ilość zawieranych mieszanych małżeństw. Przez dziesięciolecia niemieccy osadnicy nie stwarzali władzom większych problemów. Zazwyczaj stanowili element lojalny, wywiązywali się ze swych obowiązków wobec władz i posłusznie wykonywali polecenia lokalnej administracji. W zasadzie nie posiadali silnego poczucia niemieckiej przynależności narodowej. Bardziej czuli się Ślązakami czy Saksończykami, niż Niemcami. Ewangelicy z Przybyłowa i sąsiednich miejscowości należeli do utworzonej w początkach XIX wieku parafii ewangelicko – augsburskiej w Wieluniu. Duża odległość do siedziby parafii i kościoła spowodowała, że w Lututowie, Piaskach Lututowskich, a później w Swobodzie, przez cały XIX wiek funkcjonowały ewangelickie domy modlitwy.

W Swobodzie koło Lututowa istniała także szkoła ewangelicka. Miejscem wiecznego spoczynku ewangelików w tej części Ziemi Wieluńskiej był cmentarz w Swobodzie. Założony w pierwszej połowie XIX wieku, dziś zdewastowany i opuszczony, kryje w sobie prochy kilku pokoleń wyznawców nauki Lutra, nierzadko zasłużonych dla Polski. Na uwagę zasługuje chociażby dobrze zachowany nagrobek urodzonego w 1874 a zmarłego w Genewie w 1927 roku doktora medycyny Kazimierza Józefa Wieruckiego. Ostatni pochówek na cmentarzu ewangelickim w Swobodzie pochodzi z października 1944 roku, kiedy to pochowano tu zmarłego w wieku 64 lat Karola Ulicę. Według spisu z 1921 roku w Przybyłowie zamieszkiwały ewangelickie rodziny; Jana Mencla, Michała Mencla, Franciszka Mencla, Augusta Kozika, Jana Utty, Karola Utty i Jana Kusia. W Piaskach Lututowskich zamieszkiwały rodziny; Roberta Wurcha, Józefa Witycha, Jana Barańskiego, Ludwika Szrejtera, Franciszka Grabi, Adama Witycha, Stanisława Witycha, Romana Witycha, Stanisława Ulbrycha, Jana Mencla, Adama Mencla, Bronisława Krauze i Gustawa Wurcha. Ponadto w Augustynowie rodziny; Pawła Utty i Edwarda Wagenbichlera. Regermanizacja niemieckich osadników w Przybyłowie i sąsiednich miejscowościach w zasadzie zaczęła się dopiero po odzyskaniu niepodległości przez Polskę w 1918 roku. Spore zasługi w budzeniu niemieckiego ducha

narodowego wśród miejscowych kolonistów miał urodzony w 1887 roku w Augustynowie August Utta. Ukończył ewangelickie seminarium nauczycielskie w Warszawie po czym pracował w charakterze nauczyciela w Łodzi. W czasie pierwszej wojny światowej służył w wojsku rosyjskim jako sanitariusz. W latach 1922–1923 dał się poznać jako działacz Niemieckiej Partii Pracy (DAP), następnie założył Niemieckie Stowarzyszenie Ludowe w Polsce (Deutscher Volksverband in Polen), któremu przewodniczył w latach 1924–1938. W pierwszych latach niepodległości sprawował mandat radnego miasta Łodzi. W 1922 został wybrany posłem na Sejm Rzeczypospolitej z ramienia Bloku Mniejszości Narodowych w okręgu łódzkim. Reelekcję uzyskał w 1928 z tej samej listy. W 1930 nie obronił mandatu, jednak wkrótce został senatorem. Był także aktywnym działaczem społeczności ewangelickiej. Zasiadając w Radzie Synodu Ewangelicko – Augsburskiego w II Rzeczypospolitej opowiadał się za utworzeniem niezależnego niemieckiego kościoła luterańskiego w Polsce. Był członkiem Rady Nadzorczej Niemieckiego Banku Spółdzielczego w Łodzi, zasiadał również w zarządzie Towarzystwa Wydawniczego "Libertas". Zmarł w 1940 roku. Trudno jednak przeceniać sukcesy Augusta Utty na polu przywracania ducha narodowego i krzewienia niemczyzny na naszych terenach, skoro według sporządzonej w 1939 roku przez starostwo wieluńskie „Powiatowej księgi narodowościowej”, przynależność do narodu niemieckiego na terenie całej gminy Lututów zadeklarowało zaledwie pięć osób.

Sytuacja zmieniła się dopiero z chwilą wybuchu II wojny światowej. Po zajęciu Polski przez Niemców Przybyłów znalazł się na terenie utworzonego przez okupantów tzw. Kraju Warty. Jednym z pierwszych posunięć władz okupacyjnych był spis ludności przeprowadzony na początku 1940 roku. Wynik spisu miał wykazać, jak wysoki jest procent mniejszości niemieckiej na zajętych terenach. Mieszkańcy w trakcie spisu odpowiadali na pytania o przynależność narodową, język ojczysty i wyznanie. W wyniku przeprowadzonego spisu wszyscy ewangelicy i potomkowie niemieckich kolonistów z początków XIX wieku znaleźli się na niemieckiej liście narodowościowej. Z dnia na dzień Przybyłów stał się wsią zamieszkałą w większości przez Niemców. Deklarując niemiecką przynależność narodową ludzie ci kierowali się różnymi motywami. Jedni, zauroczeni potęgą i propagandą III Rzeszy oraz sukcesami Hitlera, zapragnęli stać się częścią niemieckiej wspólnoty narodowej. Drudzy, przerażeni skalą prześladowań ze strony władz okupacyjnych deklarowali narodowość niemiecką aby uniknąć spodziewanych represji i wywłaszczenia. W ten sposób na terenie ówczesnej gminy Lututów, z pięciu osób deklarujących narodowość niemiecką latem 1939 roku, w styczniu 1940 uzbierało się prawie półtorej setki Niemców. Wszyscy mieszkańcy Przybyłowa i okolic, którzy zadeklarowali niemiecką przynależność narodowościową, w krótkim czasie otrzymali stanowiska i funkcje w niemieckiej administracji okupacyjnej i służbach porządkowych. Aktywnymi członkami niemieckiej SA, paradującymi w żółtych uniformach i okrągłych czapkach byli August Kozik i Karol Utta z Przybyłowa. Wielu Niemców zostało zatrudnionych w administracji przejętego przez okupanta gospodarstwa rolnego w Głazie oraz w okolicznych urzędach gminnych. W niedługim czasie okazało się, że zadeklarowana przynależność do narodu niemieckiego to nie tylko władza, przywileje i sute kartki żywnościowe. Trzecia Rzesza już wiosną 1942 roku przeprowadziła w Kraju Warty akcję poboru do Wehrmachtu, która nie ominęła także Przybyłowa i okolic. Co ciekawe, akcję poborową przeprowadzono ze szczególnym uwzględnieniem osób, które przed wybuchem

wojny zamieszkiwały te tereny, a podczas spisu z 1940 roku zadeklarowały narodowość niemiecką. Wkrótce pod Stalingradem zaginęli dwaj synowie Augusta Kozika oraz wielu innych młodych ludzi z tych okolic.

Z miesiąca na miesiąc sytuacja na frontach stawała się dla III Rzeszy coraz bardziej krytyczna. Z początkiem stycznia 1945 roku wszyscy dawni niemieccy koloniści a obecnie zdeklarowani Niemcy oraz nierzadko aktywni faszyci zbiegli wraz z wycofującą się armią niemiecką. Na miejscu pozostał jedynie Franciszek Mencil z żoną Marianną. Przez całą okupację aktywnie pomagali Polakom. Nie czuli żadnej potrzeby opuszczania ziemi na której się urodzili i wychowali. Pracując w czasie okupacji w gospodarstwie rolnym w Głazie, tam właśnie zamieszkali na stałe po wojnie. Ich gospodarstwo w Przybyłowie, jak wszystkich pozostałych kolonistów, zostało przejęte przez Polaków jako „mienie poniemieckie”. Marianna Mencil zmarła w 1959 roku. Jej mąż, Franciszek, w 1976. Oboje spoczęli na cmentarzu w pobliskim Ostrówku. Z całej społeczności ewangelickiej mieszkającej tu od półtora wieku, jedynie oni Polskę za Matkę wybrali.

Mieczków

Brzoza na ruinach

Mieczków to chyba jedyna miejscowość w okolicach Wieruszowa, do której dotarcie podczas śnieżnych zim, czy wiosennych roztopów jest sprawą nad wyraz trudną. Nikt nigdy nie widział tu na utwardzonej drogi, nie wspominając już o asfalcie. To odcięcie od świata ma swe złe jak i dobre strony. Niewielu ludzi dociera tu przypadkowo. Mieczków najczęściej odwiedzają grzybiarze i czasami myśliwi. Większość ludzi nawet nie ma pojęcia, że miejscowość, a właściwie miejsce o takiej nazwie w ogóle istnieje.

Gdy w sprzyjającej porze roku pokonamy wszystkie wyboje i piaski leśnych dróg i uda nam się szczęśliwie dotrzeć na samo miejsce, otwiera się przed nami widok jak z bajki.

Pośrodku leśnej polany stoją budynki dawnego folwarku i kilka zrujnowanych domów mieszkalnych. Wszystko to wzniesiono tu w pierwszych latach minionego stulecia. Wystarczy tylko nieco wyobraźni, by przenieść się w marzeniach może nawet w XIX wiek. Wystarczy tylko zamknąć oczy, by usłyszeć głosy mieszkających tu niegdyś ludzi, skrzypienie studziennego żurawia, rzenie koni a nawet dobiegające przez otwarte okna dźwięki fortepianu, śpiew, rozmowy. Dziś panuje tu jednak niczym nie zmałona cisza, przerywana jedynie szumem lasu, i świergotem ptaków. Ludzi mieszka tu już dziś niewielu. Może jedna rodzina. A może już nikt. Mieczkowski pałacyk jest dziś absolutną ruiną. Porośnięty trawą kopiec pokruszonych cegieł i dachówek. To wszystko, co pozostało z ludzkiej siedziby, jeszcze przed stu laty pełnej głosów i krzątanimy.

Jak to się stało, że tak wspaniałe miejsce zostało opuszczone i zapomniane przez ludzi? Co spowodowało, że dziś popada w ruinę to, co przed nie tak znowu wieloma laty tętniło życiem, pracą, codziennymi zajęciami regulowanymi tu, jeśli nie przez czas, który zdaje się mieć tu nieco wolniejsze tempo, to przynajmniej przez pory roku, wyznaczające czas orki, siewu, pielęgnacji i zbiorów. A był to przecież spory majątek ziemski na tym niegdyś dobrze zagospodarowanym skrawku południowej Wielkopolski.

Jak opowiadają nieliczni już mieszkańcy tego uroczego zakątka, właściciele posiadłości zmieniali się dość często i dziś trudno już odtworzyć wszystkie kolejne nazwiska gospodarzy Mieczkowa. Ostatnimi, których zapamiętano byli podobno Wilgoccy i Wagnerowie. W 1927 roku majątek ziemski rozparcelowano, sprzedając ziemię okolicznym rolnikom. Zaraz po II wojnie światowej mieszkało tu podobno około stu osób. Powyjeżdżali jednak do bardziej „cywilizowanych” wsi i miast. Starsi, którzy pozostali na miejscu stopniowo powymierali a po gospodarstwach i domach nie pozostał nawet najmniejszy ślad. Budynki rozsypały się w proch a sady i ogrody zarosły trawą i chaszczami. I tylko gdzieniegdzie, na skraju leśnej polany dożywają swych dni na pół spróchniałe owocowe drzewa.

Miejscami można znaleźć kilka kamieni, trochę pokruszonych cegieł, ślady studni. To wszystko co dziś pozostało po dawnych mieszkańcach Mieczkowa. Pozostała jeszcze legenda, opowieść a może prawdziwa historia o tragicznych losach córki jednego z właścicieli. Jak opowiadają najstarsi mieszkańcy Mieczkowa, ta młoda dama często karmiła swą duszę i ciało przelotnymi romansami, kłamstwem i ułudą. W wieku dwudziestu lat popełniła samobójstwo. Miało się to wydarzyć w wielkanocny poniedziałek. Płocha i podobno pusta z natury dziewczyna po powrocie z porannej mszy uganiała się jeszcze z wiadrami wody za swymi rówieśnikami, którzy zjechali na święta do mieczkowskiego dworu. Po zakończeniu dyngusowej zabawy odebrała sobie życie strzałem z rewolweru. Za swe nieczne postęпки została po śmierci zaklęta w młodą brzoźkę, która do dziś rośnie na kupce gruzu w miejscu, gdzie niegdyś stał Mieczkowski pałacyk.

Wierząc w te opowieści, w których zapewne jest jakieś ziarenko prawdy, opuszczamy z żalem to cudowne miejsce. Za kilka lat po budynkach mieczkowskiego majątku może nie pozostać już nawet najmniejszy ślad. Może ostanie się jedynie zieleniejąca każdej wiosny brzoza i towarzysząca jej smutna i romantyczna zarazem legenda o płoczej dziewczynie z mieczkowskiego dworu.



Węglewice

Pokój jego prochom

Mimo upływu czasu i stale zachodzących zmian, stary cmentarz w Węglewicach nadal pozostaje miejscem niezwykłym. Wystarczy przekroczyć bramę i wspiąć się na cmentarne wzgórze, by zanurzyć się w minionym świecie, pełnym niewyjaśnionych do dziś tajemnic i ludzkich dramatów zamkniętych w mogiłach, nagrobkach i krzyżach. Regularność rozplanowania, która jest tak charakterystyczna dla „nowoczesnych” cmentarzy ginie już po przekroczeniu pierwszego rzędu grobów. Przy cmentarnej bramie stoją okazałe nagrobki dawnych właścicieli Węglewic. Ich groby miały formę sklepionych podziemnych krypt w których składano trumny „dobrze urodzonych”. Na zewnątrz umieszczano solidną tablicę – żeliwną lub piaskowcową z informacją o dacie urodzin, śmierci oraz ewentualnych zaletach zmarłego. Do dziś takich tablic zachowało się tu może dwie lub trzy. Między innymi Antoniego Sulimierskiego herbu Sarykoń (1806 – 1861) i zmarłej w 1917 roku Rozalii Orłowskiej. Okazałych ziemiańskich grobów było tu niegdyś znacznie więcej.

Gdy zagłębimy się w gąszcz starych drzew porastających cmentarne wzgórze, których na szczęście nie wycięto w szale niszczenia, otwiera się przed nami kolejny świat drewnianych krzyży wyrastających na okolonych darnią kopczykach mogił. Chłopskie mogiły w minionych wiekach były zjawiskiem wyjątkowo nietrwałym. Pamięć o zmarłych trwała nie więcej niż jedno pokolenie. Chowano ich w prostym grobie, usypywano niewielki kopczyk, stawiano prosty drewniany krzyż, czasami nawet bez żadnej tabliczki informacyjnej. I na tym koniec. Rodzina odwiedzała grób zmarłego jedynie w dniu Wszystkich Świętych. Zaludniały się wówczas wiejskie cmentarze a groby pokrywały się kobiercem wykonanych ze świerkowych gałązek wieńców przyozdobionych bibułkowymi kwiatami, które dla usztywnienia i nadania im stosownego połysku, zanurzano na chwilę w roztopionym wosku lub parafinie. Na grobach palono świece, ksiądz święcił mogiły, odmawiano modlitwy. Na kolejny rok na cmentarzach zapadała niczym nie zmacona cisza. Przerzywał ją tylko pogrzebowy kondukt zmierzający od czasu do czasu z pobliskiego kościoła.

Wędrując po węglewickim cmentarzu napotykamy groby uczestników Powstania Styczniowego, żołnierzy kampanii wrześniowej, ofiar wojny i okupacji oraz wielu zasłużonych dla miejscowości i regionu osób. Najciekawszym nagrobkiem na starym węglewickim cmentarzu jest miejsce wiecznego spoczynku Michała Siemionowicza Pozdiewa. Z rosyjskojęzycznego napisu na nagrobnym pomniku dowiadujemy się, że Michał Pozdiew zmarł w roku 1905, przeżywszy 66 lat. Zaznaczono też, że był szlachcicem. Zważywszy, że w carskiej Rosji wszyscy szlacheccy synowie służyli w wojsku, także Michał Pozdiew musiał posiadać jakiś stopień wojskowy. Nazwisko Pozdiewów, choć rzadkie, spotykane jest na terenie Polski w czasach rosyjskiej niewoli. Na warszawskim cmentarzu prawosławnym spoczywa generał Hipolit Pozdiew (1845 – 1913). Był więc prawie rówieśnikiem pochowanego w Węglewicach Michała. A może łączyło ich jakieś pokrewieństwo? Żyjący w latach 1839 – 1905 Michał Pozdiew z pewnością związany był z pobliskim garnizonem wojsk carskich w Głazie i zapewne pełnił tam jakąś istotną funkcję. Trudno dziś ustalić, czy dowodził stacjonującym tu wojskiem służąc imperatorowi z dala od swej ojczyzny, która została gdzieś nad Donem czy Wołgą, czy też zajmował się czymś innym. Bardzo prawdopodobnym jest, że mógł pełnić tu funkcję lekarza wojskowego. Ze wspomnień starych mieszkańców tych ziem wynika, że w początkach

XX wieku w garnizonie w Głazie wybuchła jakaś epidemia, pociągając za sobą znaczną liczbę ofiar. Niedostateczne warunki sanitarne z pewnością przyczyniły się do rozwoju i przenoszenia choroby. Częstym widokiem był kondukt pogrzebowy ze zwłokami zmarłych żołnierzy podążający w wojskowej asyście z Głazu na węglewicki cmentarz. Zwykłych żołnierzy grzebano w prostych mogiłach z drewnianym krzyżem. Po roku 1914, gdy Rosjanie opuścili Głaz, żołnierskie mogiły, niepielęgowane, uległy zapomnieniu i zatarciu. Jedynie okazały i masywny nagrobek Michała Pozdiewa oparł się działaniu czasu i ludzi.

Groby Rosjan z charakterystycznymi prawosławnymi krzyżami napotykamy na wszystkich prawie cmentarzach wzdłuż Proсны która była graniczną rzeką pomiędzy dwoma zaborami: pruskim i rosyjskim. Oddaleni od swych rodzinnych stron o tysiące kilometrów latami służyli w nieznanym i obcym sobie kraju. Gdy zastawała ich tu śmierć, chowano ich na miejscowym katolickim cmentarzu, jedynie kształtem nagrobnego krzyża i rosyjską inskrypcją zaznaczając religijną odrębność zmarłego. Grób Michała Pozdiewa w Węglewiczach dawno już obdarło z metalowego krzyża i misternie kutego ogrodzenia. Warto jednak odwiedzić to niezwykle i pełne tajemniczego nastroju miejsce oraz koniecznie zatrzymać się na chwilę przy grobie tego Rosjanina, któremu na nagrobku wyryto cyrylicą jakże znamienity napis: „Mir prachu jewo” czyli „Pokój jego prochom”.



Moluch

Ślady, tropy, cienie...

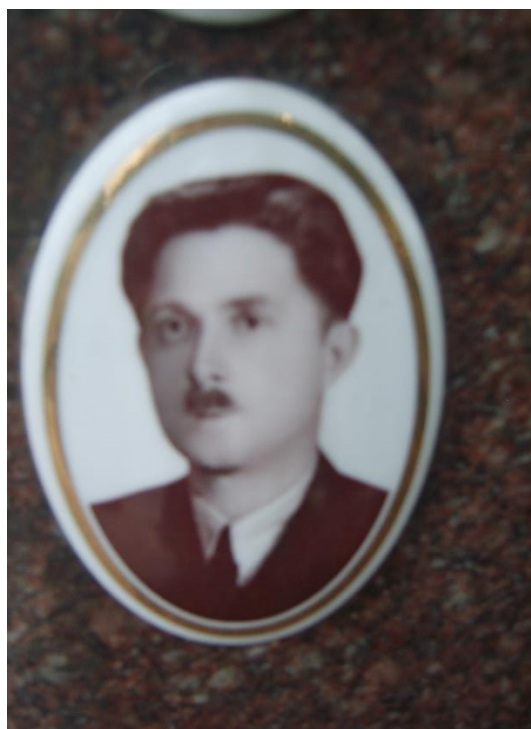
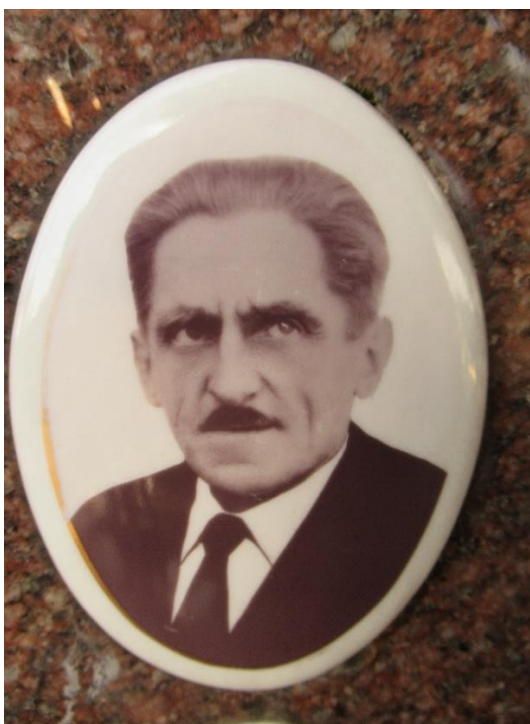
Nie ma cywilizacji, która pozbawiona byłaby genu zagłady. Wszystko zaczyna się i kończy. Koronowani, utytułowani, bogaci z całym swym majątkiem i splendorem znikali z powierzchni ziemi, a wraz z nimi całe ich bogactwo i ziemskie dobra. Dotyczy to nie tylko państw, imperiów czy królestw, ale także zwykłych wsi. Także w naszych okolicach były niegdyś wsie po których do dziś pozostały jedynie nazwy. Nie minie jedno pokolenie, gdy nawet nazwy tych miejsc rozpląną się w ludzkiej niepamięci. Odnaleźć je będzie można tylko przypadkiem na starych mapach czy w poślódkłych dokumentach z dawno minionych czasów.

Podobny los czeka niezadługo Bocian, Grobelki czy Moluch. Dziś Moluch, obok Felcina, Pieńków, Polesia i Wdowików, to administracyjnie części wsi Ostrówek. Moluch ma jednak swą własną historię, której początków szukać by trzeba przynajmniej przed dwustu laty. Centralnym punktem Molucha był młyn istniejący tam od niepamiętnych czasów. Jedno z najważniejszych źródeł informacji o dziejach małych miejscowości, jakim jest wydany w latach osiemdziesiątych XIX wieku „Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich” podaje, że Moluch to osada młyńska nad Strugą Węglewską, którą stanowił młyn wodny i dom zamieszkały przez 13 osób. Przytaczając te statystyczne informacje autorzy słownika opierali się na danych z przeprowadzonego w 1827 roku w ówczesnym Królestwie Polskim spisu ludności i budynków. W tym czasie osada młyńska wchodziła w skład dóbr Ostrówek, od których to została oddzielona w roku 1876 wraz z folwarkiem Polesie i przekazana w wieczystą dzierżawę. Prawna definicja „dzierżawy wieczystej” różni się od wiecznej tym, że umowa dzierżawna tej pierwszej zawierana jest na sto lat. Takie też było założenie w momencie oddania dzierżawcom młyna w Moluchu. Można przypuszczać, że pierwszymi dzierżawcami a później właścicielami tej młyńskiej osady była rodzina Głowinkowskich, prawdopodobnie w jakiś sposób związana z dawnym folwarkiem o nazwie Głowinkowskie, położonym w pobliżu Węglewic. Głowinkowskie, lub też jak dawniej pisano – „Głowinkowskie”, wymieniane jest we wspomnianym słowniku jako „folwark rządowy” w powiecie wieluńskim, gminie Galewice, parafii Cieszęcin, składający się w 1827 roku z dwunastu budynków zamieszkałych przez 67 osób. Trudno już dziś dokładnie wyjaśnić, jaki był związek dawnego folwarku o nazwie Głowinkowskie z okolicami Ostrówka. Jednak w 1919 roku, gdy ostatecznie zlikwidowano i rozparcelowano dawne „dobra rządowe”, część mieszkańców dzisiejszego Ostrówka, zwana wówczas Ostrówkiem Węglewskim, mimo sporego oddalenia, otrzymała ziemię po dawnym folwarku. Głowinkowscy mełli zboże w moluchowym młynie przez prawie sto lat. Przez ten wiek mieszkali tu po sobie przynajmniej cztery pokolenia tej młynarskiej rodziny. W „Katalogu Wieluńskim” z 1930 roku podano, że właścicielem młyna wodnego we wsi Moluch w gminie Galewice był Stefan Głowinkowski.

Nieco dokładniejszy opis tego miejsca znaleźć można w wydany w 1969 roku „Katalogu zabytków budownictwa przemysłowego w Polsce”. Według zawartych tam informacji, młyn wodny zbożowy o nazwie „Moluch” usytuowany był nad Strugą Węglewską w odległości około półtora kilometra na południowy wschód od wsi Ostrówek. Opisany w katalogu młyn miał zostać zbudowany w roku 1905. Był to naówczas drewniany budynek z dwuspadowym dachem pokrytym papą. Młyn z tego okresu posiadał dwie pary tzw. kamieni

francuskich, jagielnik i żubrownik na kamienie śląskie. Początkowy napęd kołem wodnym w 1934 zastąpiono turbiną. W katalogu natrafić można także na informację, iż młyn „Moluch” czynny był do około 1950 roku. W kolejnych latach, unieruchomiony, stopniowo popadał w ruinę. Ostatni powojenni właściciele czynnego jeszcze wówczas młyna, to Stefan i Czesław Głowinkowscy. Czesław, absolwent wydziału matematycznego i nauk przyrodniczych Uniwersytetu Poznańskiego, po zakończeniu II Wojny Światowej podjął pracę w odradzającym się polskim szkolnictwie. Rychło zniechęcony postępującą sowietyzacją polskiej oświaty, zrezygnował z pracy pedagogicznej i do końca swego życia mieszkał w Moluchu.

Dziś po młyńskiej osadzie nie ma nawet śladu. Jedyne kilka starych owocowych drzew, pozostałość sporego niegdyś sadu, przypomina nielicznym, że miejsce to było kiedyś zamieszkałe. Nawet walający się jeszcze do niedawna nad brzegiem Węglewskiej Strugi młyński kamień zniknął w nieznanymi okolicznościach i czasie. Poszukujących śladów przeszłości młyńskiej osady w Moluchu, tropy prowadzą jedynie do nielicznych wzmianek w starych opracowaniach. Po niegdyś tętniącym życiem i gwarnym miejscu oraz jego mieszkańcach pozostały jedynie cienie mogił na cmentarzu w Ostrówku, gdzie spoczywają ostatni właściciele moluchowego młyna. (Na zdjęciach; Węglewska Struga w okolicy Molucha oraz Stefan i Czesław Głowinkowscy – ostatni właściciele moluchowego młyna.)



Ostrówek

Uwięziony strażnik mostu

Święty Jan był strażnikiem mostu na Strudze Węglewskiej w Ostrówku od niepamiętnych czasów. Mieszkał sobie w zgrabnym, budyneczku drewnianej kapliczki obserwując wszystkich przechodzących i przejeżdżających przez most, którym wypadło podążać w pole, do kościoła lub dalej w kierunku Przybyłowa, Rybki czy Lututowa. Od czasu do czasu spoglądał w nurt rzeki, czy nie podniósł się poziom wody po wiosennych roztopach czy letnich nawałnicach. Pilnował też, by nikt przypadkiem nie wpadł do wody przez nieuwagę lub z własnej, zapewne złej woli, nie szukał śmierci w rwącym nurcie głębokiej tuż przy moście rzeki. Kątem oka obserwował także pobliski młyn i młyńskie stawy poprzedzielane stawidłami i groblami. Kapliczka z mieszkającym w niej Świętym Janem była tak stara jak stojący tu niegdyś drewniany kościółek wzniesiony w 1727 roku.

Po drugiej stronie młyńskich stawów, nad potokiem stał dwór. Ileż było po całej okolicy takich dworców drewnianych, niekiedy strzechą krytych, w której to „ziemiaństwo” klepało biedę przez całe pokolenia, zmagając się z piaszczystą glebą, podatkami, wojnami, morowym powietrzem i kataklizmami przyrody – nikt dziś nie zliczy. W każdej prawie wsi, w każdej osadzie było takie miejsce, trwające niezmiennie przez stulecia. Wojny, najazdy, narodowe powstania, zmiany ustrojów eliminowały kolejno mniej odpornych na przemiany polityczne i gospodarcze. Wyzbywano się majątków, podlegały podziałom, konfiskatom, parcelacjom, opuszczano je niejednokrotnie, szukając innego sposobu na lepsze życie. Żelazo, Zawady, Moluch, Dąbie, Foluszczyki, Brzeziny – to tylko niektóre z miejsc, gdzie po dawnych „majątkach”, dworach, folwarkach pozostały jedynie nikłe wspomnienia lub kilka prastarych drzew wyznaczających granice dawnych posiadłości. Tak samo dwór w Ostrówku uległ zapomnieniu, zagubieniu gdzieś na pograniczu czasów, może jeszcze przed a może już po pierwszej światowej wojnie. Tylko Święty Jan trwał na swym posterunku, niezmiennie strzegąc przeprawy przez Strugę, która napędzała młyńskie koła, zasilala rybne stawy i obmywała podstawę wzniesienia, na którym stał ostrowski dwór. Trwał do nieodległych nam czasów, kiedy to zaczęto zmieniać stare trakty na asfaltowe drogi, wyznaczając im bieg zgoła inny od tego, jaki miały jeszcze przed wiekiem.

Z czasem most, którego tak wytrwale strzegł przez wieki ten patron od powodzi okazał się nikomu niepotrzebny. Drogę, która niegdyś wiodła do mostu zagroził wysoki nasyp szosy. Młyn spłonął w pierwszych dniach ostatniej wojny a rybne i młyńskie stawy zarosły olszyną i zielskiem. Święty Jan ze swą kapliczką jakby zmałał, skurczył się i przygarbił. Jej fundamenty coraz głębiej zapadały się w ziemię. Nieużywany most wkrótce rozebrano. Pozostały tylko murowane przypory, obok których rzeka znalazła sobie nowe koryto.

Dziś resztki tych budowli smutnie wystają z dna rzeki, jako niemi świadkowie nieubłagane zachodzących zmian. Świętemu Janowi nie było już czego strzec. Litościwi ludzie przenieśli go wraz z jego domkiem w pobliże nowego kościoła. Dzięki temu przetrwał do dziś. Stoi, uwięziony w kamiennym murze przykościelnego ogrodzenia, odwrócony plecami do przepływającego niegdyś u stóp dworu potoku, i tylko kątem oka spogląda niekiedy w lewo, na miejsce gdzie spędził tyle czasu strzegąc młyna, stawów, mostu i przechodzących po nim ludzi.



Wieruszów

Nie dzielą ich mury

Każdy prawie stary cmentarz, każda wiekowa nekropolia, niczym wiekowe drzewo spowita jest pierścieniem przemijających pokoleń i tradycji. To wszystko, co przemija i pozostaje jedynie w postaci symbolicznych nagrobków spowija stare cmentarze niczym ciemnozielone pnącza bluszczu - rośliny typowej i charakterystycznej dla miejsc wiecznego spoczynku naszych przodków. Wieruszów od zawsze był miastem leżącym na zachodnich kresach Rzeczypospolitej. Tu od wieków krzyżowały się i wzajemnie przenikały wpływy kultury polskiej, niemieckiej, żydowskiej i wreszcie rosyjskiej. Ta kulturowa różnorodność znajduje dziś swe odbicie nie tyle w pomnikach architektury co w okalających miasto cmentarzach.

A mamy ich tu aż cztery: ewangelicki i katolicki w Wieruszowie - Podzamczu, żydowski nad brzegiem Brzeźnicy i wreszcie ten największy, najważniejszy - położony przy ulicy Bolesławieckiej. Cmentarz przy ulicy Bolesławieckiej jest nekropolią szczególną. Spoczywają na nim katolicy, ewangelicy i prawosławni, nie mówiąc już o części tzw. cholerycznej, gdzie w zbiorowych mogiłach chowano zmarłych w 1852 roku na to morowe powietrze mieszkańców Wieruszowa, nie robiąc żadnej różnicy w wyznaniu ofiar epidemii.

Praktyką w dziejach było, że każde wyznanie zakładało dla siebie osobny cmentarz. I tak katolicy spoczywali na cmentarzu katolickim, ewangelicy na ewangelickim, prawosławni na prawosławnym. Wszystkie poszczególne nekropolie, oddzielone były od siebie stosownym murem, lub jeśli nie znajdowały się w sąsiedztwie - stanowiły odrębne cmentarze. Co ciekawe, o ile za życia współistnienie poszczególnych nacji układało się przynajmniej poprawnie, to po śmierci w większości przypadków izolowano się jak najściślej.

Dość ciekawym a rzadko spotykanym zjawiskiem jest grzebanie zmarłych różnych wyznań na wspólnym cmentarzu. Przemawiały za tym przeróżne względy, z których najistotniejsze to położenie geograficzne i historyczne dzieje danej miejscowości, miasta, regionu. Cmentarze, jakbyśmy je dziś mogli nazwać - "mieszane", spotykamy głównie na kresach, gdzie przez stulecia naszej historii trwało przemieszanie i wzajemne przenikanie się nacji, religii i kultur.

Wieruszów i sąsiednie miejscowości przez całe prawie tysiąclecie dziejów naszej Ojczyzny położone były na zachodnich kresach Rzeczypospolitej. Bogate w dramatyczne wydarzenia dzieje ziem nad Prosną nie różniły się zasadniczo od dziejów terenów położonych gdzieś nad Dniestrem czy Prutem. Wydarzenia związane z bolesławieckim zamkiem niczym nie ustępują dziejom Kamieńca Podolskiego czy Zbaraża - kresowych twierdz - tak plastycznie opisanych w sienkiewiczowskiej Trylogii.

Burzliwe dzieje zawsze znajdują swe odbicie w nagrobnych krzyżach, pomnikach i epitafiach. Nie inaczej jest też na założonym na przełomie XVIII i XIX wieku wieruszowskim cmentarzu przy ulicy Bolesławieckiej. Mimo upływu prawie dwóch wieków zachowało się tu jeszcze kilka ciekawych nagrobków z XIX i początków XX wieku. Stoją też dobrze zachowane dwie kaplice cmentarne: ewangelicka i katolicka. Obydwie pochodzą z drugiej połowy XIX

wieku. Nie mniej ciekawa jest neogotycka brama wejściowa, którą zbudowano tu w latach osiemdziesiątych dziewiętnastego stulecia. Na pochodzących w dziewiętnastego i początków dwudziestego wieku grobowych pomnikach zachowało się kilka ciekawych napisów i sentencji nagrobnych. Każdy nagrobek, jak cały zresztą cmentarz, stanowi zespół znaków mających przypominać o minionym istnieniu ludzkim. W nagrobkach i wyrytych na nich napisach zamknięta została historia życia i pracy kilku pokoleń mieszkańców Wieruszowa, przekazywana nam, współczesnym przy pomocy tychże inskrypcji. Nagrobne inskrypcje obejmują zarówno teksty pisane prozą i zawierające dane biograficzne o zmarłym (personalia, lata życia, zawód, pozycję społeczną), prośby o modlitwę i czasami teksty poetyckie, będące swego rodzaju aneksami do wspomnianych wyżej danych. Najstarsze inskrypcje nagrobne pochodzące z pierwszej połowy XIX wieku stanowią grupę zasadniczo różniącą się pod względem treści i formy od napisów powstałych po roku 1939 i współczesnych.

Każda inskrypcja zawiera informację o tożsamości zmarłego i podaje lata jego życia albo przynajmniej datę śmierci. Identyfikuje więc grób z konkretną osobą. Aby owa identyfikacja była pełniejsza, często wymieniano również zawód bądź pozycję społeczną zmarłego. Zawarte w nagrobnych tekstach dane mają dziś dla nas istotne znaczenie poznawcze. Zabory i wojenne zawieruchy pustoszyły zasoby archiwalne, zaś treści utrwalone na nagrobkach wiele wnoszą do naszej wiedzy o lokalnych osobistościach, które odgrywały znaczną rolę w życiu Wieruszowa i okolicy. Nagrobne inskrypcje, zarówno te pisane prozą, jak i poezją, akcentowały przymioty zmarłego, które zdaniem jego współczesnych i najbliższych były szczególnie godne szacunku i uznania. Podkreślano przede wszystkim zalety skromnego, uczciwego życia, wzorowe wywiązywanie się z obowiązków wobec swoich bliskich i Ojczyzny. Szczególne miejsce zajmują tu, zwłaszcza na nagrobkach katolickich, napisy dedykowane pamięci zmarłych rodziców i współmałżonków. I tak, na nagrobnym pomniku zmarłego w 1901 roku Michała Świeściaka czytamy:

Praca i cnotą szedł przez życie całe

Przedąc żywota nić szarą

Dla dobra Dzieci, Bogu na chwałę

Z miłością w sercu i wiarą

Każda nagrobna inskrypcja była wyrazem żalu po stracie bliskiej osoby. Dlatego też nagrobne napisy często ukazują stosunek żyjących do tragicznego faktu, jakim jest śmierć drugiego człowieka. Bardzo ciekawe są napisy, w którym jego fundator informował o swoim nastawieniu wobec śmierci drugiej osoby. W ten sposób żyjący, publicznie manifestowali uczucie bólu, cierpienie i rozpacz po stracie tych którzy odeszli, a których kochali. Na najstarszym bodajże nagrobku wieruszowskiego cmentarza, kryjącym doczesne szczątki żyjącej w latach 1788 - 1833 Izabeli z Grębeckich Konieckiej można przeczytać następujący czterowiersz:

*Okropna śmierci! Patrz na swoje dzieło
Gdyś w grób wtrąciła Matłżonkę mi miłą
Wydarłaś Matką dla Dzieci troskliwą
Obywatelkę dobrą, o Wiarę gorliwą*

Wśród wielu nagrobnych napisów i sentencji szczególne miejsce zajmują patetyczne teksty umieszczane na grobach dzieci i ludzi młodych. Ich fundatorzy spontanicznie wyrażali swój głęboki żal, poddając się jednak woli Bożej, pełni wiary w życie na "tamnym świecie". I tak, na nagrobku zmarłego w 1912 roku w wieku 22 lat Stanisława Hąci napisano:

*Żal nasz bezmierny
Cichą łzą się sączy
Umilknie wtenczas
Gdy nas Bóg znów złączy*

Fundatorzy nagrobków i nagrobnych napisów w imieniu zmarłego wyrażali swe przekonania religijne i wynikający z nich stosunek do śmierci. W inskrypcjach niejednokrotnie znajdowała wyraz wiara w to, że śmierć nie oznacza ostatecznego kresu istnienia, a człowiek może swoim życiem i czynami na tym świecie zasłużyć na nagrodę lub karę po śmierci. Do wyjątkowo interesujących w tym względzie nagrobnych sentencji należą te na bardzo nieliczne już zachowanych w całości nagrobkach w ewangelickiej części wieruszowskiej nekropolii. Na nagrobku żyjącego w latach 1838 - 1899 Michała Skujina wryto napis o zastanawiającej dziś treści: Albowiem lepsze jest miłosierdzie Twoje, niż żywot grzeszny.

Czytając zatarte już dziś stare napisy na cmentarnych pomnikach wieruszowskiego cmentarza nie sposób pominąć osoby fundatorów nagrobka. Wymienienie w nagrobnym napisie fundatorów umożliwia dziś wyciągnięcie wniosków co do związków rodzinnych i emocjonalnych ze zmarłym. Najczęściej nagrobek stawiali członkowie najbliższej rodziny: dzieci, rodzice, rodzeństwo, współmałżonek lub dalsi krewni. Zdarzało się jednak inaczej. Na położonym w części ewangelickiej wieruszowskiego cmentarza nagrobku zmarłego w 1900 roku w wieku 28 lat Wilhelma Forajty widnieje wryty w piaskowcu napis: W dowód pamięci od koleżanek i kolegów. Najmniej oryginalnych nagrobków zachowało się w części prawosławnej wieruszowskiego "domu umarłych". Najlepiej zachowanym, z oryginalnym, prawosławnym krzyżem jest nagrobek Włodzimierza Umińskiego urodzonego w 1904 roku, któremu dane było przeżyć zaledwie pięć lat. Każdy grób na wieruszowskim cmentarzu przy ulicy Bolesławieckiej jest swego rodzaju pomnikiem stawianym na cześć, a umieszczony na nim napis - znakiem pamięci. Zaś inskrypcja nagrobna chronić ma przed mrokiem zapomnienia minione, niepowtarzalne ludzkie istnienie. Z jednej strony przekazuje wiedzę o zmarłym, z drugiej zaś informuje o stosunku żyjących do zmarłego. Jednocześnie napisy nagrobne są dziś źródłem wiedzy o związkach międzyludzkich, genealogii, porządku społecznym a także historycznych uwarunkowaniach. Warto zatem przekroczyć bramę wieruszowskiego cmentarza i przyjrzeć się starym, zabytkowym nagrobkom oraz spróbować

odczytać owe znaki pamięci pozostawione przez tych, którzy żyli tu przed nami i mieli to szczęście, że ani za życia, ani też po śmierci nie dzieliły ich mury nietolerancji.



Krupka

Muzyka i stary młyn

Mogło by się wydawać, że dziś romantycznych miejsc i wspaniałych ludzi już niema. Że w pogoni za ciągle przyspieszającym czasem, pieniędzmi, sukcesem szukać ich można jedynie na kartach literackich dzieł i starych pamiątek.

Krajobrazy, widoki i miejsca w których można zakochać się od pierwszej chwili, zatracić się wprost w nich, zapominając o całym świecie mogą jednak istnieć nie już tylko w wyobraźni artystów, pisarzy, malarzy czy filmowców, ale trwać niezmiennie od wielu lat i pokoleń, zachwycając każdego dnia, o każdej prze roku swym niepowtarzalnym, jakby zatrzymanym w „kadrze czasu” urzekającym pięknem i niepowtarzalną atmosferą.

Takim niesamowitym miejscem, zjawiskiem na wskroś namacalnym, cudowną krainą pełną ciszy, spokoju i harmonii jest młyn Krupka koło Bolesławca i wszystko to, co go otacza w promieniu kilku kilometrów.

Mickiewiczowski „Pan Tadeusz”, „Noce i dnie” Marii Dąbrowskiej i tak urzekająco opisana przez Tadeusza Konwickiego „Bohiń” zlewają się tu w jeden rzeczywisty byt materii i ducha. Stary młyn nad obrośniętym szuwarami stawem, stary dom, drzewa, krajobraz okolicy i żyjący w tym jedynym w swoim rodzaju zakątku ludzie składają się na tę przedziwną atmosferę przenikania i trwania we wzajemnej harmonii dwóch światów – przeszłego i teraźniejszego.

Młyn należy już do świata przeszłego. Przeszłego i minionego w tym sensie, że mimo swego materialnego istnienia, czas jego „życia” jest już czasem minionym. Opiera się dzielnie nieubłaganemu a destrukcyjnemu działaniu czasu, który skutecznie likwiduje kolejne piękne i wartościowe drewniane budynki, kościółki, wiatraki i inne obiekty wykonane przed wiekami z tego najłatwiej dostępnego i najzdrowszego surowca, jakim było drewno.

Młyn w Krupce trwa i przeglądając się w lustrze stawu zda się dumać i wspominać o czasach swej świetności, którymi był prawie cały miniony wiek.

Zbudowano go pod koniec XIX lub na samym początku XX wieku. Drewniany, dwupiętrowy budynek młyna wzniesiono na drewnianych a później zmienionych na betonowe palach nad rzeczką zwaną Młynówką, która jest prawobrzeżnym dopływem Proсны. Początkowo młyńskie urządzenia i mechanizmy czerpały napęd z podsiębiernego koła wodnego. W latach trzydziestych koło zamieniono na nowoczesną jak na owe czasy turbinę, unowocześniając jednocześnie wyposażenie młyna. Tak udoskonalony młyn był wówczas w stanie przemielić na mąkę około dwóch ton zboża na dobę. Dziś młyn nie mieli już zboża.

Czasy po II wojnie światowej nie były przychylne dla wiejskich młynów i wiatraków. Przemiany polityczne i gospodarcze coraz bardziej spychały je na margines życia gospodarczego wsi. Zawód młynarza, tak jak kowala, bednarza czy kołodzieja stawał się coraz rzadszy. Przyszedł wreszcie taki dzień, w którym raz na zawsze zatrzymano młyńskie urządzenia, by już nigdy ich nie uruchomić. W całym młynie zapadła głucha cisza. Nie słyhać już dziś szumu wody w turbinie, terkotu walców i przekładni czy miarowego postukiwania poruszających się sit, przez które przesypywała się mąka.

Przejmującą ciszę zaczęły jednak stopniowo wypełniać dźwięki muzyki. Natura, w swej doskonałości, nie znosi próżni. Wypełnianie istniejącej próżni nie dotyczy jednak tylko materii. Dotyczy także, a może przede wszystkim, koloru, zapachu i oczywiście dźwięku.

Muzyka nad Prosnę trafiła za sprawą właściciela i gospodarza Krupki – Bohdana Pilarskiego.

Urodzony w 1931 roku w Brzozowcu w województwie nowogrodzkim, po II wojnie światowej zmuszony przez komunistów do zmiany wschodnich na zachodnie kresy Rzeczypospolitej. Do gimnazjum i liceum uczęszczał w Kępnie a następnie w Poznaniu, gdzie w 1951 roku zdał maturę w Liceum Ogólnokształcącym im Jana Kantego. Ucząc się w Poznaniu uczęszczał jednocześnie do Konserwatorium Muzycznego. W 1951 roku rozpoczął studia w Instytucie Muzykologii Uniwersytetu Poznańskiego. Od 1953 roku kontynuował studia muzykologiczne na Uniwersytecie Warszawskim, które ukończył w 1956 roku uzyskując tytuł magistra historii i teorii muzyki.

Po ukończeniu studiów przez wiele lat był redaktorem „Ruchu Muzycznego” współpracując podówczas z Zygmuntem Mycielskim i Stefanem Kisielewskim. Poprzez swą publicystykę na łamach „Ruchu Muzycznego” oraz szeregu innych polskich i zagranicznych czasopism muzycznych dał się poznać jako bezkompromisowy krytyk wszechobecnego wówczas i obowiązującego w sztuce socrealizmu. Lata 1962 – 1965 to okres pobytu w Paryżu. W mieście nad Sekwaną studiował historię i estetykę na paryskiej Sorbonie oraz historię sztuki i antropologię w College de France. Nie rozstawał się jednocześnie z działalnością publicystyczną, pracując we francuskim radiu i telewizji. W trakcie francuskich studiów wiele podróżował po Europie Zachodniej i USA. Zetknął się wówczas z większością czołowych przedstawicieli polskiej emigracji: generałem Władysławem Andersem, Józefem Czapskim, Jerzym Giedroyciem, Witoldem Gombrowiczem, Czesławem Miłoszem, Kazimierzem Wierzyńskim, Gustawem Herlingiem Grudzińskim. Po powrocie do kraju w 1965 roku ówczesne komunistyczne władze nie zezwoliły mu już na powrót do Paryża. Został aresztowany i pozbawiony paszportu konsularnego, który wcześniej otrzymał w ambasadzie polskiej w Paryżu. W 1969 roku ukazała się jego książka „Szkice o muzyce” będąca podsumowaniem kilkunastoletniego okresu pracy naukowej, badawczej i krytycznej.

Powołany przez Witolda Rowickiego w latach 1970 – 1972 pełnił funkcję kierownika programowego warszawskiej Filharmonii Narodowej, przyczyniając się do osiągnięcia przez tę placówkę wysokiego poziomu artystycznego.

Wobec zawężających się w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych możliwości swobodnego działania w zakresie kultury muzycznej, powrócił do Krupki gdzie poświęcił się pracy naukowej oraz prowadzeniu gospodarstwa. W 1975 roku był jednym z sygnatariuszy protestu intelektualistów przeciwko wprowadzeniu do ówczesnej Konstytucji PRL zapisów o przewodniej roli PZPR i sojuszu z ZSRR.

Niestrudzony organizator życia kulturalnego i społecznego od prawie trzydziestu lat czyni wszystko, by przybliżyć kulturę muzyczną mieszkańcom regionu. To dzięki jego staraniom zorganizowano dziesiątki koncertów w Wieruszowie, Bolesławcu, Ożarowie i Antoninie z udziałem najwybitniejszych polskich wykonawców. W 1981 roku zorganizował w gminie Bolesławiec NSZZ RI „Solidarność” i został przewodniczącym jego zarządu.

W 1989 roku został wybrany posłem na Sejm w którym zasiadał przez dwie kadencje jako członek Komisji Kultury i Środków Przekazu. Jego działalność jako delegata Polski do Parlamentu Europejskiego mogła by być tematem kolejnego, obszernego artykułu.

Rytm roku w Krupce wyznaczają prace polowe, prowadzenie koncertów i wykładów z dziedziny muzyki w różnych miastach Polski. Odpoczynek, to słuchanie muzyki Szymanowskiego, Ravela, Mozarta czy Vivaldiego. Muzyka wypełnia stary dom w Krupce bez reszty. Ze ścian patrzą portrety słynnych kompozytorów, a w bibliotece obok fortepianu stoją tysiące książek z dziedziny muzyki, historii, kultury. Nic też dziwnego, że to jedyne w swoim rodzaju miejsce odwiedzają muzyczne sławy, poeci, prozaicy i malarze.

Mimo oddalenia od centrów kultury, miejsce to w żadnym wypadku nie jest prowincją. To tu skupiają się niewidzialne „nici” i prądy kultury, nie tylko muzycznej a panująca w tym miejscu przedziwna atmosfera sztuki i pewnej tajemniczości przyciąga i jednocześnie inspiruje

każdego, kto posiada chociażby odrobinę wrażliwości na rzeczy wielkie, choć całkiem niematerialne, którymi kultura w każdym jej wydaniu była zawsze, i miejmy nadzieję na zawsze pozostanie.



Biadaszki

Skrzypce zaczarowane

Dawno i bezpowrotnie minęły już w naszych stronach czasy wiejskich muzykantów, kapel i ludowych zabaw. Jeśli już, to tradycje dawnego wiejskiego muzykowania kultywują gdzieś zespoły folklorystyczne w ośrodkach kultury, kierowane przez doświadczonych instruktorów czy animatorów, których twórczość i muzyczny kunszt prezentowane są na cyklicznych konkursach, festiwalach i przeglądach. Wrażliwość na muzykę jest cechą właściwą każdemu człowiekowi, chociaż w różnym stopniu. Nie każdy obdarzony jest talentem muzyka – instrumentalisty. Prawdziwymi muzykami zostają jedynie ci, którzy zostali przez naturę obdarzeni dobrym słuchem i muzycznym talentem. A takich jest niewielu. Wiejskich muzykantów nazywano u nas grocami lub grocykami. Dawniejszymi czasy grocykowie przygrywali w licznie rozsianych tu karczmach, na wiejskich weselach i zapustowych „muzykach”. Na pewno bez muzyki nie mogła się obyć słynna karczma lututowska Rocha Ostrzyckiego w Ostrówku czy równie znana przybyłowska, zwana „Na Bąku”. Z ustnych przekazów wynika, że zabawy z muzyką dość często organizowane były także w moim

rodzinnym, starym domu w Brzózkach. Z uwagi na to, że dom ten był bardzo obszerny, największy z jego pokoi doskonale nadawał się na zorganizowanie tam, jak to wówczas nazywano – pograjki. Pojedynczy wiejski muzykant zazwyczaj nie miał możliwości artystycznego wyrażenia się ani też szans na społeczny i artystyczny sukces. To uzyskiwał dopiero w kapeli, złożonej najczęściej z trzech grajków.

W XIX i jeszcze w pierwszej połowie XX wieku kapela w naszych okolicach najczęściej składała się ze skrzypka, basisty i bębniasty wybijającego rytm. Z tych trzech najtrudniejszym instrumentem były skrzypce. To właśnie skrzypek; wirtuoz, mistrz i prymista decydował o osobowym składzie kapeli, dobierając sobie współgrajków oraz przyjmując zamówienia na muzykanckie usługi po weselach, zabawach i majówkach. Bywali muzykanci lepsi i gorsi. Ci bardziej utalentowani, najczęściej samoucy, grający ze słuchu wirtuozi skrzypiec, budzili wśród uczestników zabaw i wiejskiej społeczności największe emocje; od podziwu, chęci naśladowania poprzez bojaźliwe zainteresowanie, nieokreślone obawy aż do zabobonnego lęku. Techniczne umiejętności gry, wydobywanie z niepozornego instrumentu wręcz niezwykłych tonów i dźwięków oraz to szczególnie nieuchwytnie psychiczne oddziaływanie muzyki na słuchaczy i uczestników zabawy było dla mieszkańców wsi wręcz niewytłumaczalne bez udziału sił nadprzyrodzonych. Niewytłumaczalność efektu jaki dawało zespolenie talentu z cechami dobrze brzmiących skrzypiec rodziła przekonanie o możliwości uzyskania tego stanu przez odpowiednie zabiegi magiczne czy też wprost spółkę z siłami nieczystymi. Dla dziś żyjących są to już sprawy niezaprzeczalnie zaliczane do zabobonów. Przekonanie o nadprzyrodzonych właściwościach instrumentów i kontaktach muzyków z siłami nieczystymi było jednak bardzo silne i odbiło się wyraźnie w muzycznej tradycji kultury europejskiej, chociażby w postaci znanych utworów muzyki klasycznej, takich jak chociażby opera „Czarodziejski flet” Mozarta czy legendarne „Diabelskie skrzypce” Paganiniego. Magicznym praktykom i spółce z diabłem przypisywano grę najlepszych muzykantów. Najsłynniejszym z tej kategorii skrzypków, znanym w naszych okolicach był bez wątpienia Józef Kierski. Urodził się w 1840 roku w Rossoczycy koło Warty. Ten wyjątkowo utalentowany skrzypek w ówczesnej opinii społecznej uchodził za czarownika, guślarza, wiejskiego „cudoka”, który rozmawiał ze swymi skrzypcami, czarował, zażegnywał choroby i uroki, tańczył z kieliszkiem na głowie. Opowiadano, że przyjaźnił się z diabłem, co pozwalało mu grać równocześnie na dwóch lub trzech weselach. Jemu współcześni przypisywali mu posiadanie tajemniczej tabakierki w której rzekomo siedział diabeł pilnujący jego skrzypiec, dzięki czemu mogły one grać same, jedynie zawieszane na ścianie. Jakaż musiała być wyrazistość i oryginalność osoby Józefa Kierskiego, skoro jeszcze w latach sześćdziesiątych minionego wieku z przejściem opowiadali o nim mieszkańcy wsi Grądy koło Węglewic a wiejskie zabawy odbywające się w Leliwie do końca w lat osiemdziesiątych XX wieku cieszyły się wyjątkowym i niesłabnącym uznaniem! Józef Kierski należał do kategorii muzykantów wędrownych. Przemieszkował po różnych miejscowościach u różnych osób. Często zmieniał skład swej kapeli. Większość swego tułaczego muzycznego życia spędził w okolicach Bidadzek, Węglewic, Czajkowa, Brąszewic, Grabowa nad Prosną i Leliwy. Zmarł około 1890 roku i pochowany został najprawdopodobniej na cmentarzu w Klonowej. Może to właśnie wybitnemu talentowi, niezwyklej osobowości i muzycznej legendzie Józefa Kierskiego należało by zawdzięczać, że w naszych stronach, nad Węglewską Strugą i Prosną znalazło się wielu ludowych grocy z większym lub mniejszym

talentem, grających lub chociażby próbujących grać na skrzypcach, tworząc i dobierając sobie członków kapeli. Do bardziej znanych zaliczyć można żyjącego w pierwszej połowie minionego wieku Ignacego Zajęca z Grądów koło Węglewic, Antoniego Tomczaka (1907 – 1985) z Olendrów czy Andrzeja Jasińskiego (1906 – 1980) z Gąszczy. Grą na skrzypcach parał się także Stanisław Krzemień (1920 – 2008) ze wsi Konaty oraz zapewne wielu innych, dziś już zapomnianych.

Na zakończenie nie wypada nie wspomnieć także o bardziej nam współczesnym grocu, wirtuozie już nie skrzypiec, ale trąbki – Czesławie Kalecie z Gąszczy. Urodził się w Zatajach w 1930 roku. Gry na trąbce uczył się prawie od dziecka w prowadzonej przez nauczyciela szkoły podstawowej w Biadaszkach Romana Dziuka szkolnej orkiestrze dętej. Czesław Kaleta prawie przez całe swoje życie przygrywał na niezliczonych wiejskich weselach, zabawach, balach, majówkach i innych uroczystościach. Znany w szerokiej okolicy prowadzony przez niego zespół powszechnie nazywano od jego nazwiska „Kaletkami”. Zmarł w 2009 roku. Mimo że świat wiejskich muzykantów dawno już odszedł w zapomnienie, nie zmienia to faktu, że to właśnie oni, wiejscy groce, byli wyjątkową kategorią mieszkańców dawnej, tradycyjnej wsi, tworząc przez stulecia jej żywą i oryginalną kulturę artystyczną.



Nawrotów

Miejsce chlebem pachnące

Na Zaprośniu opuszczony pałac, dwór czy folwark nie jest czymś niezwykłym. Dobrydział, Mieczków, Plugawice, Torzeniec, Mikorzyn... Pozostałości po porzuconych gospodarstwach jest tutaj mnóstwo. Jeszcze całkiem niedawno te miejsca były pełne ludzi, którzy żyli z tego, co urodziła ziemia. Dziś opuszczone, kiedyś były zaludnionymi wyspami na morzu upraw. W centrum zazwyczaj stał dom właściciela lub zarządcy. Dokoła znajdowały się budynki gospodarcze. Spichlerze, obory, chlewiki, stodoły. Każde takie gospodarstwo było dobrze zorganizowane i otoczone ziemią. Prawdziwy raj! Do takich miejsc zazwyczaj prowadziły dobrze wybrukowane drogi, które łączyły folwarki z okolicznymi miejscowościami. Dziś niewiele zostało z większości podobnych enklaw, które miały własne cele i rządziły się swoimi prawami. Życie w nich miało zapach i smak chleba.

Takim opuszczonym folwarkiem jest też Nawrotów koło Teklinowa w Gminie Wieruszów. Zaznaczone na starej niemieckiej mapie miejsce to nazywa się Naurath. Dziś ten opuszczony folwark znany jest pod nazwą Teklinów – Nawrotów. Pierwotna niemiecka nazwa nie jest niczym dziwnym, zważywszy, że tereny te znalazły się po polskiej stronie granicy dopiero w 1920 roku. Doszukiwanie się w dzisiejszej nazwie folwarku związku z nazwiskiem Nawrot jest raczej mylnym tropem. Miejscowość o tej samej nazwie; Naurath, znajduje się także w niemieckim kraju związkowym Nadrenii – Palatynacie. W dowolnym tłumaczeniu znaczy to tyle, co „nowe zarządzenie” lub „nowe postanowienie”. Z wydanej w 1928 roku w Kępnie książki pod tytułem „Powiat kępiński z mapką powiatu”, autorstwa J. Janiszewskiego można się dowiedzieć, że majątek ten obejmował wówczas 1200 mórg a jego właścicielem był Raczyński. Ta wydana przed prawie stu laty książka jest prawdziwą kopalnią wiedzy o stanie majątków ziemskich i stosunkach własnościowych na Zaprośniu w pierwszych latach II Rzeczypospolitej. Do dziś można ją jeszcze znaleźć w niektórych domach po lewej stronie Proсны, gdyż wydrukowana w kępińskiej drukarni była bezpłatnym dodatkiem do ukazującej się w Kępnie w latach 1913 – 1939 gazety „Nowy Przyjaciół Ludu”.

Do dziś o stojącym tam pałacyku, mówi się „dwór Raczyńskich”. Wydaje się, że Raczyńscy gospodarowali tu do wybuchu II Wojny Światowej. Każdy kolejny ustrój polityczny zawzięcie niszczy dorobek swego poprzednika. Dewastuje go i unicestwia z największą zjadłością, wątpię, czy w ogóle zrozumiała dla ludzi żyjących w tych miejscach od pokoleń i stuleci. W czasie okupacji Niemcy traktowali te tereny jako „odzyskane”, po prawie dwudziestu latach ich przynależności do Polski. Wszystkie okoliczne majątki ziemskie podlegały „dobrowolnemu” przekazaniu na rzecz Rzeszy Niemieckiej, co wiązało się z usuwaniem dotychczasowych polskich właścicieli. Po wojnie Raczyńscy przestali być gospodarzami w Nawrotowie. Ziemia i zabudowania zostały upaństwowione. Na miejsce dotychczasowych właścicieli wprowadził się PGR. W myśl zasad komunistycznej, centralnie sterowanej gospodarki rolnej, majątek Nawrotów stał się filią PGR w Lubczynie, który to znowu podlegał zwierzchności Kombinat Rolnego PGR w podkępnińskich Mianowicach. Po przemianach 1989 roku nastąpił szybki upadek i dewastacja gospodarstwa. Kolejnym właścicielem Nawrotowa stała się państwowa Agencja Nieruchomości Rolnych. Gospodarowanie tej ostatniej polega głównie na porzuceniu i pozostawieniu samym sobie zasobów pozostających w jej dyspozycji.

Większość budynków gospodarczych niegdyś świetnie prosperującego majątku uległo zupełnej ruinie. Pozarywane dachy, powybijane okna, odpadające tynki, wszechobecne chwasty i zaniedbanie składają się na dzisiejszy obraz tego miejsca. Przypałacowy park to typowy „busz nadprośniański”, niemożliwy do przedarcia się bez pomocy maczety i siekiery. Jedynie w neobarokowym pałacyku z przełomu XIX i XX wieku mieszka jeszcze kilka rodzin, co chroni obiekt przed zupełną ruiną. Jedynie pola wokół tego miejsca, rozłożone w malowniczym, falistym krajobrazie, jak dawniej, nadal pachną słońcem i chlebem.



Biadaszki

Postrach ormowców i pepeerowców

W 1946 roku „władza ludowa” utworzyła Ochotniczą Rezerwę Milicji Obywatelskiej (ORMO) – paramilitarną organizację do walki z opozycją antykomunistyczną i terroryzowania społeczeństwa poprzez śledzenie, donosy i tropienie wszelkich objawów niezadowolenia społecznego. Członkowie ORMO rekrutowali się głównie spośród działaczy Polskiej Partii Robotniczej oraz tzw. „bratnich stronnictw”; Polskiego Stronnictwa Ludowego i Stronnictwa Demokratycznego. Do połowy lat pięćdziesiątych XX wieku zorganizowane i uzbrojone placówki i posterunki ORMO istniały prawie w każdej większej miejscowości. Jednym z nich był posterunek ORMO w Biadaszkach w gminie Galewice. Mieścił się w nieistniejącym już

dziś budynku dawnej szkoły podstawowej. W latach 1946 – 1949 komendantem tej składającej się z trzech funkcjonariuszy placówki był Waław Zaborowski – ideowy komunista i działacz partyjny, ormowiec, mocno zaangażowany w zaprowadzanie nowego ustroju Polski. Po śmierci pochowano go na nowym cmentarzu w Węglewicach. Na skromnym, pozbawionym jakichkolwiek religijnych symboli nagrobku widnieje napis: „Waław Zaborowski, członek ORMÓ, urodzony 6 grudnia 1923 roku zginął śmiercią bohaterską 2 kwietnia 1949 roku w walce o utrwalenie władzy ludowej. Cześć jego pamięci.” Jak wynika z inskrypcji „bohaterska śmierć” miała miejsce prawie pięć lat po zakończeniu II Wojny Światowej. Przez cały okres komunizmu na temat tych wydarzeń panowała urzędowa zmowa milczenia. Nikt, nawet oficjalnie, nie wspominał ani też nie pytał, w jakich okolicznościach i z czyjej ręki zginął Waław Zaborowski walcząc o „utrwalenie władzy ludowej”? Nikt nie przypominał jego bohaterskich czynów. Nie organizował rocznicowych uroczystości. Dla „ludowej władzy” sprawa ta przez kolejne pięćdziesiąt lat była wstydliva i drażniąca. Dopiero po wielu latach, dzięki odtajnionym przez Instytut Pamięci Narodowej aktom Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Łodzi, można ustalić okoliczności i osoby biorące udział w tych dramatycznych wydarzeniach sprzed ponad siedemdziesięciu lat. Jak wynika z dostępnych akt, ormowiec Waław Zaborowski został zastrzelony przez członków oddziału Konspiracyjnego Wojska Polskiego – największej na ziemiach polskich powojennej organizacji antykomunistycznego podziemia niepodległościowego, działającej na terenie ówczesnego powiatu wieluńskiego. Pozostałym dwóm ormowcom z Biadaszek za nadgorliwość w tropieniu „wrogów ludu” wymierzono karę chłosty.

Dowódcą oddziału, który opanował posterunek ORMÓ w Biadaszkach i ujął przebywających tam funkcjonariuszy, był Józef Ślęzak, pseudonim „Mucha”, i to jemu przypisuje się wykonanie wyroku śmierci na Waławie Zaborowskim. W czasach poprzedzających to wydarzenie a także przez kilka późniejszych lat, na sam dźwięk słowa „Mucha” drżeli miejscowi ormowcy, milicjanci i pepeerowcy. Umacniano i barykadowano budynki posterunków MO a komunistyczni działacze i członkowie ORMÓ nie opuszczali swych domów po zapadnięciu zmroku. Józef Ślęzak urodził się 24 stycznia 1925 roku w Dobrosławiu w gminie Lututów. W 1942 roku został wywieziony przez niemieckich okupantów na roboty przymusowe w okolice Wrocławia. W sierpniu 1946 roku otrzymał kartę powołania do Ludowego Wojska Polskiego. W tym czasie powszechnie wiadomym już było, że młodzi poborowi kierowani byli głównie do jednostek Korpusu Bezpieczeństwa Publicznego i używani do walki z ciągle aktywnym podziemiem antykomunistycznym. Za nie stawienie się w szeregi LWP lub dezercję groziła kara śmierci. Mimo to, nie chciał pomagać bolszewikom ani też nie miał zamiaru brać udziału w polowaniach na „wrogów ludu”. Postanowił podjąć walkę zbrojną z nowym okupantem.

Z początkiem września 1946 roku został żołnierzem partyzanckiego oddziału Konspiracyjnego Wojska Polskiego. Józef Ślęzak był najdłużej walczącym partyzantem polskiego powojennego podziemia antykomunistycznego, działającym w okolicach Lututowa, Galewic, Klonowej, Sokolnik i Ostrzeszowa przez osiem lat; od 1946 do 1954 roku. Prawie do połowy lat pięćdziesiątych minionego wieku „Mucha” był postrachem wszystkich okolicznych ormowców, milicjantów, pepeerowców i solą w oku funkcjonariuszy UB z Wielunia, Sieradza, Kępna, Złoczewa, Ostrzeszowa i Kalisza. Na skutek zdrady został aresztowany przez

funkcjonariuszy bezpieki we wsi Dziwińskie w czerwcu 1954 roku. Nic więc dziwnego, że gdy wreszcie trafił przed oblicze komunistycznego sądu, w imieniu „sprawiedliwości ludowej” karę śmierci wymierzono mu aż trzykrotnie. Rozstrzelano go w 1955 roku w Łodzi. Miejsce jego pochówku do dziś pozostaje nieznane. Wśród zachowanych nielicznych dokumentów i zapisków Józefa Ślęzaka przejętych przez funkcjonariuszy UB na uwagę zasługuje jego notatka z lipca 1947 roku: „Na polu chwały giną tylko ci, co kochają Ojczyznę i umieją docenić, co znaczy wolność słowa.”

Mogiła Wacława Zaborowskiego na nowym cmentarzu w Węglewiczach.

Józef Ślęzak „Mucha” (1925 – 1955)



Pamiętnik znaleziony na śmietniku

Często zdarza się, że przez całe lata mieszkają obok nas ludzie, którzy żyją jakby niezauważenie. Ich życie płynie bezgłośnie i niemrawo, jak cichy strumyk. Najczęściej zamieszkują w niepozornym, niczym nie wyróżniającym się domu, zazwyczaj stojącym gdzieś na skraju, albo z daleka od większych ludzkich skupisk. Nieczęsto, albo wcale z nimi nie rozmawiamy. Niewiele o nich wiemy. Z pozoru mało wyraziści. Nie narzucający się. Niby szarzy i nad wyraz zwyczajni. Kiedy odchodzą do lepszego świata, mało kto nawet zauważa, że nagle ich zabrakło. I zawsze dopiero po latach, zawsze nieoczekiwanie, uświadamiamy

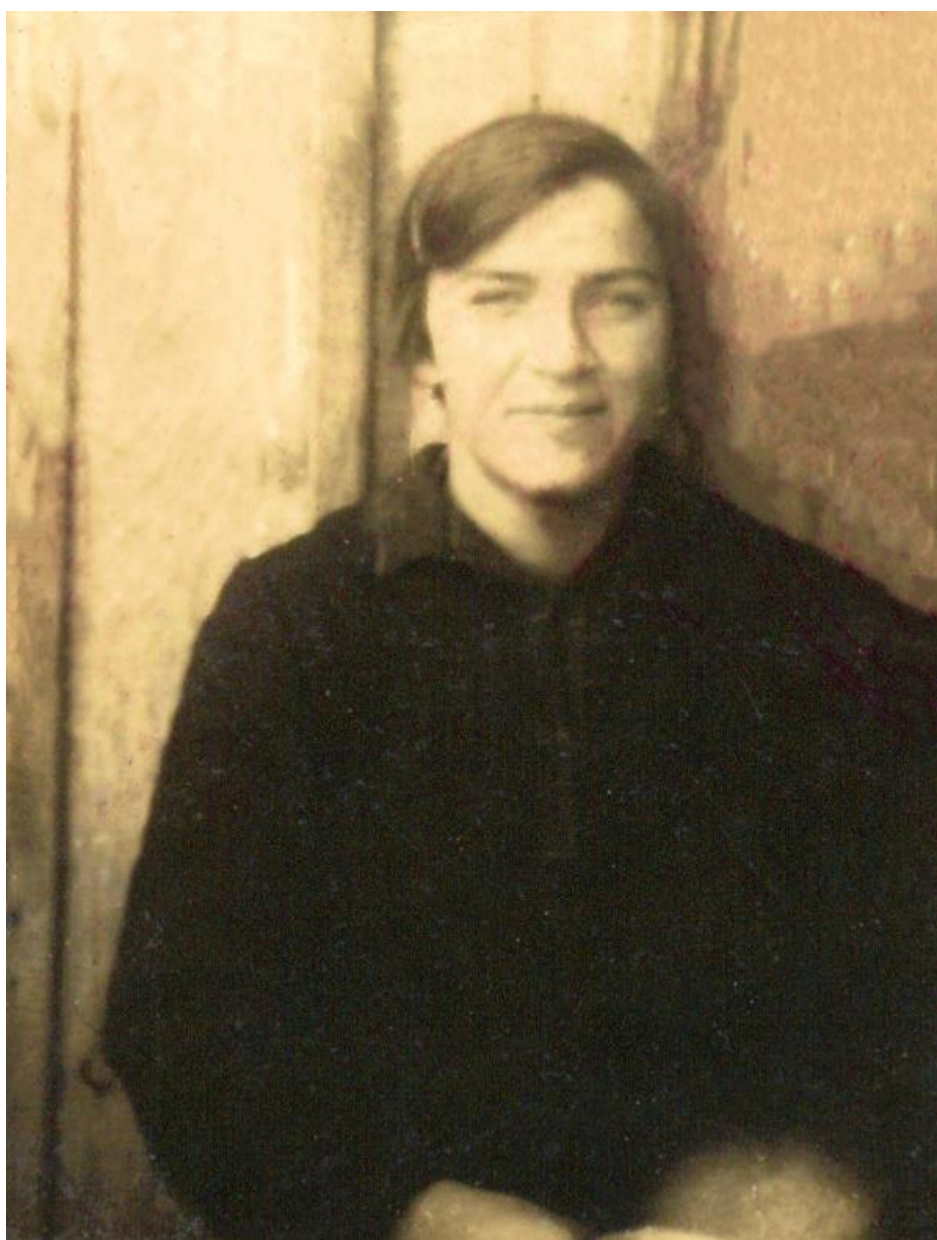
sobie, że wcale nie byli tacy przeciętni i szarzy. Ze strzępów pamięci, resztek cudem zachowanych dokumentów, mglistych wspomnień jawi nam się prawdziwy obraz tych osób; wrażliwych, ciekawych, oryginalnych. Nierzadko o pogmatwanych i tragicznych losach. Każdego dnia zmagających się z życiem i jego przeciwnościami. Jedną z takich właśnie osób była Andzia.

Andzia urodziła się w 1917 roku w Weimarze. Może nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, że w tym prastarym niemieckim mieście mieszkał przed nią także Goethe i Schiller. Jak wiele polskich rodzin w początkach minionego wieku, także rodzina Andzi szukała tam lepszego życia, wyjeżdżając za chlebem z biednych i przeludnionych podwieruszowskich wsi. Wśród wiosek, z których wywodziła się rodzina Andzi przewijają się Borki Sokolskie, Głaz i Bocian. Do Bociana Andzia powróciła w początkach odrodzonej Polski. Mogło to być w roku 1919, a może i nieco później. Dzieciństwo w domu pod lasem minęło szybko i niepostrzeżenie pomiędzy szkołą w Biadaszkach a kościołem w Węglewicach. I tak, już w 1933 roku Andzia powróciła do Niemiec. Z tego też roku pochodzi pierwsze zachowane do dziś jej zdjęcie umieszczone w dowodzie osobistym. Ze zdjęcia spogląda na nas wesoła szesnastolatka. Typowa trzpiotka. Uśmiechnięta, ufna i radosna. Na pewno była wesoła i życzliwa dla innych. Swym optymizmem zarażała przyjaciół i znajomych. Teraz, po latach, wiem, że Andzia bardzo lubiła śpiewać. Śpiewała piosenki te popularne, powszechnie znane, ludowe, wesołe i smutne. W czasach jej młodości, kiedy nie było ani telewizji, ani radia, a gramofon należała na wsi do rzadkości, śpiew był najpowszechniejszą formą rozrywki. Teksty różnorodnych pieśni i piosenek zapisywała kaligraficznym pismem w specjalnym zeszycie, tworząc prawdziwy śpiewnik popularnych jak i ludowych utworów. Wśród nich znaleźć można także te dawno już zapomniane. Ale najbardziej osobistą pamiątką, jaka zachowała się do naszych czasów, jest jej pamiętnik. Nie są to zapiski, które opowiadały by o przeszłych wydarzeniach z czasowego dystansu, lecz typowy „sztambuch”, do którego koleżanki, koledzy i znajomi wpisywali się „ku pamięci”. Niewielki notes w formie małej książeczki o niebieskich okładkach ze sztucznej skóry, kupiony w niemieckiej księgarni któregoś dolnośląskich miasteczek. Można się doczytać, że taki notesik kosztował wówczas 37 fenigów. Wpisy do pamiętnika są niesamowitym, żywym świadectwem tamtych czasów. Ku pamięci wpisało się tam wiele jej koleżanek i kolegów. Przewijają się tam także imiona i nazwiska osób z naszych okolic. Chronologia poszczególnych wpisów wskazuje na to, że Andzia po swym wyjeździe do Niemiec w 1933 roku, za jakiś czas powróciła do Polski, by na powrót znaleźć się na niemieckiej ziemi dopiero w czasie niemieckiej okupacji. Nie wiadomo w jakich okolicznościach tam trafiła. Bardzo możliwe, że ten kolejny „powrót” do Niemiec odbył się w ramach wyjazdu na roboty przymusowe. Tysiące polskich robotników przymusowych, naznaczonych literą „P” niewolników, nierzadko przez całą wojnę ciężko pracowało w niemieckich fabrykach, majątkach rolnych i u pomniejszych gospodarzy. Prawdopodobnie wśród nich znalazła się także Andzia. Od daty ostatniego wpisu minęło już prawie siedemdziesiąt lat. Dziś już wszyscy, którzy zapisali się na kartkach tego sztambuchu, odeszli z tego świata. Odeszła także Andzia, która po wyjściu za mąż zamieszkała w skromnym domku w pobliżu piaszczystych pagórków, jak na samotnej wyspie pośrodku rozciągających się wokół rozległych, płaskich przestrzeni łąk i pól. Siostra mojego dziadka, Anna, jej imienniczka i

prawie rówieśniczka, pod datą 17 lipca 1944 roku wpisała się do andzinego pamiętnika nieco pompatycznym czterowierszem:

*Piękna lilijo polskiego ogrodu!
Powabna córo dzielnego narodu!
Pozostań mężną zawsze i wszędzie
A każdy Polak kochał cię będzie!*

„Pozostań mężną zawsze i wszędzie...” Taką właśnie, mężną Polką, nawet bez przypominania, była Andzia przez całe swoje długie życie.





Parcice

Dwie trumny i klątwa zabójczej legendy

Potrzeba dużej wyobraźni, serca do miejsc opuszczonych i słabości do ruin, żeby patrząc na te resztki powiedzieć, że to piękny widok. Żeby zobaczyć historyczną wartość takich budowli w agonii, trzeba dobrze się przyjrzeć i wysilić wszystkie zmysły. Zrujnowany pałac w Parcicach to przykłady totalnego zniszczenia i niedoceny wartościowej i pięknej. Kikuty murów stoją tam na słowo honoru, grożąc w każdej chwili zawaleniem. Widziałem już wiele sponiewieranych przez ludzi i czas budowli, ale ta w Parcicach jest w stanie jak po apokalipsie. A przecież to nie archeologiczne wykopaliska czy średniowieczny zamek. Jeszcze całkiem niedawno było to pałacowe cacko, pełne wdzięku i uroku. Żeby doprowadzić zdrowy, solidny budynek do takiego stanu, trzeba się było naprawdę postarać.

Legenda o Elżbiecie, babce króla Stasia

Wszystko, czego można dowiedzieć się o wielowiekowych dziejach parcickiej rezydencji, opiera się na jednym słowie; „podobno”. Dawno temu podobno była to siedziba Elżbiety Czartoryskiej. O starożytności tego miejsca i jego związku z największymi magnackimi rodami dawnej Rzeczypospolitej świadczyć miało znalezienie nieopodal pałacu dwóch miedzianych trumien i nagrobnej tablicy. Podobno miało to miejsce już po II Wojnie Światowej. Podobno te trumny zakopano na cmentarzu w Czastarach, a ta tablica, to podobno zaginęła. Mało tego! Podobno była na niej data; 1639! Ale najciekawsze jeszcze przed nami! „Dziennik Poznański” w nr 172 z 31 lipca 1875 roku, donosi: „W dniu 9 lipca br., przy kopaniu piasku w dobrach Parcice, 2 mile od Wielunia, należących do Magnuskiego, na drodze od dworu w pole, znaleziono dwie trumny miedziane i pomnik z napisem po łacinie, świadczącym, że w trumnach są złożone zwłoki ks. Czartoryskich, zmarłych w roku 1639. Wiadomość autentyczna, bo oparta na raporcie wójta gminy do naczelnika powiatu wieluńskiego, czytany przez korespondenta. Redakcja ma zastrzeżenia, jacy by Czartoryscy mogli tam być pochowani, zwłaszcza że ich gniazdem są ziemie ruskie i że nie ma śladu, by w 1639 roku jacy z tych książąt zmarli”. Elżbieta Czartoryska, (z domu Morsztyn), którą nie widać czemu, często wiąże się z parcickim pałacem, babka ostatniego króla Polski Stanisława Augusta Poniatowskiego, urodziła się dopiero w roku 1671, czyli ponad trzydzieści lat po dacie, jaka podobno znajdowała się na owej zaginionej tablicy.

Nocnik pana hrabiego

Styl pałacu w Parcicach to typowy klasycyzm z przełomu XVIII i XIX wieku. Spragnionym informacji wciąż podaje się, że wzniósł go hrabia Leopold Trepka w początkach XIX wieku, że był „zwolennikiem kalwinizmu” i że się później „nawrócił” i z tej racji ufundował kościół w Czastarach. Hrabia Leopold Nekanda – Trepka herbu Topór urodził się w roku 1803, a zmarł w 1852. Pochowany został na cmentarzu ewangelickim w Wieluniu. Do śmieci był ewangelikiem, jak cała rodzina Nekandów – Trepków, i nie widział potrzeby „nawracania się”. Kościół w Czastarach faktycznie zbudowano z jego fundacji, ale na zasadzie starego przywileju kolatorskiego. Pałac w Parcicach mógł powstać za czasów i za przyczyną jego ojca, Augusta Treпки. Młody hrabia Leopold, w czasie gdy rosły mury rezydencji, siedział jeszcze na nocniku, a jeśli nawet coś budował, to najwyżej babki z piasku.

Pan Samochodzik na salonach

Ostatnią prawowitą dziedziczką, mieszkającą w pałacu, była Zofia Nowicka. Od 1955 roku, kiedy to zmarł jej ojciec, pozostała w nim sama. Z czasem zamieszkali tu rozmaici, często zmieniający się, lokatorzy. Na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych minionego wieku mieszkał tu także jej krewny Zbigniew Nowicki, znany milionom czytelników jako Zbigniew Nienacki, autor serii wyjątkowo poczytnych książek dla młodzieży o przygodach Pana Samochodzika oraz uchodzącej w PRL – u za skandalizującą powieści dla dorosłych pt. „Raz w roku w Skiroławkach”. Fani twórczości Zbigniewa Nienackiego do dziś doszukują się parcickich inspiracji w jego powieści „Niesamowity dwór”.

Zabójcza klątwa legendy

Są osoby, które wszystko co napisane czy usłyszane o tajemnicach starych pałaców, ukrytych w nich skarbach i kosztownościach, biorą za „oczywistą prawdę”. Do takich, dodatkowo podbudowanych lekturą przygodowych książek, należała zapewne Krystyna Gancarczyk – Hiorth, która nabywszy pałac za symboliczną złotówkę, natychmiast przystąpiła do szukania ukrytego skarbu. Poszukiwania polegały na kuciu dziur w ścianach, zrywaniu podłóg i przekopywaniu piwnic. Skarbu nie znalazła. Zrujnowawszy pałac, oddaliła się i słuch po niej zaginął. Reszty dzieła zniszczenia dopełnili wandale i pogoda. Legendy stały się dla tego zabytku zabójczą klątwą!



Krupka

Polityka i stary młyn

Bohdan Pilarski zmarł 3 czerwca 2018 roku. Spoczął obok grobu swych rodziców na cmentarzu w podbolesławieckich Piaskach, zaledwie kilka kilometrów od jego ukochanej Krupki. Europejskiego formatu wybitny muzykolog, eseista, krytyk muzyczny, polityk i wielki humanista przeżył 87 lat. Mimo że Bohdan Pilarski był o ponad trzydzieści lat starszy ode mnie, miałem to wielkie szczęście być przez ponad ćwierć wieku jego przyjacielem. Czemu zawdzięczam tę przyjaźń? Przede wszystkim temu, że niczego od Bohdana Pilarskiego nie potrzebowałem. Nigdy nie zabiegałem o to, by wprowadzał mnie na polityczne salony, udzielał protekcji, występował w moim imieniu, ułatwiał zawarcie znajomości z osobami z pierwszych stron gazet. Za to słuchałem go całymi godzinami. Cicha muzyka ze starego gramofonu, pieczone w chlebowym piecu jabłka ze śmietaną i cukrem, kawa i niekończące się rozmowy o muzyce, kulturze, historii, filozofii, polityce i przede wszystkim o Ojczyźnie. Nie tylko tej wielkiej, ale i tej nadprośniańskiej, gdzieś pomiędzy Bolesławcem, Wieruszowem, Wieluniem. Przez cały okres naszej bliskiej znajomości, mimo ogromnej różnicy wieku, łączyły nas podobne zainteresowania, sposób widzenia świata i mentalna przynależność do tej wymarłej klasy, tak tępionej i poniżanej przez całe dziesięciolecia Polski Ludowej w imię walki o sprawiedliwość społeczną, równość, braterstwo i pokój na świecie. Z wielkim smutkiem przyjąłem wiadomość o jego śmierci. Na miejsce wiecznego spoczynku odprowadzili Bohdana Pilarskiego jego najbliżsi, znajomi, przyjaciele, delegacje ogólnopolskich i regionalnych stowarzyszeń kulturalnych oraz nieliczni koledzy z poselskiej ławy. W pożegnalnych przemówieniach padło wiele słów na temat kulturalnej i politycznej działalności zmarłego. Bogaty życiorys zawodowy i polityczny Bohdana Pilarskiego przytaczany był po wielokroć. Nie ma potrzeby powtarzania tu po raz kolejny biografii tego człowieka wielkiej kultury i ducha.

Warto jednak wspomnieć o jego działalności opozycyjnej i trwających do samej jego śmierci szyskanach ze strony „władzy ludowej” w związku z jego odmową współpracy z komunistyczną służbą bezpieczeństwa PRL. Koniec systemu komunistycznego w Polsce bynajmniej nie rekompensował doznanych przez Bohdana Pilarskiego represji. W czasie paryskich studiów Bohdana Pilarskiego, w 1964 roku wydział VIII departamentu I MSW rozpoczął tzw. „rozpracowanie operacyjne” pod kryptonimem „Ravel” mające na celu pozyskanie młodego muzykologa do współpracy. Stanowcza odmowa zaowocowała aresztowaniem w następnym roku i odebraniem paszportu. Bohdan Pilarski pozbawiony został przez „władze bezpieczeństwa” możliwości stałego zatrudnienia oraz współpracy z mediami i instytucjami kultury. Został „skazany na milczenie”. W 1967 roku wydział II Komendy Stołecznej Milicji Obywatelskiej założył Bohdanowi Pilarskemu sprawę obserwacyjną o kryptonimie „Tranzyt” posądzając go o kolportaż antysocjalistycznej literatury w języku rosyjskim z Paryża do ZSRR. W latach 1976 – 1978 „rozpracowaniem” mieszkającego w Krupce muzykologa zajmował się Wojewódzki Urząd Spraw Wewnętrznych w Kaliszu. W 1982 roku Pilarskim zajęli się funkcjonariusze SB z Wrocławia, przeprowadzając w jego domu liczne rewizje oraz nakładając dozór milicyjny na okres półtora roku. W tym samym czasie Urząd Spraw Wewnętrznych w Kępnie założył mu dwie sprawy operacyjne o kryptonimach

„Klon” i „Pil”. Ani demokratyczne przemiany, ani działalność parlamentarna w Polsce i Europie nie zakończyły zainteresowania służb osobą niepokornego muzykologa. Już w, wydawało by się, niepodległej i wolnej Polsce, w 2005 roku, emerytowani, ale nadal „czynni” funkcjonariusze kępińskiej „bezpieki” zaprowadzili go przed oblicze kępińskiego sądu w roli pozwanego. Kępiński sąd, stosując specyficzną kazuistykę, zamiast oprzeć się na przepisach Kodeksu Pracy czy Kodeksu Cywilnego, skorzystał w całej pełni z punktów słynnego Manifestu PKWN z 22 lipca 1944 roku, zwłaszcza tych w zakresie wyłączenia byłych obszarników. Na poddaną sądowej licytacji ojcowiznę natychmiast rzucili się miejscowi pseudo politycy, szczególnie ci komunistycznej proweniencji. Ostatnie lata życia, ograbiony z resztek nieruchomości, Bohdan Pilarski spędził jako „rezydent” w swoim, ale nie należącym już do niego domu. Nadal jednak rozbrzmiewała tam muzyka największych kompozytorów a rozmowom o kulturze nie było końca. Nad trumną Pilarskiego spotkali się ci, którzy go kochali i szanowali, oraz ci, którzy widzieli w nim tylko wroga „ustroju socjalistycznego” i dziwaka. Ci ostatni zapewne po to, by upewnić się, że muzyka w Krupce nareszcie naprawdę ucichła.



Konaty

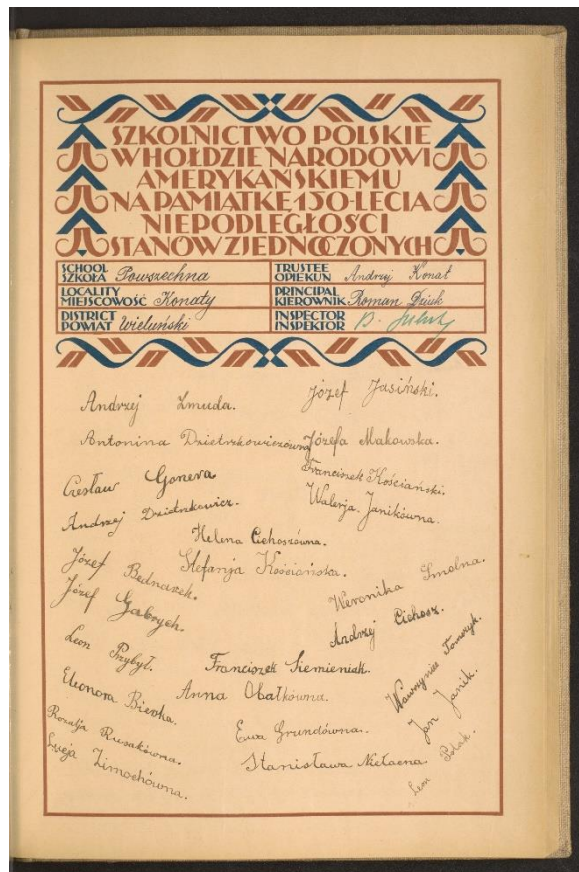
Z wiejskiej szkoły do Biblioteki Kongresu USA

Patrząc dziś na ten opuszczony i sponiewierany przez czas dom we wsi Konaty w gminie Galewice trudno sobie nawet wyobrazić, że kiedyś stanowił on centrum oświaty dla najbliższej okolicy. W tym domu w latach 1919 – 1939 mieściła się szkoła podstawowa, zwana wówczas powszechną, do której uczęszczały dzieci z Konatów, Brzózek i Gąszczy. Wydawać by się mogło, że nazwiska uczniów i pracujących tu nauczycieli dawno już uległy zupełnemu zapomnieniu, a o tym, że w tym domu odbywały się szkolne lekcje nikt już nie pamięta. Jednak imiona i nazwiska uczniów szkoły w Konatach, a przede wszystkim ich autografy, można dziś odnaleźć nie w urzędowych czy kuratorskich aktach, ale w Bibliotece Kongresu Stanów Zjednoczonych! W jaki sposób autografy dzieci z Konatów, Brzózek i Gąszczy znalazły się za oceanem?

W 1926 roku do Białego Domu i ówczesnego prezydenta USA Calvina Coolidge'a trafiło 111 tomów z ponad 30 tysiącami stron podpisów obywateli II Rzeczypospolitej. Miało to być niezwykle podziękowanie za wkład Stanów Zjednoczonych w odbudowę niepodległej Polski i jednoczesne uczczenie 150 rocznicy ogłoszenia amerykańskiej Deklaracji Niepodległości. W „Polskiej Deklaracji o Podziwieniu i Przyjaźni dla Stanów Zjednoczonych”, oprócz rocznicowych życzeń i podpisów przedstawicieli najwyższych władz, z prezydentem Ignacym Mościckim i marszałkiem Józefem Piłsudskim na czele, znalazło się prawie 5,5 miliona podpisów uczniów polskich szkół wszystkich szczebli. Wśród nich nie mogło zabraknąć także autografów uczniów ze szkoły w Konatach. W czasie, kiedy składano te podpisy, wieś Konaty administracyjnie przynależała do gminy Lututów w powiecie wieluńskim. Kierownikiem i nauczycielem był tam wówczas Roman Dziuk, którego w 1935 roku zastąpiła Regina Liniewiecka. W roli „opiekuna szkolnego” występował Andrzej Konat, młynarz ze wsi Konaty. W roku szkolnym 1926/27 do szkoły w Konatach uczęszczali następujący uczniowie: Andrzej Żmuda, Józef Jasiński, Antonina Dietrzkowicz, Józefa Makowska, Czesław Gonera, Franciszek Kościański, Andrzej Dietrzkowicz, Waleria Janik, Helena Cichosz, Stefania Kościańska, Józef Bednarek, Józef Gabrych, Leon Przybył, Eleonora Bierska, Rozalia Rusak, Lucja Zimoch, Franciszek Siemieniak, Anna Obałek, Ewa Grund, Stanisława Niełacna, Weronika Smolna, Andrzej Cichosz, Wawrzyniec Tomczyk, Jan Janik, Leon Polak, Edward Bielicki, Antoni Aleksandrowicz, Czesław Jasiński, Bolesław Szymański, Stanisław Panek, Leon Dembski, Pankracy Janki, Anna Ostrycharz, Józef Żmuda, Józef Rosiak, Władysława Musialska, Helena Panek, Stanisława Makowska, Katarzyna Aleksandrowicz, Antonina Nolbert, Janina Calińska, Leon Rosiak, Stanisław Różański, Stanisław Matuszek, Leon Górzęda, Józefa Gonera, Franciszek Ostrycharz, Wiktoria Kowalska, Maria Kowalska, Stefania Kędzia, Leon Zimoch, Leon Kościański, Jadwiga Brzozowska, Maria Ostrycharz, Helena Jasińska, Franciszek Polak, Jan Kazuś, Stanisław Henrych, Stefania Dudek. Polskie autografy przez wiele lat pozostawały zapomniane. Po ponownym ich odkryciu w Bibliotece Kongresu USA w 2010 roku, są dziś unikalnym świadectwem tamtych czasów.

Po wielu latach zupełnego zapomnienia, każdy zainteresowany może odnaleźć na stronie Biblioteki Kongresu USA nazwisko i oryginalny autograf któregoś ze swych przodków

sprzed kilku pokoleń, którzy prawie sto lat temu pobierali naukę w malutkiej szkole we wsi Konaty.



Bocian

Ptaki czarownika

Bocian to mała wioska wśród lasów i bagien po lewej stronie drogi jadąc z Galewic do Biadaszek przez Głaz. Nie znajdziesz tu nawet tablicy informującej przejeżdżających, że akurat mijają tę miejscowość o tak swojsko brzmiącej nazwie. W najlepszych czasach Bociana, które jeszcze pamiętam, a był to przełom lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych minionego wieku, w całej wsi było siedem domów, zamieszkałych przez około trzydziestu mieszkańców. Dziś pozostały tylko cztery. Z tego przez cały rok zamieszkały jest tylko jeden a wszystkich stałych mieszkańców Bociana jest raptem dwoje. Pozostałe stoją puste przez cały rok i tylko w wakacje zaludniają się przez kilka dni przybyszami z odległych miast, potomkami lub krewnymi mieszkających tu niegdyś ludzi. Przyjeżdżają na urlopy, wietrzą zamknięte przez całą zimę pomieszczenia, zbierają grzyby i jagody, odpoczywają i wyjeżdżają po kilku dniach lub tygodniach. Takich „sezonowych” domów jest tu też zaledwie dwa. I jest jeszcze jeden opuszczony dom, stojący w głębi lasu. Dom Jastrowiczów. Fantastyczne miejsce, w którym nie ma nawet elektryczności, a studnię ktoś dawno zasypał. W promieniu kilku kilometrów nie napotkasz żywej duszy ani żadnego budynku. Nie usłyszysz ludzkiego głosu ani szczekania psa. Wokół tylko las, bagna, łąki i pola. Do tego opuszczonego domu nikt już nigdy nie wróci. Jedynym jego szczęściem jest to, że to budynek murowany, trudny do rozebrania i dość odporny na działanie czasu.

Kto dziś pamięta jeszcze dawnych mieszkańców Bociana? Wszyscy prawie spoczęli na okolicznych cmentarzach lub wyjechali stąd do miast lub innych miejsc, z daleka od tej zagubionej wśród lasów wioski. Kto pamięta ich nazwiska, wyryte dziś jedynie na nagrobnych pomnikach? Czas tak szybko przemija, pokrywając zasłoną zapomnienia nazwiska, postacie, daty i wydarzenia. Odeszły w zapomnienie imiona Stępnów, Plutów, Chrzanów, Kutarów czy Jastrowiczów. Znałem i pamiętam ich prawie wszystkich. Pamiętam dom Stępnów; stary, rozłożysty, tajemniczy, osłonięty gęstwiną drzew. Dom o wiecznie przymkniętych okiennicach, co jeszcze bardziej dodawało mu tajemniczości i niezwykłości. Stępień był człowiekiem uchodzącym w powszechnej opinii okolicznych mieszkańców za osobę mającą kontakty z siłami nieczystymi. Przemawiało za tym nieomal wszystko; przenikliwe spojrzenie, dość osobliwy wyraz twarzy, małowówność i jego niekończące się wędrówki po otaczającym wieś lesie i okolicznych uroczyskach. Ten wyjątkowo dobry z natury człowiek był tak związany ze swym środowiskiem, otaczającym go światem zwierząt i zjawisk przyrody, że aż uchodził za dziwaka, oryginała, wariata. Wreszcie czarownika.

Wokół domu rosły dziesiątki posadzonych jego ręką drzew, krzewów i innych roślin. Był to zbiór wszystkich bez mała gatunków flory, jakie można było znaleźć w pobliskim lesie. Prawdziwy ogród botaniczny. Stępień kochał je wszystkie. Z każdym drzewem, z każdą roślinką rozmawiał, pielęgnował, leczył, tworząc wokół swego siedliska wspaniałe, miniaturowe arboretum, będące dziś dla postronnych jedynie bezładną płataniną drzew i krzewów.

Na każdym prawie drzewie wisiała budka dla ptaków. Ale nie były to budki, takie jak dziś, zbite topornie z kilku oheblowanych deseczek. W takich domkach ptaki źle by się czuły.

Tak jak człowiek w betonowym bunkrze. Czarownik Stepień doskonale o tym wiedział. Dlatego wyszukiwał najpierw wydrążone przez próchnicę konary drzew z odpowiednią dziurą po sęku, zmyślnie je przycinał, przykrywał okrągłym daszkiem i wieszał na drzewach wokół swego domu. Dopiero w tak zaimprovizowanych dziuplach ptaki czuły się naprawdę dobrze.

Za domem Stępników, pośrodku lasu rozciąga się rozległe bagnisko zwane Bociankami. Na środku bagna była wyspa. Latem można było dotrzeć do niej suchą stopą. Wyspa ta, gdy byłem jeszcze małym dzieckiem, jawiła mi się jako bezludna wyspa Robinsona. Pełna tajemniczości, nieznanego, niewiadomego i niezdożytego jeszcze przez człowieka świata. Gdy wreszcie udało mi się ją zdobyć, pokonawszy bagniste ostępy okazała się najzwyklejszą w świecie śródbagienną wysepką porośniętą starymi sosnami o pokrzywionych przez czas i wiatr konarach. Na zawsze pozostanie ona jednak dla mnie symbolem czegoś jeszcze nie odkrytego i tajemniczego.

Kto dziś wie o leśnym uroczysku zwanym Wykło? Wykło to prawie taka nic nie znacząca i dziwna nazwa jak iwaszkiewiczowskie Wilko z „Panien z Wilka”. Moje Wykło to niewielki kawałek pola wdzierający się pomiędzy otaczający go z trzech stron las. Las rósł niegdyś na całej powierzchni Wykła. Wykarczowano go tu w pocie czoła przed ponad stu laty, by zyskać kolejny kawałek ziemi pod uprawę.

Na skrzyżowaniu dróg, tuż przy wjeździe do Bociana, na starej sośnie wisi kapliczka. Obok niej była niegdyś mogiła. W zbiorowym grobie pochowano kilku niemieckich żołnierzy, którzy zginęli tu w styczniu 1945 roku. Mogiłą przez wiele lat po wojnie opiekował się mieszkający w pobliskim Głazie Franciszek Mencel (1883 – 1976) – ewangelik i Niemiec z krwi i kości, który mieszkał tu od zawsze. Nie ruszyła go stąd ani Armia Czerwona, ani władza ludowa, ani żadna inna siła. Trwał w tym wybranym przez siebie „miejscu na ziemi”, doglądając co jakiś czas mogiły niemieckich żołnierzy, przynosząc kwiaty i zapalając znicze. Gdy zmarł w latach siedemdziesiątych zeszłego wieku, dożywszy ponad dziewięćdziesięciu lat, pochowano go na katolickim cmentarzu w niedalekim Ostrówku. Najbliższy cmentarz ewangelicki znajduje się w Wieruszowie – Podzamczu, ale tam już nikomu nie chciało się wieść doczesnych szczątków Mencela. W obawie, by nawet po śmierci nie zetknął się z katolikami, pochowano go na środku cmentarnego placu, w stosownej odległości od innych grobów. Z czasem, gdy grobów zaczęło przybywać, zapełniły one także tę prawą, przez wiele lat pustą stronę cmentarza. Jeszcze kilka lat a mogiła Franciszka Mencela i jego żony Marianny znajdzie się pośród innych nagrobnych pomników.

W początkach naszego stulecia doczesne szczątki niemieckich żołnierzy ekshumowano i przeniesiono na niemiecki cmentarz wojskowy w Jelczu - Laskowicach. Dziś już mało kto pamięta kim był Franciszek Mencel, kto spoczywał z zbiorowej mogile pod kapliczką na Bocianie, gdzie jest Wykło i o tym, że ptakom najlepiej mieszkało się w domkach wykonanych przez czarownika Stępnia.



Grądy

Rezerwat nie tylko przyrodniczy

Jednym z ciekawszych miejsc w Gminie Galewice są okolice miejscowości Grądy koło Węglewic. Grądy, a zwłaszcza otaczające tą wieś lasy, znane są przede wszystkim ze znajdującego się tam rezerwatu przyrody, chroniącego stanowiska największej polskiej paproci – długosza królewskiego. Nieomal wszystkie dostępne przewodniki i informatory turystyczne podają, że ochroną rezerwatową objęto tu fragment wilgotnego boru sosnowego i otaczające go torfowiska, gdzie przetrwało do dziś prawie półtorej setki najokazalszego gatunku krajowej paproci, objętej ścisłą ochroną. Informuje o tym także stosowna tablica umieszczona przy drodze wjazdowej na teren rezerwatu. Mało kto zwraca uwagę na inne, niż tylko przyrodnicze atrakcje tego miejsca i najbliższej okolicy. Już w pobliżu tablicy informacyjnej można natknąć się na dwa interesujące obiekty. Są nimi dwa kurhany, wyraźnie widoczne w otaczającym terenie. Wysokie na około półtora metra o kilkunastometrowej średnicy groby kurhanowe mogą liczyć sobie od dwóch do trzech tysiącleci. Mogły powstać w czasach, gdy w pobliżu Wieruszowa, w Kuźnicy Skakawskiej, funkcjonowało ogromne grodzisko dawnych, prapolskich ludów. Zachowane wały grodziska do dziś robią imponujące wrażenie. Podobne kurhany, tylko w o wiele większej ilości, spotkać można także w lesie w pobliżu Cieszęcina. Kilkaset metrów od granic rezerwatu rozciągają się ogromne wyrobiska po wydobywanej tu od niepamiętnych czasów rudzie darniowej. Tereny te jeszcze w początkach XVI wieku były dość ważnym ośrodkiem wytopu żelaza z miejscowego surowca, o czym świadczyć może zapis z 1520 roku informujący o istnieniu tu wsi o nazwie „Rudnica czyli Wola Węglewska”, której to mieszkańcy, zwani kuźnikami, należeli do parafii w Cieszęcinie i byli zwolnieni z płacenia dziesięciny arcybiskupowi.

Dziś okolice Grądów to atrakcyjne miejsce na rowerowe wycieczki i jesienne spacerunki po lesie połączone ze zbieraniem grzybów. Odwiedzając to miejsce warto obejrzeć prastare kurhany i dobrze zachowane dawne metalurgiczne wyrobiska. Miejsce pod każdym względem wyjątkowo atrakcyjne, może w przyszłości stać się rezerwatem nie tylko przyrodniczym.



Siedliska

Niedzielne spotkanie z Rysiem

Wcale nie muszę wyjeżdżać na wakacje do ciepłych krajów. Najlepiej, gdy na całe lato zostanę u siebie. Nad Węglewską Strugą. Nad Prosną. W wieruszowskim powiecie. Tutaj też nie brakuje słońca, przepięknych widoków, ciekawych zabytków i wartych odwiedzenia, niezwykłych, przyrodniczo wartościowych miejsc. Wystarczy jeden dzień na rowerze wśród pól i lasów w okolicach Wieruszowa, by całkowicie się zresetować i nabrać sił do przeżycia kolejnego tygodnia. Taka wyprawa z dala od miasta, wolność, wiatr we włosach i tysiące odcieni barw cieszących oczy, to najlepsze lekarstwo na stres.

Jedno z takich ciekawych, ale mało znanych miejsc znaleźć można w pobliżu wsi Siedliska w gminie Sokolniki. Znajduje się tam rezerwat florystyczny o nazwie „Ryś”. Jest jednym z dwóch interesujących rezerwatów przyrody położonych na terenie powiatu wieruszowskiego. Pierwszy z nich, to szeroko rozreklamowany, wymieniany i opisywany we wszystkich przewodnikach i turystycznych informatorach rezerwat paproci Długosz królewski w Węglewicach. Rezerwat „Ryś” w gminie Sokolniki jest mniej znany i przez to rzadziej odwiedzany. Rezerwat „Ryś” jest rezerwatem leśnym, chroniącym naturalny las bukowy na północno – wschodniej granicy jego występowania. Obejmujący swym obszarem ponad pięćdziesiąt hektarów rezerwat utworzono w 1977 roku. Rezerwat położony jest w środku niezbyt dużego kompleksu leśnego, rosnącego na żyznych gruntach o odpowiedniej dla bukowych lasów wilgotności. Składa się z kilku części. Na najniższym położonym terenie, na czarnej ziemi wytworzonej z gliniastych piasków, rośnie wilgotny, świerkowo – olszowy las. Na nieco wyżej położonym terenie dominuje las bukowy. Na terenie rezerwatu występują trzy typy zespołów roślinnych; las jesionowo – olszowy, grąd niski i las jodłowo – bukowy.

Dodatkową wartością przyrodniczą rezerwatu jest występowanie tu blisko dwustu gatunków roślin zielnych. Można nacieszyć oczy niezwykłymi kształtami i barwami kwiatów o tak niezwykłych nazwach, jak przytulia wonna, kopytnik pospolity czy kruszczyk siny. Zasadniczym celem ochrony jest zachowanie 150 letnich buków, rosnących na granicy zasięgu naturalnego. Buki w rezerwacie „Ryś” osiągają prawie 30 metrów wysokości a ich pnie mają prawie półmetrową średnicę. Pozostałe drzewa, a występują tu prawie wszystkie rodzime gatunki drzew leśnych, także dorastają znacznych rozmiarów. Do szczególnie okazałych należą dęby, olchy, jesiony, jodły i świerki. Wszystkie rosnące tu gatunki drzew odnawiają się w sposób naturalny, bez interwencji człowieka. Teren rezerwatu, jak również otaczające go kompleksy leśne są doskonałym siedliskiem wielu gatunków zwierząt. Gniazduje tu, między innymi, wyjątkowo rzadki w Polsce bocian czarny. Ponadto spotkać można jastrzębia, krogulca, sowę uszatkę, myszołowa, gołębia siniaka i grzywacza, słowika szarego, wilgę i puszczyka. Z pozostałych gatunków fauny na terenie rezerwatu licznie występują żaby trawne, ryjówki aksamitne, wiewiórki i łasice. Objęta ochroną przyroda to także, a może przede wszystkim, kolory. Zieleń ma tu tysiące odcieni. Ta niesamowita gra kolorów nadaje miejscu niezwykłego klimatu, połączonego z ciszą i tak potrzebnym z dala od miasta spokojem. Każda pora roku jest dobra na spotkanie z tym miejscem. Jednak kolory najwspanialsze są tam wiosną i jesienią. Koniecznie odwiedźcie rezerwat „Ryś”, i korzystajcie z każdej chwili, aby przeżywać swoje życie blisko natury i cieszyć nią oczy.



Brzózki

Krzyże na rozdrożach

Trudno dziś szukać w przeszłości początków wsi Brzózki. W pierwszym tomie wydanego w 1881 roku „Słownika geograficznego Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich” czytamy: Brzózki – wieś w powiecie wieluńskim, parafii Cieszęcin, gminie Lututów. W roku 1827 było tu 9 domów i 70 mieszkańców. Na tej podstawie można by wnioskować, że wieś ta powstała pod koniec XVIII wieku. Można jednak przypuszczać, że wieś jest znacznie starsza, a wcześniej znana była pod nazwą Zawady lub Zawada. Z pierwszej połowy osiemnastego stulecia pochodzą wzmianki o młynie wodnym „Smekta alias Zawada” umiejscowionym na Strudze Węglewskiej, wówczas Piesznicą zwanej, we wsi Zawady. Młyn ów istniał tam już z pewnością w połowie XVII wieku, czyli o dobre dwa stulecia wcześniej, niż informacje zamieszczone we wspomnianym słowniku. Także dostępna genealogia rodziny Kościańskich, mieszkających tu od niepamiętnych czasów, pozwala na ustalenie, iż zamieszkiwali oni w Brzózkach przynajmniej już w połowie XVIII wieku. Mało kto zwraca dziś uwagę, że w tej naprawdę niewielkiej wsi stoją aż trzy krzyże. A dokładnie, dwa krzyże i murowana kapliczka. Ta ostatnia, umiejscowiona nieomal pośrodku wsi zbudowana została krótko po II wojnie światowej z fundacji Julii i Leona Zimochów. Wystawiono ją tuż przy drodze w ogrodzie posesji fundatorów. Na ich zamówienie zbudował ją mieszkający także w

Brzózkach Stanisław Hainrich. Kolejny krzyż stoi na rozstaju dróg prowadzących w kierunku Bociana i Głazu. Obecnie odnowiony i zadbany, jeszcze w minionym wieku stał na murowanym, pobielonym wapnem cokole. Wryta była na nim data: 1949. Jak opowiadają pamiętający tamte czasy, krzyż postawiono rzekomo na miejscu ogromnej, wiekowej topoli, którą wyróciła wichura. Na topoli było podobno odwieczne bocianie gniazdo. Takie wydarzenia, jak złamanie drzewa przez wiatr czy budowa krzyża były zawsze czymś ważnym w dziejach tej małej miejscowości. Wszelkie zbiegi okoliczności, przypadki, nieoczekiwane zjawiska i wydarzenia nabierały z tu zawsze rangi symbolu, zapowiedzi lub wróżby czegoś złego lub dobrego. Najczęściej jednak tego pierwszego. Bardziej jednak prawdopodobne, że data ta umieszczona została tam przy okazji odnawiania lub wymiany cokołu po II wojnie światowej. Dziś zatarły się już w pamięci kolejnych pokoleń mieszkańców imiona i nazwiska tych, którzy wznosili tę figurę na rozstajnych drogach. Sam krzyż jest jednak znacznie starszy. Jest on bliźniaczo podobny do krzyża na grobie Antoniego Sulimierskiego pochowanego na węglewickim starym cmentarzu, a zmarłego w 1861 roku. Odlany z metalu krzyż z Brzózek pochodzi prawdopodobnie z tego samego warsztatu, co ten ustawiony na mogile byłego właściciela Węglewic. Mógł więc być tu postawiony już w połowie XIX wieku. Trzeci krzyż stoi na krańcu wsi przy skrzyżowaniu dróg w kierunku Ostrówka, Biadaszek i Gąszczy. Ten wydaje się być najstarszy. Nie jest odlewany, lecz kuty metodą kowalską. Wykonać go musiał kowal nie pozbawiony artystycznego zmysłu i smaku. Dawnymi czasy kuźnie istniały nieomal w każdej wsi. W Brzózkach także była kuźnia, której budynek, chociaż opuszczony, stał tu jeszcze we wczesnych latach siedemdziesiątych minionego wieku. Wątpliwe jednak, by krzyż ten wykuto właśnie w tej kuźni.

Najsłynniejszą i najdłużej istniejącą była kuźnia Brożynów w pobliskich Biadaszkach. Brożynowie, tak ojciec jak i syn, byli kowalami - artystami z prawdziwego zdarzenia. Żelazo nie miało dla nich żadnych tajemnic. Za pomocą ognia i kowalskich narzędzi potrafili wyczarować dowolne kształty z każdej, niekształtnej nawet, bryły metalu. Podkuwali konie, produkowali narzędzia rolnicze, zawiasy, zamki i kraty, które miały swój niepowtarzalny urok i wdzięk. Ich wyroby eksponowane są do dziś w muzeach, jako przykłady artystycznego kowalstwa wiejskiego, które już dziś odeszło w prawie zupełne zapomnienie. Przed kilkudziesięciu laty i tę ostatnią w okolicy kuźnię rozebrano. Na jej miejscu jest teraz mały warzywny ogródek. Mało kto jest dziś w stanie wskazać miejsce, gdzie stał ten niewielki, drewniany budynek z którego dobiegały dźwięczne odgłosy uderzeń kowalskiego młota a z którego ceglanego komina zawsze snuła się smużka siwego dymu. Nigdy już pewnie nie dowiemy się, kto wykuł ten stojący na rozstajnych drogach krzyż.

Dalszy rozwój wsi wiąże się Powstaniem Styczniowym 1863 roku i ogłoszonym po jego upadku dekretem uwłaszczeniowym. Większość istniejących tu do dziś gospodarstw pochodzi właśnie z tego okresu. Sama wieś rozłożyła się swymi zabudowaniami wzdłuż pasma wzgórz porośniętych sosnowo - brzozowym lasem. Za każdą z zagród rozciągają się poprzecinane miedzami i polnymi drózkami pola, które ciągną się aż do doliny Węglewskiej Strugi, nad którą gdzieś dało się jeszcze wygospodarować niewielkie połacie łąk i pastwisk.

Położoną na uboczu wieś szczęśliwie omijały wszystkie dziejowe kataklizmy pierwszej połowy zeszłego wieku. Pierwsza wojna światowa minęła tu bez echa, pozwalając nawet niektórym jej

mieszkańcom na dorobienie pewnego majątku na dostawach dla niemieckiego wojska. Po pierwszej wojnie wybudowano tu wiatrak, po którym dziś nie ma już nawet najmniejszego śladu. Druga wojna także szczęśliwie ominęła tą położoną wśród lasów wieś. Wszystkie okoliczne wioski już pierwszego dnia pamiętnego września 1939 roku zostały puszczane z dymem przez wkraczające niemieckie wojska.

We wrześniu 1939 roku w Brzózkach nie spłonął ani jeden budynek i nie oddano ani jednego wystrzału. Ciężko i biednie przeżyli jej mieszkańcy okres niemieckiej okupacji. Mimo kilkakrotnej fali niemieckich wysiedleń, prawie wszystkim udało się po wojnie wrócić szczęśliwie do swych domów i zagród. Pierwsi zabici i pierwsze mogiły żołnierskie to mogiły niemieckich żołnierzy, którzy zginęli tu podczas odwrotu niemieckiej armii w styczniu 1945 roku. Po przetoczeniu się frontu mieszkańcy Brzózek mroźnego, styczniowego ranka obudzili się jak co dzień, nie zauważywszy nawet w pierwszej chwili, że hitlerowska okupacja już się skończyła. Zaczęły się zupełnie inne, nowe czasy, które także mogłyby być tematem niejednej ciekawej opowieści.





Rybka

Królewskie początki i chłopskie pogrzeby

Trudno dziś było by powiedzieć cokolwiek o początkach Rybki; wsi przy drodze łączącej Ostrówek z Lututowem i Sokolnikami, gdyby nie pamiętny Sejm Czteroletni, obradujący w latach 1788 – 1792. Pośród wielu kwestii podnoszonych podczas jego obrad, jedną z ważniejszych była sprawa skarbu koronnego. Rozsiane po całej Rzeczypospolitej dobra królewskie z których dochody miały zasilać skarb państwa postanowiono poddać dokładnej lustracji by sprawdzić na miejscu ich stan, dochodowość i kondycję finansową. Królewszczyzną było podówczas starostwo sokolnickie z przyległościami, które dzierżawił Łukasz Bniński herbu Łodzia. Z racji posiadanych, odziedziczonych i dzierżawionych ziem był on w drugiej połowie XVIII wieku jednym z największych właścicieli ziemskich na zachodnich kresach Rzeczypospolitej. Posługiwał się tytułem pułkownika znaku husarskiego. W latach 1782–1793 piastował godność sędziego ziemskiego poznańskiego. W lipcu 1789 roku do Sokolnik przybyli trzej wyznaczeni przez Sejm Rzeczypospolitej lustratorzy: Wojciech Bartochowski – podczasy wieluński, Hieronim Masłowski – łowczy wieluński i Józef Karśnicki – komornik graniczny Ziemi Wieluńskiej, by zapoznać się ze stanem królewskich dóbr i na tej podstawie ustalić nowe taryfy podatku. Działający w imieniu Sejmu i króla lustratorzy dokładnie opisali należące do starostwa wsie, miasteczka i folwarki. W szczegółowych tabelach lustracyjnych i opisach stanu dóbr starostwa sokolnickiego znalazły się następujące miejscowości: miasteczko Frydrychsztat, Sokolniki, Krajanka, Kopaniny, Pichlice, Osiek, Dębica, Czastary, Przywory, Stępna, Łęki, Zdzierzczyna i Karzul. Szczególnie interesujący jest opis tej ostatniej; folwarku Karzul. Z zachowanego opisu wynika, że folwark ten położony był w miejscu zabudowań dzisiejszej wsi Rybka Sokolska.

Fragment raportu dotyczącego tego folwarku, zatytułowany „Folwarku Karzul zwanego, nowo przez terażniejszego JW. Starostę założonego, opisanie” warto przytoczyć dosłownie i w całości: „Dworek nowy z pruska w lepiankę postawiony o dwóch izbach, komorach trzech, do którego drzwi na zawiasach sześcioro, piec prosty z cegły jeden, drugi z kafli, podłoga z tarcic, dach pod gontami, ten cały budynek dobry ze wszystkim. Stodoła jedna z pruska w lepiankę postawiona o trzech sąsiekach, dwóch bojowiskach, do której wrót podwójnych na zawiasach żelaznych dwoje, dach od dołu gontami, a dalej trzciną udekowany, dobra ze wszystkim. Owczarnia nowa gontami od dołu a dalej snopkami pokryta, do której wrót podwójnych dwoje, ze wszystkim dobra. Obora jedna nowa gontami, a dalej snopkami pokryta, do której drzwi troje, ze wszystkim dobra. Gościńiec nowo w lepiankę postawiony o dwóch izbach, jednej komorze, do którego drzwi pięcioro, dach gontami pokryty dobry ze wszystkim. Stajnia wjezdna do której wrót podwójnych dwoje, dobrze opatrzonych, dach gontami pokryty dobry.” Z przytoczonego opisu wnioskować można, że folwark ten powstał pomiędzy rokiem 1782 a 1789. I to właśnie w opisanym przez lustratorów folwarku o nazwie Karzul szukać należy początków dzisiejszej wsi Rybka. Ówczesny starosta sokolnicki Łukasz Bniński znany był z gospodarności, zapobiegliwości i wyjątkowej dbałości o stan swych dóbr.

Po zliczeniu wszystkich dochodów z upraw, hodowli, dzierżaw, czynszów, lasów, młynów i rybnych stawów wyznaczono staroście roczny podatek na Skarb Rzeczypospolitej w wysokości 8355 ówczesnych złotych polskich, co stanowiło połowę rocznych dochodów

starostwa. Na tę niebagatelną sumę podatku starosta złożył zażalenie, stwierdzając, że suma ta przewyższa ogólne dochody starostwa z uwzględnieniem poniesionych wydatków, na co przedstawił stosowne rachunki i poświadczenia co do poniesionych kosztów w szczególności na „polepszenie stanu dóbr tego starostwa wyłożonych, które niemalym kosztem na mury pałacu, budynków dworskich, folwarków, stodół, browaru, austeryji, owczarniów, nowych kolonii, rowów starych odkrycie, bicie nowych ku osuszeniu łągów, a przeto pastwisk wyprowadzonych, założenie folwarków”. Złożone przez starostę zażalenie na wysokość podatku nie spotkało się ze zrozumieniem ze strony królewskich lustratorów, którzy zasłaniaли się brakiem kompetencji w zakresie tego typu wniosków. W pisemnej odpowiedzi na zażalenie stwierdzili, iż „komisarze nie mając w wypisach przez Stany Rzeczypospolitej danego nam przyzwolenia i w takowym żądaniu JW starosty postępowania skutecznienia tym wnioskiem, jako pod oczy nasze podpadającym w istności samej znajdującym się, co opis stanu dóbr całego starostwa obejmuje, sprawiedliwe dać możemy zaświadczenie, iż większą część ku polepszeniu stanu tych dóbr JW Łukasz Bniński, starosta sokolnicki obraca, niżeli w czasie terażniejszym powiększać dochody skarbu swego widzieć się zdaje.”

W 1790 roku w Rzeczypospolitej przeprowadzono pierwszy w jej historii spis powszechny ludności w dzisiejszym tego słowa znaczeniu. Sejm rolę komisarzy spisowych powierzył proboszczom poszczególnych parafii, którzy do końca owego roku zobowiązani zostali do sporządzenia imiennego spisu swych parafian z uwzględnieniem imienia, nazwiska, wieku, zawodu, adresu i stosunku pokrewieństwa w miejscu zamieszkania. Spis sporządzony przez proboszcza parafii Sokolniki, do której należał w tym czasie folwark Karzul, jest wyjątkowo dokładny. Prawie że pedantyczny, lecz nie obejmuje mieszkańców folwarku Karzul. Kto tam podówczas zamieszkiwał można dowiedzieć się ze spisu dokonanego przez proboszcza parafii Lututów. Możliwe, że sporządził go on niejako w zastępstwie księdza z Sokolnik, lub też powstał w innych okolicznościach. W dokonanym przez proboszcza parafii Lututów spisie folwark Karzul umieszczony jest na samym końcu dokumentu a sama treść spisu dokonana jest dość niedbale, jak gdyby na ostatnią chwilę, o czym świadczyć może data; 31 grudnia 1790 roku. Możliwe też, że osoby tam zamieszkujące spisano w ostatniej chwili niejako „zaocznie”, za czym przemawiać może brak w tabelach spisowych tak imion jak i dokładnych nazwisk poszczególnych mieszkańców. Według zachowanego dokumentu na folwarku Karzul w 1790 roku zamieszkiwali: posesor, pan Doliński lat 36, panna Dolińska 20 lat licząca, oraz; Roch, parobek lat 25, Jakub, parobek lat 30, Marianna, dziewczka lat 16, Józef, pastuch lat 18, Jadwiga, służąca lat 18 i Gertruda, pasterka w wieku lat 14. Bardzo możliwe, że kolejnym dzierżawcą folwarku Karzul był ktoś o nazwisku Rybka. Nazwisko to było niegdyś dość często spotykane w naszej okolicy.

Jeszcze w latach osiemdziesiątych minionego wieku rodzina Rybków posiadała w Lututowie sklep z farbami, pędzlami, tapetami i innymi malarskimi paramentami. Z czasem dawna nazwa folwarku popadła w zapomnienie i już w latach czterdziestych XIX wieku wieś znana była jako Rybka. Często jednak w dokumentach z tamtych czasów spotkać można starą i nową nazwę miejscowości jednocześnie, zapewne dla dokładniejszego sprecyzowanie miejsca. Pisano więc „Rybka czyli Karzul”, lub też na odwrót. Wydaje się, że najbardziej pomyślnym okresem dla rozwoju wsi były lata 1815 – 1830, kiedy to rząd ówczesnego Królestwa Polskiego stwarzał dogodne warunki dla osadnictwa wiejskiego i sprzyjał tworzeniu

nowych gospodarstw na gruntach prywatnych jak i rządowych. Zapewne na ten czas przypada przybycie tu wielu nowych osadników, nie tylko z terenu ziem polskich, i zakładanie przez nich gospodarstw wzdłuż drogi prowadzącej z Ostrówka do Lututowa. Znaczna część nowo osiedlonych, tak jak w pobliskim Przybyłowie, sprowadziła się ze Śląska i Saksonii, ziem doszczętnie spustoszonych i ograbionych w czasie wojen napoleońskich.

Nowi mieszkańcy po kilku pokoleniach wtopili się w polską społeczność naszych stron. Dziś o tamtych czasach przypominają już tylko nieliczne nazwiska, takie jak Nolbert, Rejman, Buchla czy Szala. Jeśli chodzi o przynależność parafialną, to właśnie ta część miejscowości przynależała do parafii w Lututowie, zaś folwark Karzul – do parafii w Sokolnikach. Po upadku Powstania Listopadowego rząd carski dla umocnienia swego panowania w Królestwie Polskim przystąpił do tworzenia tzw. majoratów, czyli rozległych dóbr ziemskich, które przekazywano carskim urzędnikom i wojskowym na „wieczną dzierżawę”. Zasadą majoratu była możliwość dziedziczenia otrzymanych majątków wyłącznie przez najstarszego potomka w linii męskiej. Głównym celem tworzenia majoratów z dóbr rządowych i skonfiskowanych polskiemu ziemiaństwu przez zaborców było zapobieżenie przejmowaniu ziemi przez Polaków. Taki majorat utworzono także z części dawnych królewskich a później rządowych dóbr Sokolniki. Łącznie obejmował on obszar 2367 mórg. W 1842 roku, ukazem carskim, majątek ten przekazano generałowi Pawłowi Koźlakowowi (1779 – 1864). Wśród wyszczególnionych w akcie nadania generałowi dóbr znalazł się także folwark „Rybka alias Karzul” o powierzchni 190 mórg. Panowanie carskiego generała skończyło się wraz z jego śmiercią w 1864 roku i przypadającym na ten sam rok dekretem uwłaszczeniowym cara Rosji Aleksandra II. Z czasem ziemie folwarku Karzul zostały rozparcelowane pomiędzy miejscowych mieszkańców a dawna nazwa tego miejsca stopniowo zatarła się w ludzkiej pamięci. Ostateczną parcelację majoratów przeprowadzono w 1919 roku, wydając w tym względzie specjalną ustawę sejmową.

W niepodległej Polsce Rybka była już rozległą, gęsto zaludnioną wsią. W 1939 roku Rybkę Sokolską wraz z Moluchem zamieszkiwało 275 osób. W tym samym czasie Rybka Lututowska liczyła 284 mieszkańców. Istniała tu także szkoła, której kierownikiem do 1927 roku był, Jan Kamosiński a następnie Maria Kwapińska. Jan Kamosiński był jednym z tych pionierów oświaty początków minionego stulecia, patriotą, bez reszty oddanym polskiemu szkolnictwu jeszcze w czasach zaborów. Już w 1917 roku w korespondencji do 38 numeru ukazującego się w Warszawie tygodnika „Zorza” donosił: „W gminie Lututów oświata stoi jeszcze dość nisko; są tu tylko 4 szkoły gminne; są wprawdzie oprócz tego 4 prywatne, ale w tych ostatnich dzieci pobierają naukę tylko przez 3 — 4 miesiące zimowe. Żle to, że w czasach, gdy cała Polska budzi się do życia, Lututów tak mało myśli o odbudowie Ojczyzny i o wychowaniu przyszłych obywateli kraju”. Do dziś w Rybce nie pozostało prawie nic, co przypominało by tamte czasy. Jedynie budynek szkoły zbudowanej tu pod koniec lat dwudziestych minionego wieku i przydrożna kapliczka z około 1880 roku. Wzniesiono ją w formie domku na planie kwadratu, zwieńczonego czterosпадowym, pokrytym blachą dachem z umieszczonym na szczycie krzyżem. Jeszcze w początkach lat osiemdziesiątych minionego wieku bardzo podobna kapliczka stała obok pierwszych zabudowań Augustynowa. Obecnie zastąpiono ją nową, wymurowaną z cegły. Jaką funkcję pełniły te dwie prawie identyczne kapliczki w obydwu nieodległych miejscowościach? Czy były miejscem kultu religijnego? Symbolem wiary tutejszych mieszkańców? Upamiętnieniem jakichś ważnych i dramatycznych

wydarzeń? Kiedy powstały? Obydwie kapliczki, bardziej niż miejsca kultu religijnego, pełniły raczej funkcję funeralną. Przez wiele lat służyły one za miejsce przechowywania krzyża i chorągwi pogrzebowych – sprzętów niezbędnych w ostatniej ziemskiej drodze zmarłych mieszkańców tych wsi. Poświęconego krzyża pogrzebowego i żałobnych chorągwi nie wypadało trzymać gdzieś za piecem w wiejskiej izbie. Najwłaściwszym do ich przechowywania miejsce były właśnie te charakterystyczne kapliczki. Dziś, gdy funkcjonują zakłady pogrzebowe, przykościelne chłodnie i krematoria, pochówek odbywa się prawie bez udziału rodziny zmarłego. Ale jeszcze kilkadziesiąt lat temu wiejskiemu pogrzebowi towarzyszył złożony ceremoniał rozciągnięty na trzy dni. Gdy członek rodziny po pracowitym życiu odchodził z tego świata, po umyciu zwłok, ubierano go w zawczasu przygotowane na tę okazję nowe ubranie i składano w trumnie. Pochowanie zmarłego w używanym przyrodziwku wróżyło nieszczęście dla całej rodziny na kilka pokoleń i uchodziło za karygodny brak szacunku dla osoby zmarłej. Otwartą trumnę ustawiano w największym pokoju. Na następny dzień schodziła się rodzina i sąsiedzi, by odmówić nakazane religią i tradycją modlitwy oraz odśpiewać stosowne na tę okoliczność nabożne pieśni. Nieomal w każdej wsi była osoba, która przy takich okazjach pełniła rolę mistrza ceremonii i przewodnika chóru. W naszych okolicach najbardziej znanym i poważanym „śpiewakiem”, bo tak go nazywano, był przez wiele lat Stanisław Magiera z Przybyłowa. Po zakończeniu modlitw przy trumnie zmarłego uczestnicy ceremonii rozchodzili się do swych domów. Uroczystość kończyła się skromnym poczęstunkiem z udziałem prowadzącego, obowiązkowo składającym się z pieczywa, kielbasy i kieliszka czegoś mocniejszego. Na trzeci dzień przed domem zmarłego formował się kondukt wyruszający w tą ostatnią drogę do kościoła, gdzie odprawiana była msza pogrzebowa. Na czele pochodu wyruszał najczęściej starszy, stateczny mężczyzna z pogrzebowym krzyżem w asyście niosących funeralne chorągwie. Za nim niesiono zamkniętą już trumnę a za nią podążała pogrążona w żalu rodzina i sąsiedzi. Do połowy minionego stulecia zmarłych z Rybki Lututowskiej chowano na cmentarzu w Lututowie, zaś mieszkańców Rybki Sokolskiej i Molucha trzeba było na wieczny spoczynek odprowadzić aż do Sokolnik, gdyż to do tych parafii należały wówczas wymienione miejscowości.

W XIX i jeszcze długo w XX wieku drogi naszej okolicy pozostawiały wiele do życzenia. Na wybojach, dziurach i wystających korzeniach konie łamały nogi i dyszle u wozów a piesi lgnęli po kolana w błocie. Piaszczyste pagórki były prawie nie do pokonania a zapadliska i błotniste doliny omijano na wszelkie sposoby prawie o każdej porze roku. Wielokilometrowa wędrówka pogrzebowego konduktu była nie lada wyzwaniem. Stąd właśnie przechowywanie funeralnych utensyliów w przydrożnych kapliczkach chociaż częściowo upraszczało organizację pogrzebowych uroczystości. Ksiądz proboszcz najczęściej czekał na kondukt przy wiejskim krzyżu, a przy niesprzyjającej aurze przed wejściem do kościoła. Po odprawieniu pogrzebowego nabożeństwa udawano się wreszcie na cmentarz, gdzie zmarłego składano do grobu. Te prawie zapomniane wiejskie zwyczaje i ceremonie pogrzebowe są dziś ważnym świadectwem bogatej kultury duchowej mieszkańców miejscowości znad Węglewskiej Strugi i Proсны.



Teklinów

Samotnik z Teklinowa

Polskie, jak i nasze okoliczne ziemiaństwo z końca XIX i początków XX wieku nie parało się jedynie uprawą ziemi i kultywowaniem arystokratycznych tradycji. Ważną dziedziną życia po dworach i dworkach rozsianych wzdłuż Prosny czy Węglewskiej Strugi, oprócz muzyki, było malarstwo. Malarstwo i rysunek uprawiano tak zawodowo jak i amatorsko. Na polskiej wsi wprost do dobrego tonu należało, by młodzi ludzie już w dzieciństwie zapoznali się z paletą, pędzlem i farbami. Umiejętności te traktowane były jako niezbędny element dobrego wychowania i bon tonu. Nasza historia pełna jest osób wywodzących się z polskiego ziemiaństwa, którym, zostawszy później znanymi twórcami literatury, nauki czy polityki, przepowiadano w dzieciństwie karierę malarską. Do najbardziej znanych zaliczyć można Marię Dąbrowską, Zofię Kossak czy Edwarda Rydza – Śmigłego. W zasadzie całe to środowisko przesiąknięte było zamiłowaniem do utrwalania na płótnie czy papierze widoków, krajobrazów, budowli, drzew, czy w ostateczności kwiatków. Do ulubionych zajęć młodzieży należało portretowanie najbliższych członków rodziny, przyjaciół i znajomych. Taka zajęcia z pewnością rozwijały wrażliwość, kształtowały charakter oraz niejednokrotnie rozwijały wrodzone talenty i umiejętności, które w czasach bez radia, telewizji czy internetu sprzyjały rozwojowi duchowemu i artystycznemu. W wielu wypadkach wejście w dorosłe już życie, małżeństwo, rodzina, praca, problemy dnia codziennego stawały się kresem rozwoju tej dziedziny sztuki, uprawianej chociażby dla zabicia czasu, który sto lat temu upływał jakby nieco wolniej niż dziś.

Byli jednak i ludzie tak oddani sztuce, może niezbyt wielkiego talentu, którzy jednak oddawali jej się bez reszty, nie bacząc na przeciwności i szarą codzienność. Jedną z takich osób, blisko związaną z Wieruszowem i niedalekim Kępem, był Stefan Radziejewski. Urodził się 14 października 1880 roku w Środzie Wielkopolskiej w rodzinie urzędniczej, wywodzącej się jednak ze starej wielkopolskiej szlachty. Stefan był najmłodszym z trójki rodzeństwa. Jego starszy brat Stanisław nabył majątek Zielniki koło Środy Wielkopolskiej, gdzie wiódł spokojny żywot statecznego ziemianina. Siostra Maria, była tak ja i Stefan, niespokojnym duchem o skomplikowanej konstrukcji psychicznej. Zakochana prawie na śmierć w naszym najsłynniejszym pisarzu historycznym Henryku Sienkiewiczu, unikała jednocześnie jak ognia jakiegokolwiek bliższego kontaktu z obiektem swych uczuć. Z zawodu dziennikarka, pracowała w redakcji śląskiego czasopisma „Katolik” w Bytomiu. Podróże, wyjazdy, ucieczki, w końcu depresja zakończona śmiercią w niejasnych okolicznościach tej „panny z dobrego domu” w Berlinie w 1911 roku. Stefan Radziejewski w pierwszych latach XX wieku nabył trzystumorgowy majątek ziemski w Teklinowie a właściwie w jego części zwanej Hubką lub Nową Osadą. Tu przez prawie pół wieku mieszkał, gospodarował a przede wszystkim poświęcał się swym dwóm największym pasjom; malarstwu i muzyce. Malowanie pejzaży, rysowanie ołówkiem portretów znajomych i wiejskich typów, gra na fortepianie, należały do jego ulubionych zajęć. Jego siostra Maria w liście do Henryka Sienkiewicza z dnia 28 czerwca 1903 roku tak pisała o Stefanie: „Mam brata, którego wielki talent i na wskroś artystyczna natura muszą ulec wobec mniemania środowiska, w którym żyje, a które głosi: że sztuka to nie zawód, że my w naszych „wyjątkowych warunkach” musimy tylko o byt się troszczyć, a sztuka

to zbytek. I cóż może jedna osoba przeciwko całemu legionowi? A faktycznie ja tylko sama walczyłam w imię jego powołania, czym przecież jest talent. Ponieważ brat mój jest nadzwyczaj religijny, próbowałam i w tym świetle mu ważność powołania przedstawić. Wszystko na próżno, a wiem, że niczym nie będzie w żadnym fachu, bo zdolności i zamiłowania tak wybitne nie dadzą się stłumić, czego wreszcie dowodzi w tym, że studiując na uniwersytecie zajmuje się niezmiernie operą i jak mi pisał w ostatnim liście, nawet później na wakacje przyjedzie, gdyż będzie dawany cykl, którego nie chce opuścić. Sam gra bardzo ładnie, ale talent jego, o którym warto mówić, leży w malarstwie”.

Wbrew dzisiejszym, mocno krzywdzącym opiniom, Stefan Radziejewski dobrze gospodarował na swej ziemi. Był jednym z bardziej liczących się członków Kółka Rolniczego w Olszowej, którego statutowym zadaniem było dbanie o „kulturę ziemi”. Konie i bydło z Hubki często trafiały na wojewódzkie wystawy rolnicze w Poznaniu, Ostrowie Wielkopolskim i Lesznie. Stefan Radziejewski nie założył rodziny. Najbliższą dla niego osobą była siostra Maria, która w momentach słabości, pogrążona w melancholii i depresji, rozpamiętująca swe niespełnione uczucia, wielokrotnie zaszywała się w domu swego brata by odpocząć i zregenerować swe nadwątlone duchowe i psychiczne siły. Pobyty Marii w Hubce były bodaj najszczęśliwymi chwilami w życiu Stefana. Przyjazd siostry był zawsze okazją do wspólnego muzykowania, malowania, dyskusji o sztuce i życiu. Jej śmierć była ogromnym ciosem dla samotnika z Teklinowa. W swej Hubce Stefan Radziejewski przeżył pierwszą wojnę światową, Powstanie Wielkopolskie, międzywojenne dwudziestolecie, wojnę 1939 roku i pierwsze lata niemieckiej okupacji. Postrzegany jako oryginał, dziwak i samotnik bez reszty oddawał się swym ulubionym artystycznym zajęciom. Hitlerowska okupacja była dla niego wyjątkowo ciężkim okresem. Podupadł na zdrowiu. Święta Bożego Narodzenia 1942 roku, najgorszą Gwiazdkę okupacji, spędził w kępińskim szpitalu. Tutaj też zmarł 7 stycznia 1943 roku. Pochowano go na cmentarzu w Kępnie. Opuszczona posiadłość po wojnie przeszła w ręce innych właścicieli Jego obrazy, akwarele, rysunki i książki uległy rozproszeniu i zniszczeniu. Gdy pod koniec minionego wieku zapytałem najstarszych ówczesnych mieszkańców dworku w Hubce, co stało się z ruchomościami po Stefanie Radziejewskim, usłyszałem jakże szczerą i wymowną odpowiedź: Panie! Tych obrazisków, papierzysków, tych książek starych, tośmy chyba ze cztery wozy w te doły wywieźli!



Wójcin

Hiszpańska narzeczona

W 1901 roku w warszawskiej gazecie „Dziennik dla Wszystkich” zaczęła się ukazywać w odcinkach napisana przez Wacława Gąsiorowskiego powieść pod tytułem „Huragan”. W kolejnym roku ukazała się w wydaniu książkowym. Jej akcja rozgrywa się w czasach wojen napoleońskich, zręcznie łącząc wątek historyczny, przygodowy i miłosny. W kolejnych latach ukazały się kolejne jej części; „Rok 1809” i „Szwależerowie gwardii”, tworząc trylogię. W konstrukcji trylogii jasno widać nawiązania do tej, napisanej nieco wcześniej przez Henryka Sienkiewicza. Gąsiorowski akcję swych powieści umieścił jedynie o ponad półtora wieku później niż Sienkiewicz. W powieści występuje szereg autentycznych, wyrazistych postaci z opisywanej epoki. Wśród nich nie brakuje wielu osób związanych z naszym regionem.

Oprócz słynnej markietanki, mieszkającej i pochowanej w Wieluniu, Joanny Żubr, na kartach trylogii występuje także Tadeusz Niewodowski i jego hiszpańska narzeczona, a później żona, Petronela Barrera. Obydwoje małżonkowie byli właścicielami Wójcina w pierwszej połowie XIX wieku. Petronela, (czyli Dolores), Barrera pochodziła z hiszpańskiej Saragossy. W jaki sposób Hiszpanka z dalekiej Aragonii trafiła nad Prosnę do Wójcina? Jaka była prawdziwa historia Tadeusza Niewodowskiego i pięknej Dolores? Tadeusz Niewodowski urodził się w 1782 roku na Podlasiu, w powiecie augustowskim. W roku 1807 wstąpił do wojsk Księstwa Warszawskiego, z którymi odbył kampanię przeciw Prusom a następnie do Legii Nadwiślańskiej. Na podstawie umowy Księstwa Warszawskiego z rządem francuskim Księstwo miało zapewnić Legii Nadwiślańskiej stały dopływ rekruta. Polską Legię Nadwiślańską skierowano do Hiszpanii, gdzie odznaczyła się w walkach przeciwko wojskom hiszpańskim pod Saragossą. Po zdobyciu miasta wojska napoleońskie nadal zmagaly się tam z hiszpańską partyzantką, dopuszczając się przy okazji szeregu pogromów, grabieży i okrucieństw. W takich właśnie okolicznościach, w trakcie pacyfikacji miasta przez Francuzów, Tadeusz Niewodowski poznał Petronelę Barrea, córkę burmistrza Saragossy. Ojciec Petroneli został zamordowany przez żołnierzy napoleońskich a jego zwłoki wrzucono do rzeki Ebro. Młody porucznik od pierwszego wejrzenia zakochał się w pięknej hiszpance. Oboje młodzi ludzie powodowani gorącym uczuciem i stałą obawą przed represjami ze strony okupacyjnych wojsk francuskich rychło stanęli na ślubnym kobiercu. Z Saragossy polsko – hiszpańska para wyjechała do Paryża a następnie do Warszawy. Po abdykacji Napoleona, likwidacji Księstwa Warszawskiego i utworzeniu w 1815 roku Królestwa Polskiego pod protektoratem cesarza Rosji, Niewodowscy zamieszkali w Warszawie, gdzie Tadeusz, wówczas już pułkownik, w latach 1825-1828 był zatrudniony jako pisarz w Sądzie Sejmowym Królestwa Polskiego. W stolicy małżonkowie zamieszkali w domu krewnych Tadeusza Niewodowskiego. W 1838 roku nadarzyła się okazja kupna dóbr w Wójcinie nad Prosną, będących wcześniej dobrami rządowymi a w czasach Królestwa Polskiego wystawionych na sprzedaż. Niewodowscy niezbyt długo gospodarowali w Wójcinie. Żona pułkownika Petronela z Barrerów Niewodowska zmarła w 1848 roku a pułkownik Tadeusz Niewodowski w dwa lata później.

Obydwoje pochowani zostali w dobrze zachowanej do dziś kaplicy grobowej na wójcińskim cmentarzu. Spadkobierczynią dóbr wójcińskich była ich jedyna córka Oktawia, która wyszła za pochodzącego z Wieruszowa Kazimierza Weryho – Darewskiego, oficera

wojsk rosyjskich. Werycho – Darewscy szczycili się starożytnym pochodzeniem z rodu litewskich kniaziów Weryhów. Kazimierz był więc odpowiednią partią dla posażnej sukcesorki dóbr wójcińskich. W czasie powstania styczniowego 1863 roku Kazimierz Werycho – Darewski opowiedział się po stronie walczących o niepodległość Polaków. Po wielu perypetiach i niebezpieczeństwach, jako powstańczy emisariusz, zmarł w Kępnie pod koniec 1863 roku. Oktawia o wiele lat przeżyła swego męża, zakończywszy swe życie w Wójcinie w roku 1898. Ona także spoczęła w rodowej kaplicy. W ścianę tej pochodzącej z połowy XIX wieku klasycystycznej budowli wmurowano istniejącą do dziś tablicę informującą, że jest to miejsce wiecznego spoczynku Niewodowskich i Werycho – Darewskich. W ten oto właśnie sposób gorąca miłość i dramatyczne wydarzenia z przeszłości połączyły urodzoną w Aragonii Dolores i pochodzącego z Podlasia Tadeusza. Oboje, jak i ich liczni potomkowie z kolejnych pokoleń, w liczbie ponad dwudziestu osób, spoczywają do dziś w wójcińskiej kaplicy.

Mało kto pamięta już o losach dwojga młodych ludzi: Hiszpanki i Polaka, których autentyczne losy w pierwszych latach XIX wieku stały się tematem dziś już prawie zapomnianej trylogii Wacława Gąsiorowskiego.



Osiek

Zginęła cała rodzina

Bywają zbrodnie tak wstrząsające, że pamięć o nich trwa w lokalnych społecznościach przez pokolenia a nawet przez stulecia. Takim niewątpliwie było zamordowanie całej rodziny Kowalskich z Osieka w gminie Galewice. Tej okrutnej zbrodni dokonał ich najstarszy syn – Jakub Kowalski. A wszystko to działo się w grudniową noc 1899 roku.

Rodzina Kowalskich była jedną z najbogatszych, jeśli nie najbogatszą, w całym Osieku. Posiadali pięćdziesięciohektarowe gospodarstwo oraz byli właścicielami kilku domów. Głowa rodziny – Paweł Kowalski, cieszył się dużym poważaniem wśród mieszkańców nie tylko Osieka. Przez 12 lat był nawet wójtem gminy Galewice. Rodzina Kowalskich składała się z ośmiu osób. Najstarszym z sześciorga ich dzieci był syn Jakub. Jako młody chłopak wyjechał do Łodzi, gdzie wyuczył się zawodu stolarza. Po okresie nauki i pracy w tym zawodzie, powrócił do rodzinnego Osieka. Miał wówczas 25 lat. Jak można wyczytać w grudniowych wydaniach „Gazety Kaliskiej” z 1899 roku, najstarszy syn Kowalskich, po powrocie na wieś postanowił się ożenić. Jego wybranką została Antonina O., także mieszkanka Osieka. Rodzina narzeczonej należała raczej do uboższych i podobno nie cieszyła się najlepszą opinią wśród miejscowej społeczności. Rodzice Jakuba wyraźnie dawali do zrozumienia, że są przeciwni temu związkowi. W tej sytuacji Antonina O. także odrzuciła zaloty Jakuba, oznajmiając mu to podczas spotkania w dniu 22 grudnia 1899 roku. Była już noc. Jakub Kowalski powróciwszy do swego rodzinnego domu, siekierą wymordował całą swoją rodzinę. Od ciosów zadanych śpiącym domownikom zginęli: ojciec Paweł Kowalski, matka Rozalia Kowalska, cztery siostry: Antonina, Marianna, Franciszka i Kazimiera, brat Wincenty oraz służąca z kilkumiesięcznym dzieckiem. Łącznie w domu Kowalskich zamordowanych zostało dziewięć osób. Ówczesna prasa tak opisuje szczegóły tej potwornej zbrodni: „Rodzina Kowalskich spała w trzech izbach: w głównej, w której sypiał również i morderca, spał stary Kowalski wraz z 4-letnią córką. Z nimi też najpierw zabójca się załatwił, zabijając toporem naprzód ojca a potem siostrę. Z pokoju tego udał się on do alkierza, gdzie na dwóch łóżkach spała matka i trzy siostry. Rozpłatanie głów nieszczęśliwym ofiarom było dziełem chwili zaledwie kilku. Z alkierza rozbestwiony zbrodniarz udał się do kuchni, gdzie kilku uderzeniami topora załatwił się ze służącą i jej kilkumiesięcznym dzieckiem. Na koniec nie zapomniał o swym 15-letnim bracie, który spał w stajni, i tego też kilku uderzeniami topora położył trupem”. Po dokonaniu tej przerażającej zbrodni, Jakub Kowalski dla zatarcia śladów upozorował napad rabunkowy z udziałem nieznanymi osobami. W tym celu, pozorując plądrowanie mieszkania i rabunek, powyciągał szuflady z komód, związał w tłumok pościel ze swego łóżka i pobiegł na wieś budzić sąsiadów, opowiadając im, że gdy przyszedł do domu, zastał całą rodzinę zabita, a jednemu z ludzi, którego spotkał w mieszkaniu, a który mu groził toporem, odebrał węzeł z pościelą. Nie przekonało to jednak mieszkańców Osieka, którzy natychmiast powiadomili policję. Jakub Kowalski został aresztowany. Na miejsce rychło zjechał z Kalisza prokurator gubernialny Gubin i „sędzia śledczy do spraw ważniejszych” Akimowicz, którzy przesłuchali zatrzymanego. Jakub Kowalski już w trakcie pierwszego przesłuchania przyznał się do popełnienia tej przerażającej zbrodni. Mordercę przewieziono do więzienia w Kaliszu, gdzie oczekiwał na proces i wyrok. Wymordowanie całej rodziny przez wyrodnego syna było nie

lada traumatycznym wstrząsem nie tylko dla mieszkańców Osieka i okolic. Wieść o popełnionej zbrodni szybko rozeszła się po całym kraju. Ofiary wyrodnego syna pochowano na cmentarzu w Cieszęcinie.

Jak wspominają mieszkańcy, w pogrzebie udział wzięło kilka tysięcy osób. Jakub Kowalski za zamordowanie dziewięciu osób skazany został przez sąd gubernialny w Kaliszu na karę dożywotnich ciężkich robót bez prawa wcześniejszego zwolnienia nawet w przypadku znacznego pogorszenia stanu zdrowia. Dramatyczne wydarzenia sprzed ponad stu dwudziestu lat nadal pozostają w żywej pamięci mieszkańców Osieka i okolic. Przypomina o tym zbiorowa mogiła ofiar na cmentarzu w Cieszęcinie i krzyż w Osieku, wystawiony na miejscu, gdzie przed laty mieszkała rodzina Kowalskich, opatrzony znamionym, dziś już nieco zatartym, napisem: „Tu z ręki wyrodnego syna zginęła cała rodzina”.



Biadaszki

Dusze pokutujące i skarb pod krzyżem

Prawie każdy przydrożny krzyż czy kapliczka, a tych jest u nas bez liku, ma swą tajemniczą historię lub legendę. Przy niektórych straszą po nocach pokutujące dusze, złe moce czy duchy tragicznie zmarłych. Inne są miejscami pełnymi tajemnic i prastarej magii, a jeszcze inne strażnikami dawno ukrytych pod nimi skarbów. Każde takie miejsce owiane jest jakąś bardziej lub mniej znaną legendą. Zawsze najbardziej ekscytujące są te o ukrytych skarbach. Bywa jednak tak, że te ostatnie, czasami nie do końca okazują się tylko legendą. Tak było z przydrożnym drewnianym krzyżem, który stał onegdaj w połowie drogi pomiędzy Gąszczami a Biadaszkami w gminie Galewice. Stał tam od niepamiętnych czasów. Może nawet od wieków. Postawiono go po prawej stronie drogi z Gąszczy do Biadaszek przy skrzyżowaniu z drogą łączącą dawny trakt węglewicko – lututowski ze wsią Brzózki. O tym, iż na pewno tam stał, świadczyć może to, że sąsiadujące z tym miejscem pola i działki jeszcze pod koniec minionego wieku określano nazwą „pod krzyżem”. Ale wtedy już żadnego krzyża tam nie było. Jak wspominali najstarsi mieszkańcy tych okolic, pewnego poranka około 1937 lub 1938 roku zauważono wywrócony, połamany krzyż i spory kopiec żółtej, świeżo wykopanej ziemi. Obok wałały się spróchniałe resztki niewielkiej skrzyni z zardzewiałymi już, metalowymi okuciami. Po zawartości skrzyni nie było najmniejszego śladu. Ktoś ciemną nocą przekopał to miejsce i wy dobył ukryty tam skarb.

Całe wydarzenie było sporym wstrząsem dla spokojnie żyjących tu od lat okolicznych mieszkańców. Miejsce uznano za sprofanowane i krzyża już nigdy nie odbudowano. Pozostały tylko wspomnienia i nazwa tego miejsca. Wiele razy zastanawiałem się, co mogło być ukryte pod przydrożną figurą na tym mało znaczącym i odludnym skrzyżowaniu dróg? Zrabowane klejnoty? Złoto? Prastare kosztowności ze szlachetnych kruszców i nie mniej szlachetnych kamieni? A może skarby zrabowane gdzieś w Rosji i zakopane przez wycofujących się żołnierzy armii napoleońskiej w 1812 roku? Nie wiadomo. Dziś najbardziej prawdopodobne wydaje się, że była to raczej kasa kogoś z oddziałów działających w tych okolicach w czasie Powstania Styczniowego 1863 roku. Możliwe, że składała się ze złotych rubli. Ukryta pod niepozornym krzyżem w odludnym miejscu przeleżała około siedemdziesiąt lat, by zostać wydobytą przez kogoś, kto znał, lub komu powierzono tajemnicę losów powstańczego depozytu. Zawsze staram się weryfikować spisywane historie z bliższej lub dalszej przeszłości. Uchwycić jakiś „punkt zaczepienia”. Jakieś potwierdzenie, trop lub ślad. Znaleźć coś w starych dziewiętnastowiecznych przewodnikach, książkach, dokumentach, na cmentarnych tablicach. Chociażby jedno zdanie na „tak”, dające dowodnie chociażby odrobinę pewności, że opisywane wydarzenia naprawdę miały miejsce. Że wspomniani ludzie naprawdę żyli tutaj w tym czy innym czasie przed nami. Pisząc o skarbie ukrytym pod przydrożnym krzyżem pomiędzy Gąszczami a Biadaszkami w gminie Galewice, oparłem się w całej tej historii nie tylko na ustnym przekazie moich przodków, podawanym przez lata z pokolenia na pokolenie. Szukałem „dowodu”. Dowodu na istnienie tego miejsca. Jeden z nich to potoczna nazwa sąsiadujących pól – „pod krzyżem”. Ale to tylko nazwa, jakich wiele. Dziś już prawie zupełnie zapomniana i nieużywana. Najistotniejszym dowodem okazała się stara mapa z 1936 roku, opracowana i wydana przez ówczesny Wojskowy Instytut Geograficzny. Krzyż na wspomnianym przecięciu

dróg jest tam zaznaczony aż nadto wyraźnie. Są także historie, ciekawe i ekscytujące dla zainteresowanych podobnymi tematami, znane jedynie z przekazów ustnych. Można by je włożyć pomiędzy bajki czy legendy. Powątpiewać, czy miały miejsce naprawdę, czy też powstały w ludzkiej wyobraźni. Jednak w każdej podobnej legendzie czy opowieści zawsze jest jakaś część prawdy o wydarzeniach czy ludzkich losach, wartych ocalenia. Ta forma ocalenia od zapomnienia historii jest pierwszą przed pismem, nagrywaniem filmów i dźwięku. Ludzie najpierw wszystko przekazywali sobie właśnie w ten sposób.

Dzięki przekazom ustnym znamy cały rodowód biblijnych bohaterów i proroków, bo podawany był werbalnie z ojca na syna do czasu, aż znalazł się ktoś, kto wreszcie go zapisał. Przekazem ustnym posługiwali się Indianie północnoamerykańscy, którzy nie za bardzo interesowali się pismem, a jednak dobrze znali swoją historię i legendy. Przekaz ustny ma ogromną wartość nie tylko tam, gdzie komuś pisanie jest nie po drodze, ale również tam, gdzie wydawało by się, „nie ma o czym pisać”. Taką historią bez „dowodu”, a znalazło by się ich w naszych okolicach bez liku, jest historia o znalezieniu skarbu starych monet, możliwe, że złotych, w miejscowości Kuźaj koło Galewic. Wiele wskazuje na to, że wydarzenie to miało miejsce jeszcze przed I Wojną Światową, a może jeszcze w XIX wieku. Miejsce, w którym natrafiono na skarb znajdowało się gdzieś w połowie wsi, przy nisko położonej drodze, obsadzonej wówczas prastarymi wierzbami. Drogi, które w naszych okolicach przez wieki pozostawiały dużo do życzenia, co jakiś czas próbowano osuszać i naprawiać za pomocą miejscowych mieszkańców zwoływanych zazwyczaj na ten ówczesny czyn społeczny, zwany z niemiecka „szarwarkiem” przez sołtysa lub wójta. Chociaż niechętnie, ludzie brali łopaty, siekiery oraz inne narzędzia i wyruszali do pracy, by chociaż nieco poprawić rozjeżdżoną i pełną wybojów drogę. W każdej wiejskiej społeczności od zawsze funkcjonował tzw. „wiejski głupek”. Najczęściej była to osoba o jakimś stopniu intelektualnej niepełnosprawności, lub też oryginał, odstający mentalnie od reszty mieszkańców. Takiemu właśnie oryginałowi powierzono najcięższą pracę – wykopywanie pni i korzeni prastarych, przydrożnych wierzb. Na pewno pracował pilnie i z poświęceniem, bo w pewnym momencie zaczął głośno nawoływać, informując pozostałych pracujących, że znalazł prawdziwy skarb! Był to podobno gliniany garnek wypełniony monetami. Pozostali pracujący tam mieszkańcy zbiegli się natychmiast na miejsce znaleziska i w mgnieniu oka pozbierali wszystkie wykopane monety, oddalając się jak najszybciej do swych domów. Ci, którzy pracowali nieco dalej, lub zagapili się na moment, zanim dobiegli na miejsce znaleziska, zastali już tylko skorupy pobitego garnka i „wiejskiego głupka”.

Na tym można by zakończyć tę prawie legendarną opowieść. Nigdzie nie zapisano tych wydarzeń sprzed lat. Jedyne co, to wspomnienia kilku nieżyjących już dziś mieszkańców okolicznych wsi, z których jeden, dobrze mi znany z dzieciństwa, opowiadał, że zainspirowany tą historią, w latach 30 – tych minionego wieku wielokrotnie poszukiwał nocami ukrytych skarbów w okolicach Kuźaja i Jeziornej. Jednak, bez powodzenia.



Gąszcze

Skrzydła pośród zbóż

Widok obracających się śmigieł wiatraka towarzyszył mi od wczesnego dzieciństwa. Gdy tylko podrosłem na tyle, że mogłem sięgnąć wzrokiem powyżej parapetu okna, to o każdej porze dnia i roku widokiem, który najbardziej przyciągał moją uwagę, były obracające się śmigła stojącego pośród pól wiatraka.

Okna naszego domu wychodziły na północ i południe. Od północy widoczne były najpierw łąki z kępami olszyn, pola pocięte miedzami a w perspektywie wiatrak z towarzyszącymi mu zabudowaniami: domem młynarza, stodołą i oborą. Pośrodku podwórza stał jeszcze niewielki domek z grubym, przysadzistym ceglany kominem. Domek spełniał rolę piekarni i zarazem kuchni. Był tam duży piec chlebowy przykryty żeliwną płytą o kilku otworach, na którym w letniej porze gotowano posiłki. Chleb pieczono zaś tam przez cały rok. Wiatrak stał w pewnym oddaleniu od innych budynków, by zapewnić pracującym dzięki sile wiatru śmigłom swobodny doń dostęp. Wokół wiatraka rozciągały się pola: zagony poprzedzielane szerszymi i węższymi miedzami z rosnącą gdzieniegdzie polną gruszą. Ciekawą, choć rzadką rośliną, która w pewnej porze roku rozkwitała złoto - liliowymi kwiatami wzdłuż polnych ścieżek była kukułka. Tak ją powszechnie nazywano. Wiele lat później dowiedziałem się, że jest to jedyny przedstawiciel rodziny storczyków dziko u nas rosnących.

W czasach mojego dzieciństwa nie nastąpiła jeszcze epoka elektrycznych śrutowników i ziarno na paszę dla trzody mielono także w wiatraku lub wodnym młynie, do którego było jednak kilka kilometrów. Oprócz chlebowej mąki i śruty w wiatraku produkowano także kasze z jęczmienia czy gryki. Wszystko to powstawało na miejscu, po przepuszczeniu ziarna przez walce i sita. Energia nic nie kosztowała. Dawała ją sama natura. Dziś moglibyśmy powiedzieć, że była to produkcja naprawdę ekologiczna. Śmigła wiatraka w Gąszczach obracały się nieprzerwanie przez prawie pół wieku. Pierwszymi i zarazem ostatnimi właścicielami wiatraka byli Katarzyna i Emilian Świerkowscy. Wiatrak w Gąszczach zbudowano w 1936 roku. Należał do rodziny Konatów, która podówczas posiadała trzy wiatraki: w Konatach, Brzózkach i w Gąszczach. Senior rodu zbudował je dla trójki swych dzieci: Ignacego, Antoniego i Katarzyny. Wiatrak w Gąszczach był właśnie posagiem Katarzyny. Zwano ją Piękną Kaśką. Gdy ją poznałem, miała już około siedemdziesięciu lat. Mimo wieku, zachowała prostą sylwetkę, żwawe ruchy i pewną, rzucającą się w oczy niecierpliwość. Nie mogła nigdy usiedzieć na miejscu, wciąż zajęta pracami gospodarskimi i domowymi. Kolejna cecha Pięknego Kaśki to wyjątkowa małomówność. Nie pamiętam, czy zamieniła ze mną choć jedno zdanie, mimo że spotykałem ją dość często.

Mąż Pięknego Kaśki miał na imię Emil. Gdy wiatrowy młyn pracował jeszcze całą parą, młynarz nie opuszczał go przez całą dobę. W wiatraku spał, jadł i dozorował jego pracę, regulując prędkość obrotów i pilnując, by nic złego się nie wydarzyło. Za mojej pamięci był już starszym człowiekiem. Pracy w młynie nie było już tak wiele. Mógł sobie pozwolić na dłuższe chwile wypoczynku. Siadał wówczas na ławeczce pod jabłonią i karmił kozę krojonymi w plasterki jabłkami. Kozą była wyjątkowo przywiązana do Emila. Swą sympatię i przywiązanie okazywała żując nieustannie krawędzie jego marynarki. Z tego powodu garnitur

młynarza Emila przypominał dołem ubranie stracha na wróble. Emil często czytał pewną, ciągle jedną i tę samą książkę. Długo zastanawiało mnie, co to za książka. Po latach rozwiązałem tę zagadkę. Był to Wacława Lipińskiego „Dziennik wojenny. Szlakiem I Brygady”. Emil Świerkowski też był legionistą a częsta lektura dziennika przypominała mu jego wojenne przeżycia i przygody z lat 1914 – 1918. Jakimś dziwnym zrządzeniem losu ta już dziś mocno sfatygowana i postrzępiona książka jest moją jedyną pamiątką po młynarzu Emilu.

Co jakiś czas woziliśmy zboże do przemiału. Wóz załadowany workami podjeżdżał pod ścianę wiatraka. Worki wciągano na najwyższą kondygnację za pomocą przemysłowej linowej windy. Tam następowało ich przeważenie a następnie ich zawartość ginęła w czeluściach skomplikowanych wiatrakowych maszyn.

Ziarno początkowo meły kamienie zwane francuskimi. W początkach lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku wiatrak wyposażono w nowe walce, urządzenia czyszczące oraz specjalny śrutownik. W czasach swej największej świetności i prosperity wiatrak był w stanie przemleć jedną tonę zboża w ciągu doby.

Wiatrak w Gąszczach należał do typu koźlaków. Cała jego konstrukcja zawieszona była na jednym, nieruchomym słupie. Specjalne obrotowe łożysko pozwalało na obracanie budowli w dowolną stronę świata, zależnie od kierunku, z którego akurat wiał sprzyjający wiatr. Z okna na górnej kondygnacji wiatraka można było obserwować okolicę na wszystkie cztery strony. O tym decydowała jednak sama przyroda. Przewaga wiatrów zachodnich powodowała, że wiatrak najczęściej przyjmował jedną pozycję – z krzyżem śmigieł zwróconym w kierunku południowo – zachodnim. I tak też pozostało po tym, gdy jego śmigła zamarły na dobre. Nieruchomy i zrujnowany patrzył smutnym wzrokiem powybijanych okien na zachód, czekając na swą rychłą już śmierć. Emil i Piękna Kaśka dawno już pomarli. Nie znalazł się nikt z ich dzieci i wnuków, kto kontynuował by zawód młynarza. Dom i budynki gospodarcze popadły w ruinę. Dziś nie ma już Pięknej Kaśki ani kozy obgryzającej krawędzie marynarki młynarza Emila. Nie słychać jednostajnego szumu i terkotu wiatrakowych mechanizmów. Po całym obejściu hula tylko wiatr, pogwizdując złowrogo wśród ruin domu i resztek wiatrowego młyna. Padający przez dziurawy dach deszcz i śnieg każdego roku w momencie roztopów zamieniał się w wielotonową masę wody, której ciężaru nie wytrzymała nadwątlona czasem i zaniedbana budowla. Reszty dzieła zniszczenia dokonali ludzie, podpalając resztki zrujnowanego wiatraka w pierwszych latach naszego wieku. Dziś to już tylko chaszczce z których smutno sterczą resztki czarnych, osmalonych belek.



Sokolniki

Olimpijczyk ze starego pałacu

W początkach lat dwudziestych minionego wieku stary, osiemnastowieczny pałac w Sokolnikach nabyła rodzina Szoslandów. Współwłaścicielami tej nieruchomości stali się bracia; Kazimierz i Tadeusz Szoslandowie. Jak wynika z informacji zawartych w opublikowanym w 1935 roku „Informatorze Wieluńskim”, w okresie międzywojennym nominalnym właścicielem Sokolnickiego pałacu i gruntów był Tadeusz Szosland. Dawne królewskie a później rządowe dobra w Sokolnikach, systematycznie parcelowane, składały się już wówczas jedynie ze stojącego do dziś otoczonego parkiem, barokowego pałacu i 80 hektarów ziemi. Sam pałac był w złym stanie i za bardzo nie nadawał się do przebywania w nim przez cały rok, więc Szoslandowie zamieszkali w pomieszczeniach oficyny. Rodzina Szoslandów związana była raczej ze stolicą. Jednak Sokolniki były miejscem, gdzie spędzali wiele czasu, z daleka od warszawskiego gwaru i tłoku. Dożo czasu spędzał tu także Kazimierz Szosland, brat przedwojennego właściciela sokolnickiego pałacu. Kazimierz Szosland urodził się w 1891 roku w Grzymaczewie koło Kalisza. Oprócz Tadeusza, miał jeszcze brata Eugeniusza. W czasie pierwszej wojny światowej był żołnierzem armii rosyjskiej. W listopadzie 1918 roku ochotniczo wstąpił do Wojska Polskiego i do 1939 roku służył w Pułku Ułanów Grochowskich. Uczestniczył wojnie z bolszewikami w 1920 roku. W II Rzeczypospolitej zasłynął jako sportowiec, utytułowany olimpijczyk, działacz harcerski a następnie żołnierz i oficer Armii Krajowej w czasach wojny i niemieckiej okupacji. W trakcie

swej kariery sportowej to właśnie w Sokolnikach znajdował dobre warunki do jeździeckich treningów. Tu też trzymano konie na których Kazimierz Szosland intensywnie trenował przed każdymi hippicznymi zawodami w Polsce i za granicą. Życie w przedwojennych Sokolnikach tak wspomina jego syn Andrzej Szosland: *Do wojny był gościem w domu, bo wciąż startował. Pamiętam, jak wpadał latem do naszego majątku w Sokolnikach pod Łodzią, gdzie trzymał wiele koni i sadzał mnie przed sobą w siodle wożąc po okolicy. Z czasem kupił mi osiołka, potem huculkę. Był moim nauczycielem. Bardzo lubiłem patrzeć, jak sam jeździł, bo robił to naprawdę świetnie. Cieszyłem się, gdy mogłem go podziwiać na prawdziwych zawodach, czasem zabierał mnie na parkur do warszawskich Łazienek. Mocno wtedy trzymałem za niego kciuki.*

Z jego ciekawego życia zachowało się do dziś kilka wiele publikacji, zapisków, pamiętników, pamiątek i zdjęć. Te dwie fotografie związane z osobą przedwojennego olimpijczyka związanego z naszym regionem, to jedynie ułamek jego bogatej kariery i działalności społecznej. Pierwsze z zamieszczonych tu zdjęcie zrobiono w czerwcu 1933 roku na hipodromie w warszawskich Łazienkach Królewskich. Przystojny starszy pan w cylindrze, trzymający w dłoni białe rękawiczki, to ówczesny prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Ignacy Mościcki. Fotografię zrobiono w czasie Międzynarodowych Zawodów Hippicznych „O Puchar Narodów”. Prezydent Ignacy Mościcki za chwilę pogratuluje zdobywcy utrzymanego przez jednego z towarzyszących prezydentowi generałów pokaźnego pucharu. Tym zwycięzcą jest siedzący na koniu rotmistrz Kazimierz Szosland. Jako jeździec, pierwszy znaczący sukces odniósł w 1925 roku podczas jeździeckiego konkursu drużynowego w Nicei. Jego partnerem na nicejskich zawodach był, między innymi, rotmistrz Henryk Dobrzański, późniejszy słynny major „Hubal”. W tym samym roku polska drużyna z Szoslandem na czele wygrała Puchar Narodów w Nowym Jorku. Polacy pokonali wówczas Francuzów, Belgów, Kanadyjczyków, Holendrów, Hiszpanów i Amerykanów. W następnych latach Kazimierz Szosland odniósł szereg spektakularnych zwycięstw w wielu konkursach jeździeckich na całym świecie. Jego największym sportowym osiągnięciem było zdobycie na Olimpiadzie w Amsterdamie w 1928 roku srebrnego medalu w konkursie skoków drużynowych. Drugie zdjęcie wykonano w Sokolnikach w 1934 roku podczas powiatowego zlotu harcerzy.

Przestronne i na co dzień prawie nie używane pomieszczenia sokolnickiego pałacu często były udostępniane przez właścicieli na organizowanie różnego rodzaju spotkań, zlotów i letnich obozów harcerskich, których współorganizatorem był Kazimierz Szosland. Zebrani harcerze i goście pozują tu na tle pałacu w Sokolnikach od strony parku. W trakcie takich zlotów, oprócz wycieczek, leśnych biwaków i harcerskich ognisk, organizowano także spotkania z ciekawymi i wyjątkowymi gośćmi. W 1934 roku przebywających w Sokolnikach wieluńskich harcerzy odwiedził słynny polski lotnik Stanisław Skarżyński (1899 – 1942), który w maju 1933 roku na jednomiejscowym samolocie polskiej konstrukcji RWD 5, jako pierwszy Polak przeleciał przez Ocean Atlantycki z zachodniego wybrzeża Afryki do Brazylii. Na pamiątkowej fotografii Stanisław Skarżyński siedzi pośrodku, pod harcerskim sztandarem, pomiędzy Kazimierzem Szoslandem po jego prawej stronie, a ówczesnym kierownikiem szkoły w Sokolnikach Władysławem Kusiakiem. Pierwszego września 1939 roku Kazimierz Szosland w pośpiechu przetransportował żonę i dziecko z Sokolnik do przyjaciół w Garwolinie, skąd udał się do swojej jednostki w Grudziądzu. Tutaj w pierwszych dniach wojny otrzymał rozkaz konwojowania najlepszych polskich koni sportowych z Centrum Wyszkolenia Kawalerii w

Grudziądu do miasta Sarny na Wołyniu. Pod Górą Kalwarią, on, jego ludzie i zwierzęta znaleźli się w zasięgu zmasowanego niemieckiego ataku lotniczego. Ludzie ocalili. Większość koni zginęła. Po pełnej przygod i niebezpieczeństw wrześniowej tułaczce, Kazimierz Szosland powrócił do Warszawy a następnie zamieszkał w Grudziądu.

Od pierwszych dni niemieckiej okupacji zaangażował się w działalność konspiracyjną. Jako oficer Armii Krajowej był odpowiedzialny za przyjmowanie zrzutów alianckich, dokonywanych w okolicach Grudziądza i Grodziska Mazowieckiego. W kwietniu 1944 roku zginął w do dziś nie wyjaśnionych okolicznościach, zastrzelony w Adamowiźnie koło Grudziądza. Podejrzewa się, że morderstwa dokonała bojówka prokomunistycznej Armii Ludowej lub też operujący w tamtych okolicach partyzanci sowieccy. Olimpijczyka, żołnierza i patriotę, jakim był przez całe swoje życie, pochowano na cmentarzu w Grodzisku Mazowieckim.



Ostrówek

Przypadek księdza Sokoła

Ksiądz Bolesław Sokół urodził się w 1907 roku w Koryczanach koło Olkusza. Po ukończeniu Częstochowskiego Seminarium Duchownego i święceniach kapłańskich, posługiwał w kilku parafiach diecezji częstochowskiej. W 1938 roku został mianowany proboszczem parafii w Ostrówku. Mimo krótkiego okresu administrowania parafią, ksiądz Bolesław Sokół znacznie przyczynił się do rozwoju życia religijnego parafialnej społeczności. Według spisu z 1938 roku w parafii działało Katolickie Stowarzyszenie Mężów i Kobiet,

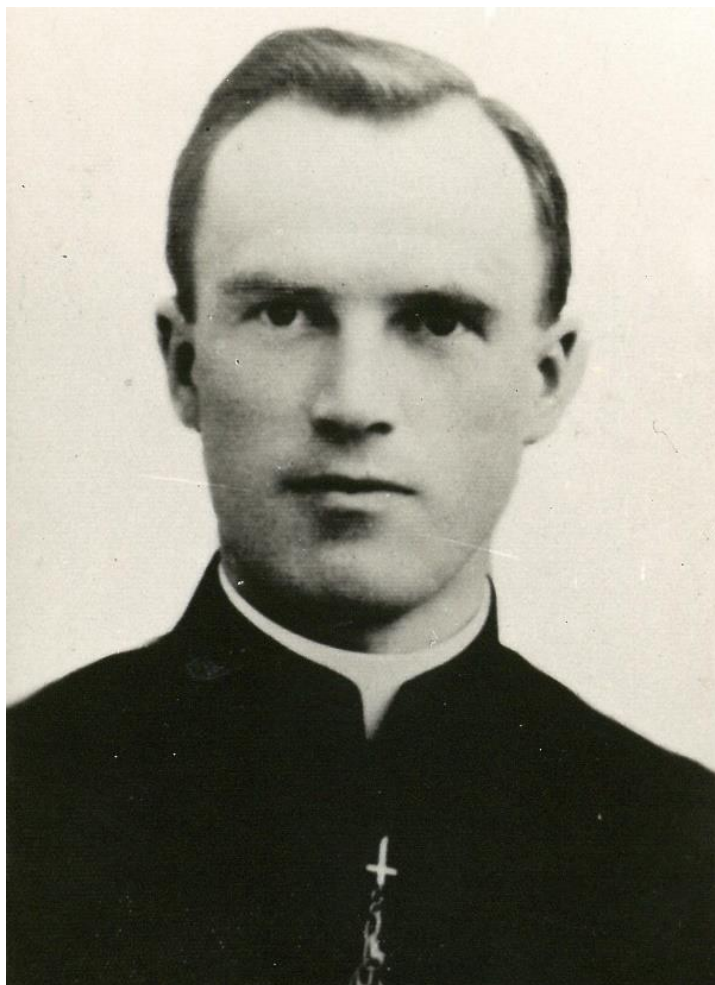
Krucjata Eucharystyczna, Żywy Różaniec, Trzeci Zakon oraz inne bractwa religijne. Oprócz codziennej pracy duszpasterskiej ksiądz Bolesław Sokół nauczał religii w szkole podstawowej oraz sprawował funkcję kapelana w Domu Poprawczym dla Nieletnich w Głazie. Tu też zastała go wraz z wiernymi tragedia pierwszych dni II wojny światowej i niemiecka okupacja. Parafia Ostrówek, jak i pozostałe parafie ówczesnego powiatu wieluńskiego, została włączona do Rzeszy i znalazła się w tzw. Kraju Warty. Cały Kraj Warty pod rządami Artura Greisera miał być wzorcowym terytorium na okupowanych terenach Polski. Także sprawy kościoła katolickiego miały tu być potraktowane „wzorcowo”. Pierwszym krokiem w tej dziedzinie było zarządzenie o zakazie odprawiania w kościołach mszy świętych w dni powszednie. Ksiądz Bolesław Sokół codzienne msze święte odprawiał potajemnie w swym mieszkaniu, którym po spaleniu plebanii w dniu 1 września 1939 roku, stała się zaadaptowana na cele mieszkalne część obory. W tych warunkach przetrwał na powierzony mu placówce do jesieni 1941 roku. W dniu 13 września 1941 roku kościół katolicki dla Polaków w Kraju Warty został pozbawiony przez okupantów osobowości prawnej. Niemcy przygotowywali frontalny, skoncentrowany atak na duchowieństwo katolickie na okupowanych terenach. W nocy z 5 na 6 października 1941 roku rozpoczęła się akcja eksterminacji polskiego duchowieństwa. Funkcjonariusze gestapo i żandarmerii uderzyli jednocześnie na wszystkie plebanie w Kraju Warty, aresztując prawie pół tysiąca księży i zakonników. Tylko nielicznym udało się zbiec w ostatniej chwili i uniknąć wywózki do obozu koncentracyjnego w Dachau, gdzie większość kapłanów została zamordowana.

Jednym z tych nielicznych, którym udało się uniknąć śmierci, był ksiądz Bolesław Sokół z Ostrówka. Cudem ocalony kapłan tak wspomina te dramatyczne chwile: „Dnia 6 października 1941 roku wstałem około godziny trzeciej w nocy żeby odprawić w mieszkaniu mszę świętą. Gdy już zapalałem świece do mszy świętej, przy mocno zaciemnionym oknie, usłyszałem furmankę i mimo woli pomyślałem; Po mnie! Nim zdążyłem wyjrzeć okienkiem, furmanka stanęła i słyszę, że ktoś z niej zeskakuje. Zanim zdążyłem zgasić świece, już słychać mocne tłuczenie do drzwi i okna oraz głos; Herr Pfarrer! Cichutko wciągam się po drągu na górę, wciągam drąg, którym po ciemku uderzyłem w krokiew, aż zadrżały pustaki. Jest! – wołają Niemcy. W tym momencie moja gospodyni przewraca stół by zatuszować uderzenie i woła; Panowie, nie mogę znaleźć zapalek, nie tłuczcie się, bo księdza nie ma! - Jest, bo było słychać! – To krowa która jest obok w chlewie tłucze rogami w ścianę! Poszli tam, zajrzeli, a krowa jakby zrozumiała, spokojnie czochra się głową o ścianę, uderzając rogami w pustaki. W kuchni pytają gdzie proboszcz. Gospodyni odpowiada, że wczoraj poszedł po południu do Sokolnik, do księdza, jeszcze nie wrócił, pewnie tam nocuje. Jak pojedziecie tam, to przez Kaski i Dąbie, gdyż tamtędy zawsze chodzi, a może będzie już wracał, to się spotkacie. – Gdzie klucz do mieszkania? – Ksiądz zawsze zabiera ze sobą, by mógł wejść kiedy zechce. – Dać klucze do kościoła! Ja słyszę całą rozmowę na górze i myślę, że będą mnie szukać w kościele, potem wejdą do mieszkania, a tam dowód osobisty i ciepła pościel, rewizja! Zjeżdżam po drągu, żeby zabrać dowód i przykryć pościel... Potem znów chcę się wspinać po drągu, ale z przejścia siły mnie całkowicie opadły, zjeżdżam jak słabe dziecko. Teraz ostatnia chwila. Natychmiastowa ucieczka lub śmierć! Westchnąłem do Boga, przeżegnałem się ostatkiem sił podskoczyłem, chwytając się desek w powale. Jak sportowiec wskoczyłem na górę, wciągając za sobą drąg, a wejście zamaskowałem lekko położonymi deskami... Niemcy wrócili z

kościół. Są już w kuchni. Ostatnie słowa żandarma; Klucze zabieramy. Kościół i mieszkanie proboszcza zapieczętowane. Za naruszenie pieczęci kara śmierci! Odjechali.”

Po odjeździe żandarmów ksiądz Bolesław Sokół wymknął się cichcem ze strychu obory i korzystając z gęstej porannej mgły dotarł szczęśliwie do domu szczególnie oddanych mu parafian; Anieli i Franciszka Cegielskich we wsi Żelazo. Ukrywając się w Żelazie nocami odprawiał msze święte i spowiadał domowników. Dłuższy pobyt księdza Sokoła w domu Cegielskich stawał się coraz bardziej niebezpieczny. Po wsi często kręcili się żandarmi jak i volksdeutsche z pobliskiego Przybyłowa. Franciszek Cegielski przewiózł księdza Sokoła do swych znajomych w Wieluniu. Stamtąd przeewieziono go do Kochlewa a następnie przez Działoszyn i Miedzno do wsi Biała, położonej tuż przy granicy z ówczesną Generalną Gubernią. Stąd nocą przeprowadzono go przez granicę do wsi Kiedrzyn, oddalonej kilka kilometrów od Częstochowy. W Częstochowie ksiądz Bolesław Sokół zgłosił się do Kurii, gdzie biskupowi Teodorowi Kubinie zdał relację o tragicznych wydarzeniach na Ziemi Wieluńskiej. Do końca wojny ukrywał się w swych rodzinnych stronach w okolicach Olkusza. Po zakończeniu II wojny światowej posługiwał w kolejnych parafiach Diecezji Częstochowskiej, z których ostatnią były Truskolasy.

Ksiądz Bolesław Sokół zmarł w 1981 roku w Częstochowie. Był jednym z tych nielicznych kapłanów Ziemi Wieluńskiej, którym Opatrzność Boża i przypadek pozwoliły uniknąć śmierci w niemieckich obozach zagłady.



Biadaszki

Byłem tu tylko gościem

Przed wielu laty na jednym ze starych cmentarzy, jakich nie brakuje w naszych okolicach, rzucił mi się w oczy zarośnięty krzewami i pochylony ze starości nagrobek z wysokim, żelaznym krzyżem. Nie było w nim nic szczególnego. Takich prastarych, opuszczonych grobów jest tu, na starych cmentarzach, co niemiara. Ten przykuł mą uwagę głównie za sprawą napisu, zatartego już prawie przez czas. Na kamiennej podstawie przekrzywionego, wysokiego krzyża umieszczone było ledwo widoczne już zdjęcie, data urodzin i śmierci pochowanej tu osoby oraz napis, który z trudem, ale dało się jeszcze odczytać. Wyszczerbione litery układały się w następującą sentencję: "Nie chełp się tu przechodniu, ni lżyj proch i kość, My w domu, a ty gość". Poczulem się co najmniej dziwnie. Treść napisu wydała mi się zrazu niedorzeczna. Jego przesłanie zrozumiałem dopiero po czasie, gdy odwiedziłem cmentarz w Biadaszkach w gminie Galewice. Cmentarz ten należy do starych, jakich wiele w naszych parafiach. Jest to raczej cmentarz, jak by można powiedzieć, bardzo młody. Powstał w kilka lat po wybudowaniu tu kaplicy filialnej parafii w Węglewicach, do której to Biadaszki należą. Po jej wybudowaniu i oddaniu do użytku w początkach lat osiemdziesiątych minionego wieku, mieszkańcy zaczęli myśleć o założeniu cmentarza. Ktoś rzucił pomysł, ktoś ofiarował działkę, ktoś inny znowu załatwił wymagane formalności. I tak wspólnym wysiłkiem udało się pod koniec lat osiemdziesiątych założyć pierwszy w dziejach tej niewielkiej miejscowości cmentarz.

Przed wiekami mieszkańcy Biadaszek chowali swych zmarłych na cmentarzu w Cieszęcinie, gdyż to właśnie parafia Cieszęcin jest niejako "matką" wszystkich parafii rozsianych po prawej stronie Proсны od Węglewic po Ostrówek. Z czasem droga zmarłych na wieczny spoczynek znacznie się skróciła i chowano ich na cmentarzu w Węglewicach. Najpierw na starym, a później na nowym. Stan ten trwał niezmiennie przez lata. Na obydwu węglewickich cmentarzach spoczęły dziesiątki pokoleń nie tylko mieszkańców Biadaszek, ale i wszystkich okolicznych miejscowości. Na miejsce wiecznego spoczynku w Biadaszkach wybrano teren nieco oddalony od centrum wsi, a położony po prawej stronie prastarego traktu prowadzącego z Biadaszek do Węglewic. Można nawet powiedzieć, że spoczywającym tam jest niejako po drodze do siedziby swej parafii, którą do dziś pozostają Węglewice. Miejsce, jakie wybrano na założenie cmentarza jest nieprzypadkowe. Już od dawna na skrzyżowaniu dwóch polnych dróg stał tu typowy przydrożny krzyż. Nie wiadomo kiedy i kto go postawił. Był tu, jak powiadają mieszkańcy, od zawsze. Jeśli jego prosta drewniana konstrukcja spróchniała czy też zgniła ze starości, zastępowano ją nową. I tak przez wieki i kolejne pokolenia. Dziś ten stary przydrożny krzyż nie jest już prastarym drewnianym symbolem wiary naszych przodków. Drewno zastąpiono cementem, co przedłuży trwałość konstrukcji lecz raz na zawsze odbierze urok i pewną tajemniczą dostojność jaka tkwi w religijnych symbolach wykonanych z prostych i naturalnych materiałów. O kilka kroków od owego krzyża zaczyna się ogrodzony żelaznym parkanem cmentarz. Dużo jeszcze na nim wolnego miejsca. Pod kilkoma kępami majestatycznych, cicho szumiących sosen stoi zaledwie kilkadziesiąt nagrobków. Można powiedzieć, że zajęta jest może dopiero czwarta część grzebalnego placu. Pośrodku placu stoi wysoki, drewniany krzyż z umieszczoną na jego podstawie figurką Matki

Boskiej, schowaną w oszklonej kapliczce. W zwykły dzień panuje tu niczym niezmacona cisza. Przerzywa ją tylko świergot ptaków w koronach drzew oraz szum wiatru w pobliskim lesie. Las jest tu blisko. Ciągący się całymi kilometrami, pełen tajemniczych zakątków, śródleśnych bagien i szuwarów poprzecinanych piaszczystymi pagórkami zaczyna się już o kilka kroków od cmentarnej bramy. Z cmentarza na przeciwną stronę otwiera się rozległa panorama pól poprzecinanych miedzami oraz kępami śródpolnych drzew i krzewów. Cicho tu i spokojnie.

Komuś, kto nie ma żadnego emocjonalnego związku z tym miejscem, nagrobki na cmentarzu w Biadaszkach jawią się jako zwykłe nagrobne pomniki z imionami, nazwiskami, datami urodzin i śmierci całkiem obcych osób. Dla mnie, urodzonego i wychowanego w tych stronach żadne z tych nazwisk nie jest anonimowe. Lepiej lub słabiej, ale znałem wszystkich tu pogrzebanych. Niektórych tu spoczywających zapamiętałem jako ludzi w podeszłym wieku, steranych pracą i zmęczonych życiem, którzy odeszli tak cicho, jak ciche i pracowite było całe ich spędzone na wsi życie. Inni znani mi dobrze odeszli w sile wieku lub w kwiecie życia. Wśród nagrobnych napisów nie brakuje mych dawno już zmarłych ciotek i wujków, stanowiących mą bliższą i dalszą rodzinę. Nie brakuje tu mogił mych przyjaciół i kolegów z czasów szkolnych. Chodząc pomiędzy nagrobkami, czytając umieszczone na nagrobnych tablicach nazwiska czuję się tak, jakbym prawie że rozmawiał z tymi, którzy tam spoczywają w cieniu szumiących sosen.

Ten połączony ze wspomnieniami milczący dialog z minionymi pokoleniami mógłby trwać w nieskończoność. Czas płynie nieubłaganie i ani się obejrzysz, a już trzeba opuścić to miejsce. Wszyscy, których przed chwilą odwiedziłem w miejscu ich wiecznego spoczynku pozostają tam, gdzie ich złożono w ostatniej drodze. Tkwią w mej pamięci, pozostając niejako "u siebie". Gdy zamykałem za sobą furtkę cmentarnej bramy, przypomniał mi się niespodziewanie ów napis umieszczony na starym nagrobku z jednego z podwieruszowskich cmentarzy. W jednej chwili zrozumiałem jego prawdziwe i jakże logiczne przesłanie. Oni zostali tu na zawsze. A ja byłem tylko gościem.



Węglewice

Brzegami Węglewskiej Strugi

Węglewska Struga jest jednym z prawobrzeżnych dopływów Prosny. Długość tej rzeki podawana jest różnie. W zależności od powziętego sposobu pomiaru i waha się od 36 do 50 kilometrów. Węglewska Struga bierze swój początek z dwóch potoków, z których jeden wypływa gdzieś z zabagnionych łąk pomiędzy Lututowem a Swobodą a drugi w okolicach Naramic.

W pobliżu miejscowości Zdzierczyzna oba potoki łączą się, dając początek ukształtowanej już rzeczce. Odtąd, zanim połączy się z wodami Prosny, Węglewska Struga płynie malowniczymi meandrami w szeroko i głęboko wyżłobionej dolinie, której dno stanowią podmokłe, porośnięte kępami olch łąki a krawędzie stromych miejscami brzegów doliny dają początek ciągnącym się po bliski tu zawsze horyzont polom uprawnym lub lasom.

Węglewska Struga zawsze odgrywała ważną rolę w życiu mieszkańców gęsto rozsianych nad jej brzegami wsi: Zdzierczyzny, Molucha, Ostrówka, Brzózek, Kazimierowa, Głazu, Pędziwiatrów, Okonia, Jeziornej czy Węglewic. Przez wieki była przede wszystkim niewyczerpanym źródłem ryb i raków, których było tu prawdziwe zatrzęsienie. Na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych minionego wieku rzeka została zatruta ściekami z mleczarni w Sokolnikach. Życie biologiczne zostało całkowicie zniszczone. Przyroda potrzebowała prawie trzydziestu lat by je odbudować. Dziś dolina rzeki zupełnie uległa panowaniu natury. Struga pełna jest ryb i raków a wzdłuż całej jej doliny królują bobry, nie widziane tu od średniowiecza.

Ze stromych zboczy rzecznej doliny co rusz wypływają źródelka i źródła krystalicznie czystej i smacznej wody, spływającej wąskimi strużkami do głównego nurtu Węglewskiej Strugi. Dawniej wystarczyło na drodze takiego źródlanego strumyczka wkopać w ziemię starą, drewnianą beczkę bez dna, by mieć praktyczną studnię, zawsze pełną wspaniałej źródlanej wody, która na dodatek nigdy nie zamarała. Spośród nieprzeliczonej ilości źródeł i źródełek największą wydajność posiadało to, które wytryskało w miejscowości Głaz. Wykorzystano to już przed wielu, wielu laty by zasilać we smaczną, zdrową i czystą wodę całą tę osadę. Dziś, gdy nastąpiła era głębinowych studni i wodociągów i owo źródło także okazało się zbyteczne, mimo że woda nadal płynie z niego jak dawniej.

Ciągnące się wzdłuż całej doliny Węglewskiej Strugi łąki zawsze wykorzystywane były na sianokosy i pastwiska. Jeszcze przed kilkudziesięciu laty roiło się tu od krów i owiec wypasanych w zakolach rzeki przez cały prawie rok. Jednak najpiękniejszy czas przychodził tu zawsze w czerwcu, wraz z pierwszymi sianokosami. Pełne ziół i kwiatów nadrzeczne łąki były już gotowe do koszenia. Położone w zakolach i meandrach rzeki wąskie i trudno dostępne działki kosić można było jedynie kosą. O użyciu jakichkolwiek maszyn nie było tu nawet mowy. Już od szarego świtu, który w czerwcowe dni zaczyna się około czwartej czy piątej nad ranem słychać było pobrząkiwanie ostrzonych kos i miarowy poszum tnących pokosy czerwcowej trawy kosiarzy. Ileż przy tym było sporów i kłótni związanych z wzajemnymi pretensjami i posądzeniami o naruszenie granic łąk. Wykoszenie sąsiadowi chociażby o pół pokosu było okazją do pretensji i głośnego udowadniania przebiegu wyznaczonej niegdys

granicy. By nie było wątpliwości co do ich przebiegu, na niektórych granicach sąsiadujących ze sobą nadrzecznych łąk ustawiano wysokie tyczki z umocowanym u góry wiechciem żółtkłej słomy, zwane wiechami. Bywało często, że łąka znajdowała się po obydwu brzegach Węglewskiej Strugi. Mosty były tu nieliczne a wysuszone siano należało jakoś przetransportować na właściwą stronę rzeki, by tam je dosuszyć i zwieźć wreszcie do stodoły. Stąd, co jakiś czas, w dogodnych do tego miejscach budowano prymitywne kładki zwane tu ławkami. Taka ławka składała się najczęściej z dwóch olchowych drągów, z których grubszy służył za kładkę a cieńszy, umieszczony nieco wyżej, spełniał rolę poręczy. Gdzie trafił się jakiś naturalny bród - wykorzystywano go do przejeżdżania konnym wozem, przepędzania bydła czy też przenoszenia podsuszonego siana. Po zebraniu pierwszego pokosu siana łąki wzdłuż Węglewskiej Strugi zapełniały się bydłem i owcami, które wypasano tu do późnej jesieni.

Nieodzownym elementem Węglewskiej Strugi były wodne młyny. Nie tylko miały zboże ale także regulowały poziom wody na całej jej długości. Dziś ostał się tylko jeden - młyn Zelnego w Węglewicach. Nawet i ten ostatni jest już dziś nieczynny. Nie wiadomo dokładnie, kiedy zaczęto wznosić młyńskie budowle nad brzegami Węglewskiej Strugi. Może już w XVI a może w XVII wieku. W każdym bądź razie, zawsze twierdzono, że stały one tu już od bardzo dawna. Najstarszy z nich, zwany Smekta, stał w Zawadach. Prawdopodobnie funkcjonował tu już w pierwszej połowie XVII wieku. Jak wynika z zachowanych dokumentów, jeszcze w 1730 roku młynarz oddawał plebanowi z Lututowa pół miary mąki pszennej rocznie tytułem tzw. mesznego. Ostatnie wzmianki o młynie Smekta w Zawadach pochodzą z 1753 roku. A same Zawady? Dziś po tej wsi, jak i po młynie, nie pozostał prawie żaden ślad. Pozostała tylko nazwa. Zawady to zwyczajowa nazwa przysiółka Brzózek na który składa się cztery czy pięć gospodarstw. W bliższych nam czasach, idąc brzegiem rzeki od źródeł wraz z jej prądem, pierwszy młyn stał w Moluchu. Ostatni, który zachował się w ludzkiej pamięci wodny młyn w tym miejscu pochodził z początków minionego stulecia. Stał jeszcze w latach pięćdziesiątych XX wieku. Dziś nie zachował się już po nim nawet najmniejszy ślad.

Kolejny młyn wodny na Węglewskiej Strudze znajdował się w Ostrówku. Ten z kolei spłonął w pierwszych dniach września 1939 roku. Nigdy nie został odbudowany. Dziś już tylko nikłe zarysy niegdyś istniejących młyńskich stawów i wystające z ziemi resztki dębowych pali przypominają o jego istnieniu. W Węglewicach, oprócz istniejącego do dziś młyna zwanego Młynem Zelnego, był jeszcze jeden, zwany Młynem Cegielki. I on spłonął w pierwszych dniach II wojny światowej.

Dziś wzdłuż całej rozległej doliny Węglewskiej Strugi panuje już tylko przyroda. Z rzadka znaleźć można skoszoną łąkę czy pasącą się gdzieś w przybrzeżnych szuwarach krowę. Ucichł turkot młyńskich kół, brzęczenie ostrzonych kos i porykiwanie bydła. Dolinę rzeki z roku na rok coraz bardziej biorą w posiadanie kępy olch i dzikiego zielska. Tylko sama Węglewska Struga ciągle i nieprzerwanie toczy swe wody ze wschodu na zachód, by wreszcie po wyminięciu Węglewic połączyć się z Prosną, która dalej niesie je do Warty, ta do Odry, by wreszcie skończyć swój bieg w falach Bałtyku.



Cieszęcin

Bohaterowie powstańczej legendy

Prastary cieszęciński cmentarz od wieków kryje mogiły niezliczonych pokoleń mieszkańców naszego regionu. Nie brak wśród nich osób zasłużonych w dziejach naszej, nie tylko tej „małej”, Ojczyzny. Do takich właśnie należy rodzina Tarczałowskich, w XIX będąca w posiadaniu części Galewic. Do dziś, w dobrym stanie zachował się jedynie nagrobek jednego z przedstawicieli tego rodu – Bolesława Tarczałowskiego (1850 – 1917). Na cieszęcińskim cmentarzu, jak wynika z zachowanych dokumentów, spoczywa także jego brat Józef Tarczałowski urodzony w roku 1844, uczestnik Powstania Styczniowego 1863 roku, oraz ich rodzice: Bolesław Tarczałowski (1818 – 1876), jego żona Balbina.

Cała rodzina Tarczałowskich w większym lub mniejszym stopniu, zaangażowana była w walkę o wolność Polski w czasie powstania 1863 roku. Pamięć o tych dramatycznych wydarzeniach zachowana w rodzinnych przekazach trwa przez wieki. Tak opowiada o powstańczych losach rodziny Tarczałowskich z Galewic praprawnuczka Bolesława Tarczałowskiego – Elżbieta Tarczałowska: „W Wigilię, 24 grudnia 1863 roku Kozacy o świcie najechali na dwór Bolesława Tarczałowskiego i spalili go, nie znajdując Bolesława Tarczałowskiego, a poszukując jego syna Józefa, który był czynnym uczestnikiem Powstania Styczniowego. Okrutnie ranili jego żonę, wypalając jej oko bagnetem rozżarzonym w ogniu kominka. Straciła przytomność, ale ktoś ją wyniósł z płomieni i uratował jej życie. Walka

przeniosła się aż pod dwór Myszkowskich i tam krwawo się skończyła. Bolesław Tarczałowski do 1863 r. mieszkał w swoim majątku i w swoim dworze w Galewicach. Po tym wydarzeniu zamieszkał w karczmie, którą dzierżawił od niego Żyd ukrywając go i jego rodzinę przed poszukiwaniem przez carskich szpiegów. Udało się. Nikt nie zdradził. Ale gdy urodził mu się syn, do dokumentów chrztu, ksiądz będący z rodziny poradził podać się za karczmarza.” W dokumentach dotyczących wsi Galewice z lat 1865 – 1874 Bolesław Tarczałowski występuje jako „karczmarz”, „propinator” i „arendator szynku”, co niejako potwierdza przytoczoną przez Elżbietę Tarczałowską rodzinną powstańczą legendę. Możliwe, że z tymi wydarzeniami związana jest także mogiła powstańców styczniowych w galewickim przypałacowym parku.

Nieznane są już dziś powstańcze losy Józefa Tarczałowskiego. Wiadomo jedynie, że po upadku powstania wyemigrował do Francji, gdzie ukończył studia na paryskiej Sorbonie, by następnie wrócić do swych rodziców, którzy po 1864 roku zamieszkiwali już nie w Galewicach ale w Cieszęcinie. Tak jak pozostali członkowie rodziny Tarczałowskich, także Józef, powstaniec styczniowy, pochowany został na cmentarzu w Cieszęcinie. Nie sposób dziś natrafić chociażby na ślad jego grobu. Pamięć o bohaterskich uczestnikach powstańczego zrywu sprzed ponad półtora wieku pozostała jedynie w nielicznych zachowanych dokumentach i przekazywanej z pokolenia na pokolenie rodzinnej powstańczej legendzie.



Teklinów

Śmierć w Charlottenburgu

W niepozornej mogile na starym cmentarzu w Środzie Wielkopolskiej spoczywa Maria Radziejewska. Prosty krzyż z białą tabliczką i kilkoma słowami: Maria Radziejewska, literatka, 1875 - 1911. Kim była ta kobieta, pochowana pod murem w oddalonej od wejścia części miejskiego cmentarza? Kto dziś interesuje się jej grobem i przedziwnymi losami tej niepospolitej dziewczyny o wyjątkowej osobowości i zagmatwanych losach? Mogiła i postać obrosły legendą a prawda znana jest tylko nielicznym.

Maria Radziejewska urodziła się w 1875 roku w Środzie Wielkopolskiej. Po śmierci ojca w 1884 roku Maria wraz z matką i dwoma braćmi przeniosła się do Poznania. Gdy miała dziesięć lat, dotychczasową domową edukację postanowiono zastąpić kształceniem dziecka na pensji dla "panienek z dobrego domu". Wybór padł na znaną wówczas w stolicy Wielkopolski pensję panny Anastazji Warnke.

Już tutaj, w zakładzie panny Anastazji zaczęły ujawniać się szczególne cechy charakteru Marii. Z pozoru spokojna, cicha i zamknięta w sobie była w rzeczywistości indywidualistką o niesamowitej wyobraźni, pełną wewnętrznych sprzeczności i wątpliwości co do swej osoby, umiejętności i zdolności. Na codzien unikała towarzystwa koleżanek. Szukała samotności, potrzebując jednocześnie miłości, przyjaźni i zrozumienia. Pensji u panny Anastazji nie było jej dane ukończyć. Niesamowitą indywidualistkę drażniła sztywna atmosfera, tresura charakterów, beznadziejność poczynań wychowawczych. Przeniosła się więc na pensję panny Danysz przy ulicy Świętego Marcina, którą, mimo niesamowitych zdolności ukończyła z niemałym trudem.

Wraz z ukończeniem nauki rozpoczął się nowy okres w jej życiu. Gnana potrzebą poszukiwania ciągle czegoś nowego Maria wyjechała w 1898 roku do Bytomia. Tu podjęła pracę w redakcji kierowanego przez jej ciotkę Ludwikę Radziejewską polskiego pisma "Katolik". Założone przez Karola Miarkę pismo miało piękne tradycje walki o polskość Górnego Śląska. Energiczna i obrotna redaktorka "Katolika" powitała swą bratanicę z otwartymi ramionami. Z miejsca powierzyła Marii obowiązki w sekretariacie wydawnictwa i redakcji czasopisma. Jednocześnie starała się wciągnąć ją do pracy społecznej przy organizowaniu odczytów, kursów i imprez mających na celu budzenie świadomości narodowej i uczuć patriotycznych mieszkających na Śląsku Polaków.

Pełnej wewnętrznych sprzeczności Marii bardzo trudno było zaaklimatyzować się w nowym środowisku. Niezwykle inteligentna, tworząc swój własny, wewnętrzny świat pragnęła ciepła i zrozumienia, uciekając jednocześnie od życzliwych spojrzeń i gestów. Szukając samotności sprawiała wrażenie osoby nieprzystępnej i wyniosłej. Przez cały czas towarzyszył jej lęk i tęsknota za najbliższymi a zwłaszcza za braćmi.

Wreszcie nadarzyła się okazja odwiedzenia rodzinnych stron. Latem 1899 roku zamożny ziemianin wielkopolski - Józef Kościelski zdobył się na niezwykle pomysł. W parku swego majątku w Miłosławiu postanowił wzniesć pomnik Juliusza Słowackiego. Pierwszy pomnik wielkiego polskiego romantyka w Wielkopolsce. Jakiegoż trzeba było patriotyzmu,

umiłowania poezji, polskości i odwagi wreszcie, by zdobyć się na coś takiego w szczytowym okresie naporu germanizacji w Wielkim Księstwie Poznańskim!

Józef Kościelski na uroczystość odsłonięcia pomnika zaprosił czołowych przedstawicieli ówczesnej polskiej kultury artystycznej ze wszystkich trzech zaborów. Honorowym gościem w Miłosławiu był Henryk Sienkiewicz. To jemu przypadł zaszczyt wygłoszenia mowy ku czci wielkiego wieszca i dokonania aktu odsłonięcia pomnika.

Maria Radziejewska przybyła tu w roli skromnego korespondenta bytomskiego "Katolika". W miłosławskim parku, pod pomnikiem Słowackiego doszło do pierwszego spotkania i wzajemnego poznania się Marii z Henrykiem Sienkiewiczem. Spotkania, które miało zadecydować o całym jej dalszym życiu.

Henryk Sienkiewicz nie ukrywał wrażenia, jakie zrobiła na nim piękna Wielkopolanka. Maria była zafascynowana postacią słynnego polskiego pisarza. Z miejsca obudził się jednak w jej umyśle ogromny niepokój. "Taki wielki człowiek traktuje prawdopodobnie wszystko bardzo poważnie. Kobieta, którą wybierze powinna posiadać wyjątkowe walory". Czy temu podoła? Czy go nie zawiedzie? Targana sprzecznymi uczuciami Maria natychmiast wyjechała z Miłosławia.

Początkowo mocno zawiedziony jej nagłym zniknięciem Sienkiewicz po kilku tygodniach odnalazł jej bytomski adres. Posłał jej swoje książki i list. Przyjazna i szczerą treść listu wprawiła ją w przerażenie. Słowa pisarza przypisywały jej cechy, których w żaden sposób nie potrafiła u siebie znaleźć. Przekonana, że nie sprosta wymaganiom wyjechała do Francji, gdzie na jakiś czas zamieszkała w klasztorze sióstr urszulanek w Beaugency. Stąd po pewnym czasie odważyła się napisać krótki list do Sienkiewicza. Odpowiedź pisarza była grzeczna w tonie, choć lakoniczna. Maria zaczęła uważać to za całkowitą uczuciową klęskę. Załamana, wyjechała do Chicago do swego stryja. Spośród licznej amerykańskiej polonii zaprzyjaźniła się z synową Heleny Modrzejewskiej. Przez jakiś czas opiekowała się jej dziećmi.

W 1902 roku powróciła do Polski by na powrót podjąć pracę w redakcji bytomskiego "Katolika". Wznowila korespondencję z Henrykiem Sienkiewiczem. W 1903 doszło do jej kolejnego po miłosławskim spotkaniu z wielkim pisarzem. Obydwoje wiele sobie po tym spotkaniu obiecywali. Po rozmowie z Marią Radziejewską Sienkiewicz zanotował w swym pamiętniku: "Jest to osoba bardzo nerwowa, która niezupełnie wie, czego chce".

Od ich pierwszego spotkania w Miłosławiu stan ducha Marii znacznie się pogorszył. Dzisiejsza medycyna stan ten określa nazwą depresji. Zaburzenia nastroju, ciągłe uczucie smutku, bezsenność, niczym nie uzasadniony niepokój. To wszystko z dnia na dzień pogarszało stan psychiczny tej wyjątkowo wrażliwej dziewczyny.

Po ślubie Sienkiewicza z Marią Babską w 1904 roku Maria Radziejewska definitywnie rozstała się z redakcją "Katolika". Podróżowała, miotając się pomiędzy Wiedniem, Berlinem a Paryżem, nigdzie nie mogąc znaleźć dla siebie miejsca. Systematycznie pisała pamiętnik, który jest klinicznym zapisem stanu jej duszy. Na jego okładce umieściła napis: "W razie mojej śmierci, nie czytając odesłać Sienkiewiczowi". Sporadycznie korespondowała jeszcze z pisarzem.

Jedyną osobą u której znajdowała zrozumienie był jej mieszkający w pod wieruszowskim Teklinowie brat Stefan. Maria wielokrotnie powracała do Teklinowa pomiędzy swymi podróżami i pobytami w kolejnych miastach Europy. Jej podróże miały wszelkie znamiona ucieczki przed czymś, czego w istocie już nie było, co już nie istniało i nie miało nawet szans zaistnieć. W swym pamiętniku pisała, między innymi: "Kocham go mocą przeznaczenia. Strata boli, a niczym rozsądnym nieuzasadniona nadzieja jest takim stanem naprężenia duchowego, że wprost do obłądu prowadzi. Życie nie warte tyle kłopotu, tyle obrzydzenia a nawet pogardy, niczego nie warte."

W marcu 1911 roku Maria po raz ostatni przyjechała do Teklinowa. Spędziła tu wiosnę i lato. Stan jej ducha z pozoru uległ poprawie. Jednak jesienią, mimo gorących próśb brata, by pozostała na dłużej, wyjechała do Berlina. W listopadzie tego samego roku do zaprzyjaźnionego z rodziną Marii poznańskiego lekarza przyszła z Berlina depesza: "Proszę natychmiast przyjechać. Maria jest umierająca". Po przybyciu lekarza Maria prosiła go przede wszystkim o przekazanie wszystkich jej rzeczy i dokumentów bratu w Teklinowie. Po kilku godzinach zmarła. Zdaniem lekarza przyczyną śmierci było zakażenie krwi. Policja kryminalna berlińskiej dzielnicy Charlottenburg określiła ją w wydanym akcie zgonu jako śmierć samobójczą. Zgodnie z ostatnią wolą Marii pochowano ją na cmentarzu w rodzinnej Środzie Wielkopolskiej obok grobów jej rodziców.



Gąszcze

Toborek

Ktokolwiek chciałby szukać miejsca o nazwie Toborek, na pewno łatwo go nie znajdzie. Czym jest i gdzie znajduje się Toborek wiedzą już dziś tylko nieliczni. Toborek to po prostu niewielkie uroczysko pośród pól i łąk, gdzieś na północno – zachodnich krańcach wieruszowskiego powiatu. Niegdyś, przed wieloma laty, może jeszcze przed pierwszą wojną światową, lub jeszcze dawniej, w Toborku wydobywano torf. Dzięki temu powstało tu sporych rozmiarów wyrobisko, które z czasem napełniło się wodą, zarosło tatarakiem, wodnymi liliami i trzciną a na jego brzegach zapuściły korzenie i rozrosły się olszyny i wierzby. Z czasem, obok istniejącego już sporego, jeziora wykopano dwa stawy, które z założenia miały służyć do hodowli karpia. Jak tylko sięgnę pamięcią, gospodarka rybacka nikomu nigdy nie przyniosła tu żadnego dochodu. Co zarybiono któryś ze stawów świeżym narybkiem, to zanim karpie zdążyły osiągnąć stosowną do połowu wagę, już zostały co do jednego prawie wyłowione na wędkę i na szereg innych wymyślnych sposobów przez okolicznych wędkarzy amatorów.

Celowano w tym zwłaszcza młodzież z okolicznych wsi. Proceder ten, który dziś nazwano by kłusownictwem, uprawiany był przez całe lata, może nawet nie z chęci zysku czy potrzeby złowienia świeżej ryby na obiad czy kolację, ale dla swoistego hazardu i co tu ukrywać – przyjemności oraz zabicia wolnego czasu. Tak więc kolejni dzierżawcy rybnych stawów w Toborku zmieniali się jak w kalejdoskopie, wytrwawszy tu co najwyżej jeden sezon.

Mniejszy z rybnych stawów z czasem zamienił się w letnie kąpielisko, oblegane przez amatorów pływania i pluskania się w wodzie w upalne, letnie dni. Na tym zaimprovizowanym kąpielisku panowała swoista hierarchia. Dorośli i starsza młodzież korzystali do woli z wodnych i słonecznych kąpiei, zalegając w co lepszych miejscach na otaczającej to niewielkie jezioro łące. Młodszy i dzieci mogli jedynie brodzić przy brzegu na najpłytszej w tym miejscu wodzie i przysiąść gdzieś, byle jak najdalej od brzegu tego wiejskiego kąpieliska. Wyłamanie się z panujących niepisanych zasad kończyło w najlepszym przypadku awanturą a często wrzuceniem niesfornego delikwenta na najgłębszą wodę z wysokiego brzegu stawu. Jeśli wrzucony na głębiny nie umiał pływać, nałykał się najpierw mętnej wody, nakrzyczał, nawymachiwał rękami, nie czując pod nogami gruntu, aż nie wyciągnęli go stamtąd ci, którym woda w całym stawie sięgała ledwo do piersi, czyli najstarsi.

Po takiej nauczce niesforny i zawadzający gówniarz już wiedział, gdzie jego miejsce i jakie zasady obowiązują nad Toborkiem podczas korzystania z wodnych i słonecznych kąpiei.

Gdy byłem jeszcze małym chłopcem, dzieckiem prawie, postanowiłem nauczyć się pływać. O możliwości spokojnej nauki pływania w Toborku nie mogłem nawet pomarzyć. Do nauki pływania wybrałem więc nasz przydomowy staw w którym na co dzień pływały kaczkę i gęsi. Woda miała tu kolor smoły i zawiesistość równą ciechocińskiej solance. Mimo tych niedogodności po kilku dniach prób i błędów jako tako opanowałem sztukę utrzymywania się na powierzchni. To zachęciło mnie do prób nurkowania, po których cała rodzina musiała mnie szorować i po wielokroć opłukiwać, by moje ciało przybrało normalny kolor po tych podwodnych penetracjach w towarzystwie kąpiącego się tu w najlepsze domowego ptactwa.

Po pewnym czasie ośmieliłem się do tego stopnia, że któregoś lipcowego czy sierpniowego dnia udałem się nad brzeg Toborka, wyjątkowo w tym dniu obleżonego przez amatorów kąpielii z bliższej i dalszej okolicy. Rozwaliłem się na trawie jak najbliżej brzegu wśród opalających się i kurzących papierosy młodzieńców. Wówczas mieli oni wszyscy po około dwadzieścia lat i w pełni korzystali z praw młodości. Dziś, po prawie pięćdziesięciu latach jakie minęły od tamtego dnia, są oni już statecznymi ojcami rodzin, dziadkami, niektórzy znanymi właścicielami firm i zakładów w naszej okolicy i gdzie indziej.

Wówczas jednak byli to, jak powiedział Hłasko; „piękni dwudziestoletni”, którzy z góry patrzyli na pętającego się nad brzegami Toborka dzieciaka, zakłócającego im wypoczynek i podsłuchującego tematy „dorosłych” rozmów. Postanowili nauczyć mnie moresu.

- Do wody go! – wykrzyknął jeden.

Inni z aprobatą przyjęli rzucone hasło. Wystraszony, w pierwszej chwili zerwałem się z miejsca i co sił w nogach zacząłem uciekać w kierunku nieodległych zabudowań. Ale gdzie mi tam było do nich! Już po kilkunastu krokach zostałem dopadnięty, obezwładniony i z rozmachem wrzucony w odmęty kąpieliska. Zrazu poszedłem na samo dno. Po chwili jednak woda sama wyniosła mnie na powierzchnię. Z pewnym zdziwieniem stwierdziłem, że na głębokiej wodzie pływa się o wiele łatwiej i swobodniej. Spokojnie więc skierowałem w stronę brzegu kąpieliska, bez najmniejszego wysiłku utrzymując się na powierzchni. Moi prześladowcy z zainteresowaniem obserwowali me poczynania z wysokiej skarpy stawu.

Do dziś widzę ich zawiedzione i zdziwione miny. Nie udało im się mnie nastraszyć. Nie topiłem się i nie wzywałem pomocy, lecz spokojnie płynąłem do brzegu stawu. Zawiedzeni odwrócili się na pięcie i wrócili na swe dawne miejsca by dalej oddawać się paleniu papierosów i leniwym rozmowom oraz opałać się w ciepłych promieniach letniego słońca.

Moja osoba w jednej chwili przestała ich interesować. Od tej pory mogłem już przychodzić nad Toborek kiedy tylko chciałem, kapać się do woli i leżeć nad brzegiem tam, gdzie mi się tylko podobało.

Z czasem kąpielisko w Toborku straciło na popularności. Nikt już nie przychodził tu w upalne letnie dni, by ochłodzić się w mętnej nieco, ale zawsze chłodnej wodzie. Gdy dziś, po latach, zachodzę nad brzeg uroczyska, wydaje mi się ono o wiele mniejsze, niż to zapamiętane z dzieciństwa. Otaczające cały Toborek krzaki i drzewa są jakby wyższe, trzciny i tataraki bardziej gęste a lustro wody o wiele mniejsze, niż przed laty. Na wodnej tafli największego jeziora pojawiły się kępy białe – żółtych nenufarów, których, mogę przysiąc, nie było tu jeszcze w latach mojego beztróskiego dzieciństwa. Jedyne zawsze obecny tu świat wodnego ptactwa nie zmienił się prawie wcale. Gdzieś w przybrzeżnych szuwarach od czasu do czasu zatrzepocze czy zaskrzeczy dzika kaczka a po spokojnej toni toborkowego jeziora płyną jak dawniej łyski; lśniące – czarne wodne ptaki, kiwające rytmicznie pokrytymi białymi piórkami główkami, jakby na potwierdzenie tego, że wracają tu każdego roku i nigdzie nie zamierzają się stąd wynosić. Zdają się mówić, że w Toborku, mimo zachodzących zmian, będzie im zawsze najlepiej.



Czastary

Trzy razy do Czastar

Mało kto już dziś zdaje sobie sprawę z tego, że Czastary jeszcze do niedawna były słynnym w całej Ziemi Wieluńskiej, i nie tylko, miejscem pielgrzymkowym, niemal dorównującym jasnogórskiemu sanktuarium. Czastary i czastarska parafia to miejsca prastare. Badający przeszłość, doszukują się ich początków aż w XIV wieku. Przez te ponad sześćset lat działo się tu wiele. Kolejne świątynie padały pastwą pożaru a ludność ofiarą morowego powietrza. Czastary z dawien dawna były wsią królewską. W 1754 roku, staraniem Aleksandra Sułkowskiego powstał tu drewniany kościół, w którym było pięć ołtarzy. W jednym z nich, umieszczonym w południowej kaplicy świątyni, znajdował się obraz Narodzenia Najświętszej Marii Panny, już wówczas uważany za słynący łaskami.

Na doroczny odpust, przypadający na dzień 8 września, przybywały tu tłumy wiernych z bliższej i dalszej okolicy. Docierały tu nawet pielgrzymki ze śląskich parafii okolic Byczyny i Kluczborka. Gdy w dwa lata po pożarze czastarskiego kościoła, w 1847 roku wzniesiono nową, murowaną świątynię, ruch pielgrzymkowy jeszcze bardziej przybrał na sile. Dziewiętnastowieczne pielgrzymki wiernych z Ziemi Wieluńskiej tak opisuje w 1857 roku ówczesny badacz folkloru Ferdynand Nowakowski; „Kompanie takie pątników zbierają się w grupy towarzystw po kilkadziesiąt ludzi liczące. Mężczyźni i kobiety z zawiniątkami i tłumokami na plecach, obejmującymi wiktuały i potrzebną odzież i różańcem w rękę, postępują zwolna pod przewodem obranego starszego, który dba także o wygodę i noclegi w drodze. Każda z takich kompanii, zawsze jedną parafię stanowiących, idzie ze światłem i chorągwiami,

ma między sobą albo księdza, albo najczęściej jednego czytającego książki i zaczynającego pieśń”.

Ruch pątniczy jest do dziś najbardziej wyrazistym przejawem wiary. Bliskość najświętszego sanktuarium maryjnego w Polsce – częstochowskiej Jasnej Góry jeszcze bardziej przyczyniała się do wzrostu pobożności i religijnej żarliwości na Ziemi Wieluńskiej. Tak opisuje te czasy J. Grajnert w „Zbiorze wiadomości do antropologii krajowej” w drugiej połowie XIX wieku; „Gorliwość w okazywaniu najwyższej czci Bogu i Świętym, nie ma tu często hamulca ni miary. A żywioł ten podtrzymują w wysokim stopniu coroczne, liczne pielgrzymki ludu ze wszystkich zakątków kraju spieszącego do Częstochowy, z wzmagającą się u pątników dewocją w miarę zbliżania się ich ku Jasnej Górze. Więc przykład ten silnie działa na lud miejscowy i okoliczny, przez co lud z okolic Wielunia szczerą i gorącą odznacza się pobożnością”. Pielgrzymki do Czastar stały się tak popularne i liczne, że w 1903 roku ksiądz Apolinary Kukowski zakupił nowy obraz Matki Bożej Częstochowskiej, będący kopią częstochowskiego wizerunku Czarnej Madonny i umieścił go w głównym ołtarzu. Liczne pielgrzymki przybywały tu z całej okolicy przez cały okres międzywojenny. Po zakończeniu wojny i okupacji przeprowadzono konserwację nadwątłego czasem wizerunku Częstochowskiej Maryi a pątnicy na powrót zagościli w Czastarach. Jednak od 1953 roku władze Polski Ludowej i miejscowi działacze partyjni podjęli działania mające na celu najpierw utrudnianie a w następnej kolejności likwidację tradycji corocznych pielgrzymek do czastarskiego wizerunku NMP. Działania komunistów w tym przypadku okazały się skuteczne. Masowy ruch pielgrzymkowy zaniknął tu w bardzo krótkim czasie i do dziś nie odrodził w swej dawnej skali. O znaczeniu czastarskiego sanktuarium może jedynie świadczyć powiedzenie starszych osób, pamiętających tamte czasy, mówiące, że „kto trzy razy z rzędu uda się z pielgrzymką do Czastar, to tak, jakby raz do Częstochowy”.



Pięciokrotne morderstwo na plebanii

Parafia Galewice jest jedną z najmłodszych w naszym regionie. Jej początki przypadają na rok 1934, kiedy to w budynku miejscowej remizy strażackiej urządzono prowizoryczną kaplicę. W dniu 19 sierpnia 1934 roku odprawiono tu pierwszą mszę świętą i dokonano poświęcenia kaplicy z przeznaczeniem jej na miejsce kultu religijnego. Aktu poświęcenia dokonał ówczesny proboszcz macierzystej parafii Cieszęcin, ks. Hipolit Zieliński. Kaplica w Galewicach jeszcze przez kolejne trzy lata pozostawała ekspozyturą parafii cieszęcińskiej, aż do stycznia 1938 roku, kiedy to Galewice stały się samodzielną parafią. Pierwszym jej proboszczem był ks. Boguchwał Tuora (1902 – 1950). Gdy w 1935 roku rozpoczął posługę w galewickiej kaplicy, a później parafii, nikt nie przypuszczał, że jego dalsze życie i praca duszpasterska zostaną naznaczone ogromną tragedią i że przyjdzie mu zginąć nie z ręki okupantów, lecz zostanie zamordowany przez Polaków.

Ksiądz Boguchwał Tuora urodził się w 1902 roku w Częstochowie. W 1927 roku ukończył studia w kieleckim Seminarium Duchownym i otrzymał święcenia kapłańskie. Po krótkim okresie posługi jako wikariusz w wieluńskich parafiach, podjął studia uzupełniające na wydziale filozofii Uniwersytetu w belgijskiej Brukseli, które ukończył w 1932 roku. W 1935 roku został mianowany kuratorem galewickiej filii parafii w Cieszęcinie, a następnie proboszczem nowo utworzonej parafii w Galewicach. Był pierwszym samodzielnym proboszczem w jej dziejach. Za czasów jego administrowania utworzono w Galewicach cmentarz grzebalny. W Galewicach zastał go wybuch II Wojny Światowej. Kilkakrotnie był aresztowany, przesłuchiwany i przetrzymywany przez niemiecką żandarmerię. Ostrzegany o mającej nastąpić akcji eksterminacyjnej księży katolickich w tej części okupowanej Polski, która weszła w skład tzw. Kraju Warty, latem 1941 roku opuścił Galewice i początkowo ukrywał się we wsi Okoń nad Strugą Węglewską. Zadenuncjowany, cudem uniknął aresztowania przez poszukujących go gestapowców. Do końca wojny nadal ukrywał się w różnych miejscowościach w okolicach Wielunia i Częstochowy. Prawie natychmiast po wyzwoleniu powierzono mu administrowanie parafią w Poczesnej koło Zawiercia. Jako gospodarz tamtejszej parafii w szybkim czasie wyremontował zniszczony na skutek działań wojennych kościół oraz odbudował spaloną plebanię. Ksiądz Boguchwał Tuora był kapłanem zaangażowanym nie tylko w rozwój życia katolickiego parafii, ale także bardzo wrażliwym na sprawy społeczne. W swych kazaniach i wystąpieniach nierzadko krytykował nowe, komunistyczne porządki. Od samego początku powojennej Polski stał się wrogiem „władzy ludowej”. Wielokrotnie był szykanowany i przesłuchiwany przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa. Na plebanii w Poczesnej często przeprowadzano rewizje i przeszukania, podczas których ginęły co wartościowsze przedmioty, a przede wszystkim przeznaczone na potrzeby parafii pieniądze pochodzące ze składek i ofiar wiernych. Takie działania miały na celu zdyskredytowanie osoby księdza w oczach mieszkańców parafii.

W 1950 roku, w tygodniu przed Niedzielą Palmową, ksiądz Tuora zorganizował w parafii Poczesna pierwsze po wojnie misje święte. Zaproszeni księża misjonarze objeżdżali okoliczne wsie, spowiadając, odprawiając nabożeństwa i wygłaszając nauki misyjne. W misyjnych wydarzeniach wzięło udział kilka tysięcy wiernych. W Niedzielę Palmową misjonarze i księża spowiednicy zostali zaproszeni do plebanii w Poczesnej na obiad. Już

wcześniej ostrzegany o planowanej przez komunistyczne władze „eliminacji”, ksiądz Tuora poprosił wszystkich przybyłych kapłanów by po obiedzie natychmiast opuścili teren parafii i wrócili do swych domów. Wieczorem na plebanii zostało już tylko pięć osób. Oprócz księdza Tuory nocowali tam; gospodyni Władysława Szczepańska, kucharka Zofia Zielińska, Józef Dzieża i Władysław Lompa. Mieszkańcy plebanii, wobec gęstniejącej atmosfery grózb i ostrzeżeń liczyli na to, że pozostając na noc w budynku zapewnią księdzu większe bezpieczeństwo. Wszystkich pięcioro napadnięto i uduszono za pomocą konopnego sznura w nocy z 2 na 3 kwietnia 1950 roku. Miejscowa ludność plotkowała, że tych brutalnych zabójstw dokonało kilku mieszkańców wsi, którzy „nie zgadzali się światopoglądowo z naukami kościoła i byli pod wpływem ówczesnej władzy”.

W wyniku przeprowadzonego przez ówczesny Urząd Bezpieczeństwa śledztwa i procesu, całą zbrodnię przypisano jednemu człowiekowi o nazwisku Omasta. Wydaje się jednak zupełnie nieprawdopodobne, by jedna osoba była w stanie dokonać tak potwornej zbrodni, pozbawiając życia pięć osób przebywających w tym samym domu, dusząc je po kolei. Tożsamość prawdziwych sprawców, jak i ich motywy pozostają do dziś nieznanne.



Bocian

Drugie życie Pelagii Chrupały¹

Pelagię poznałem dopiero w jej drugim życiu. O tym pierwszym nigdy nie wspominała. Jakie ono było, dowiadywałem się jedynie z przypadkowo zasłyszanych od innych osób rzadkich uwag, wspomnień a najczęściej domysłów. Tego pierwszego życia nikt w naszej wsi samej Pelagii też nigdy nie przypominał, a tym bardziej nie wypominał. Było jedynie coś nieuchwytnego, nieokreślonego, jakby niejasnego do końca w stosunku pozostałych mieszkańców do jej osoby. Ten szczególny, duchowy nastrój, cechujący relacje pomiędzy Pelagią a resztą wsi nazwać by można „serdecznym dystansem”. Coś, co zatrzymało się na pograniczu miłości i obojętności. A wszelkiego rodzaju pogranicza zawsze niezmiernie mnie interesowały! Pelagia była wzrostu mniej niż średniego, o szczupłych ramionach i wyrazistych biodrach. Twarzy owalnej o wyraźnie zaznaczonych kościach policzkowych i cerze nieco ciemniejszej, jakby miedzianej karnacji. Jak prawie każdy mieszkaniec naszej wsi, Pelagia miała też nadane przez społeczność przezwisko, a raczej przydomek. Tymi przydomkami, swoistymi pseudonimami, nigdy jednak nie zwracano się bezpośrednio do osoby nim obdarowanej. To byłby szczyt nietaktu! Nadanie przezwiska czy przydomku nie wynikało ze złośliwości czy niechęci. Było bardziej znakiem rozpoznawczym. Swoistą inicjacją społeczną. Symbolem przynależności do grupy. Przynależności do miejscowej wiejskiej społeczności, często zamkniętej, hermetycznej, pełnej zawiłych wzajemnych powiązań i zależności. W pewnym sensie było to także nobilitujące. Jak herb na tarczy „dobrze urodzonych”. To „nasz” człowiek! Wiemy, że nazywa się tak a nie inaczej, ale nadaliśmy mu to przezwisko, bo jest stąd a rodzinę jego znamy od pokoleń! Nikt z sąsiedniej wioski w zasadzie nie miał nawet prawa znać tego „drugiego imienia”. To integrowało i zespalało grupy, rodzinne klany, krąg współmieszkańców. Pelagia, w odróżnieniu od pozostałych mieszkańców naszej wsi, tych przydomków miała aż kilka. „Pela”, „Peliak” i to najczęściej używane – „Maryś”. Dlaczego Maryś? Wydawało się najbardziej neutralne i odpowiednie dla Pelagii. Bo gdy ją poznałem, nie była już tą dawną Pelagią Chrupałą z jej pierwszego życia, lecz Marianem Łuczyńskim. Marian mieszkał w Bocianie. Często odwiedzałem go w jego niewielkim domku, w którym przed i powojenna bieda wyczierała z każdego kąta. Drewniany, pokryty słomianym dachem dom Mariana miał formę zbliżoną do kwadratu. Wewnątrz przedzielony był mniej więcej w jednej trzeciej, co tworzyło najpierw wydłużony korytarz o podłodze z ubitej gliny, z którego drzwi prowadziły do jedynego pokoju w tym domostwie. Pokoju umeblowanego nad wyraz skromnie. Stało tam łóżko, kanapa dla gości, ubraniowa szafa, kilkusufladowa stara komoda, stół i kilka krzeseł. Gdy jeszcze żyła matka Mariana, on sam sypiał na kanapie. W jedynym w tym domu łóżku ta już zniedołężniała staruszka spędziła ładnych kilka ostatnich lat swego życia. Rodzice Mariana byli rolnikami. Całe lata zmagali się z piaszczystą ziemią tych okolic. Jedyne, co ich wyróżniało, to to, że do prac polowych używali nie konia, lecz jedyne w naszych okolicach muła o wdzięcznym imieniu „Unra”. Marian miał dużo rodzeństwa. Możliwe, że było ich nawet dziesięcioro. Wszyscy albo pomarli młodo, albo rozjechali się po całej Polsce. Sam przyszedł na świat tuż przed wojną. Dużo opowiadał. Zwłaszcza o ciężkiej pracy w powojennych PGR – ach i wielu życzliwych mu ludziach, których tam spotkał. Nigdy na nic się nie skarżył. Nie

¹ Tak pierwsze jak i drugie, prawdziwe nazwiska Pelagii zostały przez mnie zmienione z oczywistych względów. Ufam, że zrozumiałych dla czytelnika.

narzekał. Prawdopodobnie w tym którymś z dolnośląskich PGR – ów los zetknął go z Marianem Łuczyńskim, którego poślubił jeszcze jako Pelagia Chrupała. Fizyczna i psychiczna płć Pelagii w jej pierwszym życiu była trudna do zdefiniowania. Dziś ten stan psychofizyczny określany jest przez nauki medyczne mianem „obojnactwa”. Małżeńskie życie okazało się niemożliwe do zaakceptowania przez obydwie strony. Mąż Pelagii rychło wyjechał i zatrudnił się jako górnik w jednej z górnośląskich kopalń, gdzie niebawem zginął tragicznie w górniczej katastrofie. W początkach lat sześćdziesiątych minionego wieku, już wtedy wdowa; Pelagia Łuczyńska, poddała się jednej z pierwszych w powojennej Polsce operacji nie tyle zmiany, co korekty płci. Pierwszą taką operację przeprowadzono w Polsce już w 1937 roku. Poddała się jej słynna, utalentowana lekkoatletka i cyklistka Zofia Smętkówna (1910 – 1983), która stała się Witoldem Smętkiem. Nasza medycyna sześćdziesiąt lat temu, po wojennym zastoju, dopiero eksperymentowała w tym zakresie. W metryce urodzenia Pelagii zmieniono na jej życzenie dotychczasowe imię, na imię jej nieżyjącego już męża – Mariana. Nowe nazwisko wzięła także „po mężu”. Ta skomplikowana na owe czasy operacja wymagała również długotrwałej kuracji hormonalnej.

Zapewne na skutek nieudatnie zastosowanych specyfików hormonalnego pochodzenia, Marian z roku na rok tracił wzrok. W końcu stał się zupełnie niewidomy. Skazany na opiekę powołanych do takich celów instytucji i doraźną pomoc życzliwych mu osób. W drugiej połowie lat osiemdziesiątych XX wieku znacznie podupadł na zdrowiu. Zmarł w szpitalu w Ostrzeszowie. Pochowano go bez rozgłosu i udziału najbliższych na tamtejszym cmentarzu. Jedynie dom w którym mieszkał Maryś, po jego śmierci zamknięty na cztery spusty, stoi do dziś na swoim dawnym miejscu.



Walichnowy

Klasycyzm i śmieć w płomieniach

Prześledzenie bogatych w wydarzenia dziejów wsi Walichnowy byłoby sporym wyzwaniem dla zawodowych historyków, archeologów, genealogów czy specjalistów z dziedziny historii gospodarki i przemysłu. Wieś ma starą, bo jeszcze średniowieczną metrykę i z całą pewnością istniała już w XIV wieku. Przez wieki jej kolejni właściciele, dziedzice i gospodarze zmieniali się jeden po drugim. Na początku należała do możnego i słynnego wówczas, wywodzącego się ze Śląska rodu Wieruszów. Ród ten pod względem znaczenia i bogactwa dorównywał tak słynnym arystokratycznym dolnośląskim familiom jak późniejsi Szaffgotschowie czy Zedlitzowie z nieodłącznym „von” przed nazwiskiem, właściciele ogromnych fortun i budownicowie niezliczonych zamków i pałaców, rozsianych gęsto po całym Dolnym Śląsku od Prosnicy aż po Odrę. W rękach rodu Wieruszów i ich potomków Walichnowy pozostawały do początków XVIII wieku. Po nich gospodarowały tu rodziny Załuskowskich i Myszkowskich. Po Myszkowskich kolejnymi właścicielami Walichnow został wywodzący się z Wielkopolski ród Nieszkowskich herbu Kościeszka. Wielkopolscy arystokraci mierzyli wysoko! Od samego początku postanowili z Walichnow uczynić swe rodowe gniazdo na miarę posiadanej fortuny i społecznej pozycji. To za ich przyczyną powstał tu stojący do dziś pałac, będący w swych czasach prawdziwie wielkopańską rezydencją, mającą podkreślać znaczenie i zamożność rodu. Zbudował go w latach 1843 – 1844 August Nieszkowski w modnym podówczas stylu klasycystycznym. Walichnowski pałac jest wprost podręcznikowym przykładem tego stylu w postaci „czystej”. Dwukondygnacyjny, na planie foremnej prostokąta z wysokim portykiem na fasadzie frontowej, wsparty na czterech jońskich kolumnach. Wszystko to w otoczeniu ponad dziewięćhektarowego parku na który składają się dęby, jesiony, topole i klony. Pałac w Walichnowach nieco przypomina zbudowany o wiele później pałac w Lututowie, lecz ten ostatni jest już widocznym „stylów pomieszaniem” przez dodanie na rogach alkierzy; elementów charakterystycznych dla osiemnastowiecznych szlacheckich dworów. Wystarczy porównać go z dworem w podwieluńskim Ożarowie. Pierwsza połowa XIX wieku to czas szczególnej świetności rodu Nieszkowskich. O znaczeniu, a może bardziej ambicjach rodziny świadczyć może chociażby to, że w 1851 roku kolejny pan na Walichnowach; Edmund Nieszkowski pojął za żonkę hrabinę Melanię Potworowską herbu Dębno. Ziemianin z Walichnow wkroczył na hrabiowskie salony! Wszystko to skończyło się zaledwie po kilku latach, z chwilą śmierci Edmunda Nieszkowskiego. Owdowiała hrabina porzuciła Walichnowy i zabrawszy dzieci, wyjechała do swych rodziców. W pałacu zamieszkał nowy właściciel majątku; Józef Rubach. W odróżnieniu od swych poprzedników, nie był typem arystokraty, zabiegającym o uznanie na ziemiańskich salonach. Za to przyczynił się znacznie do rozwoju gospodarczego Walichnow i sąsiednich miejscowości. To za jego czasów powstała tu cegielnia. Z jego inicjatywy i jego kosztem wybudowano obecny kościół. Jak donosiła prasa z tamtych lat; „w 1843 roku spłonął drewniany kościółek w Walichnowach. Przez kilkanaście lat okoliczni mieszkańcy byli pozbawieni świątyni. W 1867 roku parafianie zbudowali małą kaplicę, ale ta ani liczbą pobożnych, ani wymaganiami wszelkich obrzędów kościelnych sprostać nie mogła, a brak parafialnego kościoła coraz więcej odczuwać się dawał. 11 stycznia 1877 roku poświęcono nowy kościół. W jego budowie duże zasługi miał Józef Rubach, który wszystką cegłę potrzebną do wzniesienia obszernych murów kościelnych, bramy i dzwonnicy

podarował, jak też kopuły do ozdoby dachu zakupił i zadeklarował się dobrowolnie dać cegłę, drzewo i pokrycie dachu na nową, murowaną plebanię”. Józef Rubach gospodarował w Walichnowach prawie do końca XIX wieku. W tym czasie Walichnow nie omijały tragedie i żywiołowe klęski. W 1873 roku gazety informowały, że w majątku Walichnowy zdarzył się smutny wypadek. Dwóch chłopców, jeden lat 11, drugi 8 liczący, wybrało się wieczorną porą ze świecą do obory, w celu wybierania wróbli i przez nieostrożność wzniecali tam pożar, sami zaś strwożeni ogniem, schowali się pod siano, skutkiem czego zostali spaleni na węgiel. W 1903 roku na skutek ulew i powodzi w powiecie wieluńskim woda poczyniła ogromne spustoszenia, szczególnie w Białej, Wiktorowie, Łyskorni, Walichnowach i Sokolnikach. W odrodzonej Polsce właścicielem majątku była już rodzina Kręskich. W 1922 Józef Kręski przystąpił do Spółki Drzewnej i Budowlanej w Wieluniu, której celem było „prowadzenie handlu drzewem i materiałami budowlanymi oraz ich sprzedaż na warunkach komisowych”. To biznesowe przedsięwzięcie zakończyło się zupełną finansową kląpą. Spółka zbankrutowała a majątek Józefa Kręskiego został wystawiony na licytację. Pałac, park, budynki gospodarcze, cegielnię i ponad 200 hektarów ziemi nabył w drodze licytacji Zygmunt Kołodziejski (1903 – 1990). Był on ostatnim dziedzicem w Walichnowach. Dobry gospodarz i sprawny administrator, miał także pewne ambicje bycia mecenasem sztuki. W miarę swych możliwości wspierał i promował młodych i utalentowanych malarzy, głównie ze środowiska krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Często gościł w swym domu profesorów i studentów tej uczelni. Miedzy innymi Józefa Mehoffera oraz jednego z jego najzdolniejszych studentów, pochodzącego z Kalisza Mieczysława Kościelniaka. Mieczysław Kościelniak (1912 – 1993), spędzał w Walichnowach kolejne wakacje w latach 1937 – 1939. Portretował gospodarza a także pozostawił po sobie kilka obrazów przedstawiających walichnowski pałac o różnych porach roku. Doskonale rozwijającą się karierę artystyczną młodego malarza przerwał wybuch II Wojny Światowej. Mieczysław Kościelniak został powołany do wojska. Brał udział w bitwie nad Bzurą we wrześniu 1939 roku. Ranny podczas walk w obronie Warszawy trafił do niemieckiej niewoli, skąd zbiegł w dramatycznych okolicznościach i powrócił do rodzinnego domu w Kaliszu. W rodzinnym mieście zaangażował się w działalność Związku Walki Zbrojnej. Aresztowany przez okupantów w 1941 roku, trafił do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, gdzie spotkał swego dawnego przyjaciela i protektora Zygmunta Kołodziejskiego z Walichnow, który także był więźniem kilku niemieckich obozów zagłady. W dniach 1 i 2 września 1939 roku w pałacu stacjonowało dowództwo Wieluńskich Batalionów Obrony Narodowej. W wyniku działań wojennych pałac został częściowo spalony. W latach 1955 – 1957 przeprowadzono w budynku prace remontowe i adaptacyjne z przeznaczeniem pałacu na siedzibę szkoły. Szkoła podstawowa funkcjonowała tu od 1957 do 2002 roku, kiedy to została przeniesiona do nowego budynku. Obecnie pałac jest własnością prywatną. (Na zdjęciach: pałac w Walichnowach; fotografia z około 1960 roku oraz malarz Mieczysław Kościelniak.)



Lututów

Do końca wierny Ojczyźnie

Jedną z wielu rodzin wyznania ewangelickiego, zamieszkałych do 1945 roku na terenie gminy Lututów, była liczna rodzina Witychów z Piasek koło Lututowa. Ich przodkowie osiedlili się na tych terenach z początkiem XIX wieku i wywodzili się głównie ze Śląska i Saksonii. Nie czuli się Niemcami a raczej uważali się za Ślązaków i Saksończyków. Z pokolenia na pokolenie coraz bardziej wtapiali się w polską społeczność, a jedynym, co różniło ich od mieszkańców tych ziem, pozostała religia. Według sporządzonej w 1939 roku przez starostwo wieluńskie „Powiatowej księgi narodowościowej”, przynależność do narodu niemieckiego na terenie całej gminy Lututów zadeklarowało zaledwie pięć osób. Sytuacja zmieniła się dopiero z chwilą wybuchu II wojny światowej. Po zajęciu Polski przez Niemców gmina Lututów znalazła się w granicach utworzonego przez okupantów tzw. Kraju Warty. Jednym z pierwszych posunięć władz okupacyjnych był spis ludności przeprowadzony na początku 1940 roku. Wynik spisu miał wykazać, jak wysoki jest procent mniejszości niemieckiej na zajętych terenach. Mieszkańcy w trakcie spisu odpowiadali na pytania o przynależność narodową, język ojczysty i wyznanie. Ludność wyznania ewangelickiego poddawana była niejednokrotnie brutalnym naciskom w celu przyjęcia niemieckiej listy narodowościowej.

Deklarując niemiecką przynależność narodową ludzie ci kierowali się różnymi motywami. Jedni, zauroczeni potęgą i propagandą III Rzeszy oraz sukcesami Hitlera,

zapragnęli stać się częścią niemieckiej wspólnoty narodowej. Drudzy, przerażeni skalą prześladowań ze strony władz okupacyjnych deklarowali narodowość niemiecką aby uniknąć spodziewanych represji i wywłaszczenia. W ten sposób na terenie ówczesnej gminy Lututów, z pięciu osób deklarujących narodowość niemiecką latem 1939 roku, w styczniu 1940 uzbierało się prawie półtorej setki Niemców. Jednak nie wszyscy ochoczo, czy też pod przymusem, podpisali osławioną volkslistę. Jedną z takich osób był Herman Witych. Urodził się 25 maja 1913 roku. Uczył się w szkołach w Lututowie i Wieluniu. Służbę wojskową odbył w 27. Pułku Piechoty w Częstochowie, gdzie ukończył Szkołę Podchorążych i uzyskał stopień oficerski. Oficer rezerwy, porucznik Herman Witych odmówił podpisania niemieckiej listy narodowościowej. Nie skusiły go ani obietnice, ani szykany. „Wychowałem się na polskim chlebie i jestem Polakiem. Jaki więc ze mnie Niemiec?” – odpowiadał na nalegania w sprawie zadeklarowania przynależności do narodu niemieckiego. Aresztowany, został przewieziony do Głazu w gminie Galewice, gdzie został zamordowany przez Niemców w do dziś nie wyjaśnionych okolicznościach 29 maja 1942 roku. Pochowano go na skraju lasu przy drodze z Głazu do Pędziwiatrów. Kwestia zbeczeszczenia ciała porucznika Hermana Witycha tuż po wojnie, mogłaby stać się treścią kolejnego artykułu.

Dziś doczesne szczątki tego do końca wiernego Ojczyźnie polskiego oficera spoczywają na cmentarzu w Lututowie.



Brzózki

Wiktoria znad Węglewskiej Strugi

Długie i ciekawe życie Wiktorii zaczęło się jeszcze w XIX wieku, a dokładnie w 1899 roku. W tym przedostatnim roku dziewiętnastego wieku Wiktoria przyszła na świat w małej wiosce o nazwie Okoń rozłożonej wzdłuż Węglewskiej Strugi. Tak, jak dla Stefana Żeromskiego rzeka Łososina była „wierną rzeką” a góra Radostowa „domową górą”, tak dla Wiktorii Struga Węglewska była „domową rzeką”. To nad nią koncentrowało się życie stojącego nad brzegiem jej rodzinnego domu. To z „domowej rzeki” brano wodę do picia i gotowania, to w niej łowiono ryby, szukano ochłody w upalne dni, moczono zebrany z pola len i kąpano owce przed wiosennym strzyżeniem. To Węglewską Strugą płynęły misternie splecione wianki w świętojańską noc.

Z corocznym wiosennym kąpaniem owiec, którym najczęściej zajmowały się dzieci, związana jest ciekawa, kryminalna historia. Było to jeszcze przed pierwszą wojną światową, gdzieś około 1907 roku. W pobliżu przebiegała granica pomiędzy Rosją a Niemcami, gęsto usiana siecią rosyjskich strażnic granicznych i garnizonów. W pobliskim Głazie stacjonujący tam Rosjanie hodowali gęsi. Był to dość dochodowy interes, gdyż gęsiną była towarem poszukiwanym i chętnie kupowanym przez Żydów, którzy gęsto zaludniali okoliczne miasteczka i wsie. Pewien mieszkający w Biadaszkach Żyd, Mordechaj Rybka, trudniący się handlem gęsiami, wybrał się był pewnego jesiennego dnia ze sporą sumą gotówki do garnizonu po zakup kolejnej partii tak pożądanego dla smacznego mięsa ptactwa. Wyszedł z domu i słuch po nim zaginął. Wszelkie poszukiwania przez rodzinę i policję nie dawały rezultatu przez całą zimę.

Dopiero na wiosnę, podczas kąpania owiec dzieci, wśród nich i Wiktoria, natrafiły w zakolu rzeki na ciało topielca. Okazało się, że był to ów poszukiwany od jesieni handlarz gęsiami. Zjechała policja i lekarz, który na miejscu przeprowadził sekcję zwłok, by ustalić przyczynę i okoliczności śmierci kupca. Jak wykazały badania, handlarz gęsiami zanim trafił w nurty Węglewskiej Strugi został najpierw pozbawiony życia i pieniędzy. Morderców nigdy nie odnaleziono a ofiarę rodzina pochowała na żydowskim cmentarzu w Lututowie, bo do tej właśnie żydowskiej gminy przynależeli starozakonni z Węglewic, Biadaszek i Ostrówka.

Lututów zawsze nazywany był miastem, choć miasto przypominał tylko z pozoru. Rynek, kościół, kilka ulic, wystawna synagoga, kilka żydowskich chederów – to wszystko, co nadawało tej miejscowości miejskich pozorów. Ale najważniejszym wydarzeniem był cotygodniowy czwartkowy targ. W każdy czwartek ciągnęli tu mieszkańcy wszystkich okolicznych miejscowości, jeśli nie w celach handlowych to przynajmniej towarzyskich. Aby podróż nie była zbyt uciążliwa i monotonna, mniej więcej w połowie drogi do „miasta” stała karczma „Na Bąku”, gdzie obowiązkowo zatrzymywano się na krótki popas, a w drodze powrotnej na dłużej. Drogę tą przemierzała Wiktoria od wczesnego dzieciństwa do późnej starości, chociaż nie było już karczmy „Na Bąku” a prowadzący do „miasta” trakt stracił swoje znaczenie i stał się zwykłą polną drogą.

I wreszcie szkoła w Węglewicach. Szkoła z rosyjskim językiem wykładowym, która, mimo to, otwarła przed Wiktorią świat wiedzy, poznania, ciekawość ludzi i nowych rzeczy. To

do szkoły przyjechał pierwszy kinematograf i tu oglądano tuż przed pierwszą wojną światową nieme jeszcze filmy. To ze szkolnego podwórka obserwowano latem 1914 roku przelot „Zeppelinów” z zachodu na wschód. To tu stawiano pierwsze litery, początkowo jeszcze na łupkowych tabliczkach. Wojna pokrzyżowała dalsze plany edukacyjne Wiktorii. Najbliższe miasto gubernialne ze szkołami, gimnazjami i pensjami - Kalisz, zostało przez Niemców zbombardowane i spalone. Te tragiczne chwile opisała Maria Dąbrowska w „Nocach i dniach”. Były one także udziałem Wiktorii. Obydwie przecież były córkami tej precudnej ziemi nad Prosną i Węglewską Strugą.

Wiktorii była osobą bardzo wrażliwą i doskonałą obserwatorką przyrody. Nasze wyprawy nad rzekę, najczęściej po młode pokrzywy dla prosiąt i drobiu, zamieniały się w mej dziecięcej wyobraźni w magiczne podróże po odległych krainach. Gdy odpoczywaliśmy nad brzegiem cicho szmerzącej rzeki, Wiktorii dawała mi swoiste lekcje geografii, tłumacząc cierpliwie, że Struga Węglewska wpada do Prosną, Proсна do Warty, Warta do Odry, a ta ostatnia do morza, skąd popłynąć można do najdalszych krain. Naczytawszy się o przygodach Robinsona Cruzoego zastanawiałem się, czy wrzucona do Węglewskiej Strugi butelka z listem miałaby szansę dopłynąć kiedyś do tych najdalszych krańców świata. Wiktorii twierdziła, że to bardzo możliwe. Znała niezliczoną ilość piosenek, wierszy, przysłów, przyśpiewek, powiedzonek, sentencji, tajemniczych prastarych historii, opowieści i magicznych zaklęć. Sama układała także wierszyki i satyryczne piosenki, często po rosyjsku. Po raz pierwszy wyszła za mąż w 1919 roku, by już po siedmiu latach zostać wdową. Kolejny jej mąż zmarł w 1956 roku. Wiktorii urodziła i wychowała sześcioro dzieci: Józefa (1920), Stanisława (1924), Leona (1925), Janinę (1930), Stanisławę (1932) i Eugeniusza (1940). Długie życie nie oszczędzało jej osobistych tragedii. Dwukrotnie owdowiała oraz za swego życia pochowała dwóch swoich synów; Stanisława i najstarszego - Józefa. Całe swe dorosłe życie spędziła w Brzózkach, gdzie też zmarła w 1984 roku. Pochowano ją na cmentarzu w Węglewicach. Jej kondukt pogrzebowy był ostatnim w historii, który te prawie osiem kilometrów piaszczystej leśnej drogi przemierzył na piechotę.

To, kim jestem, jaka jest moja wrażliwość, jak postrzegam otaczającą mnie rzeczywistość, jaki jest mój stosunek do przeszłości, dorobku pokoleń, świata przyrody a przede wszystkim do drugiego człowieka zawdzięczam przede wszystkim jej: Wiktorii znad Węglewskiej Strugi, której wnukiem miałem szczęście być przez pierwsze dwadzieścia lat mojego życia.



Pędziwiatry

Willa na skarpie

Tam gdzie Struga Węglewska krzyżuje się z drogą Galewice – Biadaszki, spotykają się dwie miejscowości; Pędziwiatry i Głaz. Jeśli Głaz ze swym tętniącym życiem Domem Wczasów Dziecięcych TPD jest znany nie tylko w naszym regionie, to Pędziwiatry mijane są najczęściej obojętnie. A wystarczy tylko, jadąc od strony Galewic, skręcić w lewo tuż przed mostem na Węglewskiej Strudze, by przekonać się, jakie to piękne miejsce!

Pędziwiatry rozłożone są wzdłuż lewego brzegu rzeki, pomiędzy jej malowniczą doliną a pasmem wysokich, piaszczystych wzgórz porośniętych sosnowym lasem. Krajobraz tu prawie podgórski. Ma się wrażenie, że za chwilę zza kolejnego wzgórza wynurzą się jeszcze wyższe szczyty. Cała okolica ma w sobie coś z nastroju jakiego doświadczyć można spacerując po ścieżkach i szlakach wokół najbardziej znanych dolnośląskich uzdrowisk i kurortów. Przez całe lato powietrze pachnie tu rozgrzaną słońcem sosnową żywicą i leśnymi ziołami. Prawdziwy Świeradów Zdrój czy inne Duszniki! Piękno tego zakątka zauważono i doceniono już przed wojną. Jednym z tych, którzy już dawno dostrzegli potencjał tego miejsca był Marceł Dąbrowski. Z początkiem lat dwudziestych minionego wieku, pochodzący z Warszawy Marceł Dąbrowski objął stanowisko dyrektora Zakładu Wychowawczo - Poprawczego dla Chłopców ulokowanego w budynkach byłych koszar carskich pograniczników w Głazie. Będąc wcześniej inspektorem zakładu karnego na warszawskim Mokotowie, postanowił z naszymi okolicami związać się już na stałe. W początkach lat trzydziestych XX wieku zakupił tu działkę i zbudował okazałą willę na wysokiej, nadrzecznej skarpie. Do swego miejsca pracy miał stąd nie dalej niż kilkaset metrów. Z racji tego, że willa ulokowana jest na lewym brzegu Strugi Węglewskiej, administracyjnie należy już do wsi Pędziwiatry, chociaż do dziś kojarzona jest głównie z leżącym na drugim brzegu rzeki Głazem. Spokojne życie w willi nad rzeką zakończyło się dla całej rodziny Dąbrowskich z chwilą wybuchu II Wojny Światowej. Marceł Dąbrowski jako szef tej penitencjarno – wychowawczej placówki ewakuował się wraz z wychowankami na wschód Polski. Zdrowotne walory tego miejsca zauważyli także Niemcy. W czasie okupacji willa wraz z budynkiem dzisiejszego Domu Wczasów Dziecięcych stanowiła kompleks szpitalny, w którym leczono chorych na gruźlicę. Po wojnie w willi Dąbrowskich znalazła siedzibę szkoła podstawowa. Dzieci z wielu okolicznych miejscowości pobierały tu naukę od jesieni 1945 roku aż do końca lat sześćdziesiątych zeszłego stulecia, kiedy to wybudowano i oddano do użytku nowoczesny jak na owe czasy budynek szkolny w Biadaszkach. Chociaż szkoła mieściła się w willi Dąbrowskich zaledwie nieco więcej niż dwie dekady, przez kolejne pół wieku miejsce to kojarzono już zawsze z siedzibą oświatowej placówki, którą popularnie nazywano „szkołą na Głazie”.

Dziś ci, którzy uczyli się w tym budynku mają już prawie po siedemdziesiąt lub więcej lat. Dawny dom rodziny Dąbrowskich także ma już innego właściciela. Mimo tych wszystkich zmian i upływu czasu, w Pędziwiatach nadal jest pięknie. Utwardzone drogi i leśne ścieżki czekają na każdego, kto potrafi docenić piękno krajobrazu i niepowtarzalny klimat tego zakątka gminy Galewice.



Biadaszki

Czas zatrzymany

Pięćdziesiąt lat temu, a może i dawniej, jakiś niezbyt profesjonalny fotograf zrobił kilka zdjęć wsi Biadaszki. W czarno – białym kadrze zatrzymał krzyż na rozstaju dróg i budynek szkoły. Krzyż w niezmienionej formie stoi tam do dziś. Budynek szkoły rozebrano pod koniec lat siedemdziesiątych zeszłego wieku. Stał przy zakręcie drogi w kierunku Bociana i Głazu. Był bodajże jedynym domem, który ocalał po spaleniu Biadaszek w pierwszych dniach II Wojny Światowej. Dziś na tym miejscu stoi dom w którym jeszcze przed kilku laty funkcjonował wiejski sklep. Według najstarszych przekazów, szkoła w Biadaszkach istniała już około 1880 roku. Budynek szkoły uwieczniony na zdjęciu zbudowano w latach dwudziestych minionego wieku. W okresie międzywojennym i jeszcze dość długo po wojnie pracowało tu nauczycielskie małżeństwo; Irena i Roman Dziukowie. W latach 1939 – 1945, gdy szkoła została zamknięta przez niemieckich okupantów, Irena Dziuk była jedną z wielu polskich nauczycielek zaangażowanych w tajne nauczanie. Roman Dziuk, oprócz nauczania, z pasją zajmował się prowadzeniem szkolnej orkiestry dętej. Dziś już trudno sobie wyobrazić, jak przebiegała nauka w tej szkole składającej się z jednej izby lekcyjnej i skromnego mieszkania dla nauczyciela. W okresie międzywojennym Biadaszki były jedną z największych wsi w gminie Galewice. W 1939 roku mieszkało tu 645 osób. Dla porównania należy dodać, że w tym samym czasie Galewice liczyły 1142 mieszkańców a Osiek aż 1680.

Po wojnie wieś nieco się wyludniła. Ci, którzy przeżyli, stopniowo odbudowywali swe domy i gospodarstwa. W 1958 roku ówczesny pierwszy sekretarz KC PZPR Władysław Gomółka rzucił z partyjno – rządowej trybuny hasło „tysiąc szkół na Tysiąclecie Państwa Polskiego”. Nazwę „szkół tysiąclecia” powiązano ze zbliżającymi się obchodami 1000-lecia Państwa Polskiego, przypadającymi na 1966 rok. W ramach tej akcji rozpoczęto także wznoszenie nowego budynku szkolnego w Biadaszkach. Większość szkół tysiąclecia powstała wedle założeń architektury modernistycznej, która nie była wcześniej stosowana w Polsce zbyt powszechnie. Nowe gmachy szkolne wyróżniały się płaskimi dachami, dobrze oświetlonymi pomieszczeniami oraz wyraźnie zaakcentowaną przestrzenią do rekreacji poza budynkiem. W tym właśnie modernistycznym stylu zbudowano także szkołę w Biadaszkach, oddaną do użytku pod koniec lat sześćdziesiątych XX wieku. Pierwszym kierownikiem nowo oddanej placówki został Stefan Strózik. Nowa szkoła nie miała jednak szczęścia i nie zaznała spokoju. Pierwszy zamach na tą oświatową placówkę nastąpił już w 1975 roku. Ówczesne władze PRL, postanowiwszy wprowadzić wzorowany na radzieckim system kształcenia, podług którego uczniowie mieli uczęszczać do szkoły podstawowej przez 10 lat, zmniejszyły tutaj ilość klas, tworząc tzw. „zbiorcze szkoły gminne”. W wolnej Polsce, po 1989 roku znowu rozpoczęto eksperyment oświatowy, tworząc trzyletnie gimnazja. Także tym razem za wzór posłużył system szkolny naszych wschodnich sąsiadów. Oczywiście nie ten potępiony sowiecki, komunistyczny, ale ten praktykowany w Rosji jeszcze za carskich czasów, doskonale opisany przez Stefana Żeromskiego w „Syzyfowych pracach”. Gdy wreszcie się opamiętano, było już za późno. Szkołę zupełnie zlikwidowano pod koniec drugiej dekady obecnego wieku. Drugie zdjęcie przedstawia krzyż na rozstaju dróg. Rozstaju, z którego można dojechać do Fóluszczyk i Ciupków lub też do wsi Olendry i Zataje. Z perspektywy robiącego to zdjęcie na drugim planie widać ruiny stodoły i stary, kryty strzechą dom. Dziś na tym miejscu stoi budynek remizy miejscowej Ochotniczej Straży Pożarnej. Na obydwu zdjęciach zatrzymano czas, który doskonale pamiętam. Możliwe, że tych zdjęć było więcej.

Mnie najbardziej brakuje jednego, przedstawiającego bardzo charakterystyczne miejsce w tej wsi. Zdjęcia figury Matki Boskiej, która stała na wyniosłym cokole w kępie bzów, mniej więcej w miejscu dzisiejszego pamiątkowego kamienia poświęconego rocznicy spalenia wsi przez niemieckie wojska w 1939 roku. Spod tej figury rozchodziły się ważne drogi do Węglewic, Ostrówka, Galewic oraz Grobelek i Lututowa. Dziewiętnastowieczna figura jakimś cudem przetrwała wojny, niemiecką okupację i czasy komuny. Dziś ocalona, zdobi fronton zbudowanej tu w połowie lat osiemdziesiątych zeszłego wieku kaplicy. To miejsce jest dla mnie najważniejsze. To na placu, gdzie przed kilkudziesięciu laty wzniesiono kaplicę, wcześniej stał dom mojego dziadka a także pradziadka. Dom rodziny Szymańskich, mieszkających tu od wielu pokoleń. Ale to już czas dawno miniony. Przeszły. Zatrzymany jedynie w mojej pamięci i na kilku starych fotografiach.



Żelazo

Wyprawa do miejsc zastygłych

Żelazo to wieś na skraju pełnej lasów, uroczysk, moczarów i pełnej nieskażonej, dzikiej natury gminy Galewice. Żelazo jest miejscem zastygłym. Zawieszonym i niejako uwięzionym, pomiędzy przeszłością a teraźniejszością. Obok Kalet, jest jedną z dwóch ostatnich wiosek tej uroczej gminy, które mimo tego, że XXI wiek wkroczył już w trzecią dekadę, nadal nie doczekały się cywilizowanego połączenia drogowego ze światem. Zamiast asfaltu, na drogach do Żelaza nadal króluje piach, gdzieniegdzie kamienny tłuczeń, dziury, koleiny i zapadliska. Wieś składa się z dwóch, niezbyt oddalonych od siebie części, rozłożonych po obydwu stronach prastarego traktu, biegnącego od Węglewic, przez Biadaszki do Lututowa. Jadąc od strony Biadaszek trzeba najpierw przejechać po chybottliwym, drewnianym moście na wąskiej jeszcze w tym miejscu Strudze Kraszewickiej a następnie skrócić w lewe rozwidlenie wyboistego traktu, by wreszcie dojechać do pierwszego skrzyżowania tych śródleśnych dróg. Skracając w lewo dotrzemy do kilku domostw rozłożonych wzdłuż drogi biegnącej u podnóża porośniętego sosnowym lasem pagórka, niekiedy nazywanego Żelazową Górą. Droga w prawo zaprowadzi nas do drugiej części wsi.

Miejsca o niesamowitym klimacie, uroku i prastarej historii. Miejsca po niegdysiejszym folwarku Żelazo, należącym w dawnych czasach do rozległych dóbr węglewskiego dominium. Centralne miejsce zajmuje budynek dawnego dworu. Podobnych szukać dziś można jedynie gdzieś w zapadłych zaściankach Podlasia czy Suwalszczyzny. Zachowany do dziś w dobrym stanie dwór w Żelazie to nie pałac czy murowany, stylowy, wiejski dworek lecz budynek w jakich jemu podobnych zamieszkiwało w przeszłości drobne ziemiaństwo w licznych wioskach nad Węglewska Strugą i Prosną. Wielokrotnie remontowany, poprawiany i naprawiany, ostał

się w swej niemal oryginalnej postaci, której początków szukać trzeba by jeszcze w pierwszej połowie XIX wieku. Dwór w Żelazie to drewniany, rozłożysty, parterowy budynek ustawiony na osi wschód – zachód, z kilkoma wejściami i oknami patrzącymi na wszystkie cztery strony świata. Obok obszerna, stara stodoła i kilka budynków gospodarczych, powstałych już w nieco bliższych nam czasach. Dwór i całe gospodarstwo od wielu pokoleń należy do rodziny Cegielskich i jeszcze kilkanaście lat temu był zamieszkały przez cały rok. Dziś to raczej miejsce letniego wypoczynku potomków jego dawnych właścicieli i gospodarzy. To w tym domu jesienią 1941 roku ukrywał się ksiądz Bolesław Sokół z Ostrówka po swej brawurowej ucieczce w momencie próby aresztowania go przez niemiecką żandarmerię. Nie był to koniec wojennych dramatów, jakich świadkiem było to miejsce. W dniu 20 listopada 1943 roku w pobliżu dworu niemieccy żandarmi z posterunku w Węglewicach zamordowali mieszkańca wsi Żelazo Walentego Zimnego, który zbiegł z robót przymusowych i ukrywał się w pobliżu swego rodzinnego domu. Nieco więcej o przeszłości tego miejsca możemy dowiedzieć się z wydanego pod koniec XIX wieku i prawie zawsze niezawodnego „Słownika geograficznego Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich”. Autorzy słownika pod hasłem „Żelazo” podają, że jest to „folwark i osada włościańska nad błotami w powiecie wieluńskim, w gminie Lututów, parafii Cieszęcin, oddalona od Wielunia o 33 wiorsty. Ma 8 domów i 69 mieszkańców. W 1827 roku było 6 domów i 48 mieszkańców”. Nieco więcej informacji, głównie statystycznych, z drugiej połowy XIX stulecia, przynosi opis folwarków należących do dóbr w Węglewicach, także zamieszczony w jednym z tomów rzeczonoego słownika. Według tego opisu, w drugiej połowie XIX wieku na folwark Żelazo składało się 226 mórg gruntów ornych, 82 morgi łąk, 355 mórg pastwisk, 8 mórg lasu i 36 mórg nieużytków. Natomiast sama wieś Żelazo, nazwana w słowniku „osadą włościańską”, liczyła sześć gospodarstw chłopskich o łącznej powierzchni 119 mórg. Według współcześnie obowiązującego systemu miar, na jedno gospodarstwo w Żelazie przypadało w tamtych czasach około 10 hektarów. W czasach, gdy folwark Żelazo należał do dóbr w Węglewicach, podstawą gospodarki była tu hodowla owiec, głównie dla pozyskania wełny. Wypasano je na należących do folwarku pastwiskach, nieużytkach i w lasach. Wyobrażenie o skali hodowli owiec w folwarku Żelazo można mieć dopiero po zapoznaniu się ze spisem inwentarza dóbr węglewickich, sporządzonym w 1861 roku, po śmierci właściciela tego rozległego majątku; Antoniego Sulimierskiego. Podano tam, że na folwarku w Żelazie było podówczas „400 skopów starych i 100 baranów”, co po doliczeniu matek daje około sześćset sztuk tej rogacizny. Wbrew pozorom, na szereg informacji o tej, wydawało by się mało komu znanej wiosce, natknąć się można w wielu opracowaniach książkowych. Sporo miejsca poświęca jej „Katalog zabytków budownictwa przemysłowego” pod redakcją Bohdana Baranowskiego, wydany pod koniec lat sześćdziesiątych minionego wieku. Wioska trafiła na karty katalogu za sprawą swej nazwy, którą powiązano z dziejami pradawnej metalurgii na terenach dorzecza górnej Prosnicy i związaną z tym eksploatacją pokładów rudy darniowej, występującej także w okolicach wsi Żelazo. W owym katalogu można wyczytać, że; „według dość niepewnej miejscowej tradycji już jakoby bardzo dawno temu na łąkach tej wsi wydobywano rudę darniową. W 1937 roku zorganizowane zostało na łąkach wydobywanie rudy metodą odkrywkową, na niewielkich głębokościach. Odwożona ona była wozami do stacji kolejowej i następnie wysyłana wagonami do Częstochowy lub na Śląsk. Podobno wydobywano rudę jeszcze w pierwszych latach okupacji hitlerowskiej. Później

pokłady te nie były już eksploatowane. Obecnie zachowały się jeszcze na łąkach tej wsi ślady po odkrywkowym wydobyciu rudy.”

Dziś trudno wskazać, gdzie owe „ślady” miały by się znajdować. Jednak niezależnie od stopnia ścisłości zawartej w katalogu wzmianki, odwiedzając dziś to przepiękne miejsce na każdym kroku można natknąć się na ślady jego ciekawej, nie tylko metalurgicznej, przeszłości.



Bibliografia

1. Anders P., Województwo kaliskie. Szkic monograficzny, Poznań 1983.
2. Anders P., Województwo kaliskie. Obiekty i walory krajoznawcze, Poznań 1990.
3. Anders P., Nieznana Wielkopolska, Poznań 1992.
4. Bakalarczyk S., Magia żelaza, Wieluń 1990.
5. Baranowski B., Gospodarstwo chłopskie i folwarczne we Wschodniej Wielkopolsce w XVIII wieku, Warszawa 1958.
6. Baranowski B., W kręgu upiorów i wilkołaków, Łódź 1981.
7. Baranowski B., Wielki proces o czary miłosne w Praszce w 1665 r.; Łódzkie Studia Etnograficzne, T. IV, 1962.
8. Baranowski B., Katalog zabytków budownictwa przemysłowego w Polsce. T. IV, Warszawa 1969.
9. Baranowski B., Polskie młynarstwo, Wrocław 1977.
10. Battek M., Słownik nazewnictwa krajoznawczego polsko niemiecki, niemiecko – polski, Wrocław 1989.
11. Bohm T., 1 Pułk Kawalerii KOP w wojnie obronnej 1939 roku, Warszawa 2011.
12. Ciekliński Z., Zabytki Ziemi Wieluńskiej, Łódź 1963.
13. Cygański M., Mniejszość niemiecka w Polsce w latach 1918 – 1939, Łódź 1962.
14. Czaplński M., Historia Śląska, Wrocław 2002.
15. Czubiński A., Zbrodnie hitlerowskie na Ziemi Kaliskiej w latach 1939 – 1945, Kalisz 1979.
16. Czernik S. Okolica poetów, Poznań 1961.
17. Czernik S., Stare złoto. O polskiej pieśni ludowej, Warszawa 1962.
18. Dąbrowski H., Kalety – Podzamcze 1926 – 2006, Warszawa 2006.
19. Dekowski J., Strzygi i topieluchy, Warszawa 1987.
20. Diecezja Kaliska. Parafie – Kościoły – Kaplice, Kalisz 2016.
21. Dura K., Mieleszyn nad Prosną. Zarys dziejów 1234 - 2009, Wrocław 2010.
22. Durczykiewicz L., Dwory polskie w Wielkim Księstwie Poznańskim, Poznań 1912.
23. Gąsiorowski A., Urzędnicy łączyccy, sieradzcy i wieluńscy XIII – XV wieku, Wrocław 1985.
24. Hawranek F., Udział ziem dorzecza górnej Prosnicy w plebiscycie i powstaniach śląskich, Opole 1971.
25. Horbacz T., Między północą a południem. Sieradzkie i wieluńskie w późnym średniowieczu i czasach nowożytnych, Sieradz 1993.
26. Hrabar R., Lebensborn, czyli źródło życia, Katowice 1975.
27. Hozakowski J., Żywoty świętych pańskich na wszystkie dni całego roku, Poznań 1912.
28. Iwańska A., Potyczki i przymierza. Pamiętnik 1918 – 1985, Warszawa 1993.
29. Iwański A. Senior., Pamiętniki 1832 – 1876, Warszawa 1968.
30. Iwański A. Junior., Wspomnienia 1881 – 1939, Warszawa 1968.
31. Iwaszkiewicz J., Książka moich wspomnień, Kraków 1968.
32. Jakubowski J., Katalog zabytków sztuki w Polsce, T. II, Warszawa 1954.
33. Janiszewski J., Powiat kępiński z mapką powiatu. Na podstawie różnych źródeł, Kępno 1928.

34. Katalog kościołów i duchowieństwa Diecezji Częstochowskiej na rok 1939, Częstochowa 1939.
35. Katalog kościołów i duchowieństwa Diecezji Częstochowskiej na rok 1947, Częstochowa 1947.
36. Klatka N., Wieluński wrzesień 1939, Wieluń 2006.
37. Koczy L., Dzieje miasta Wieruszowa, Wieruszów 2013.
38. Kopańska M., Sekrety Wielunia, Praszki i Wieruszowa, Łódź 2017.
39. Królikowski J., Społeczno – kulturowe podstawy gospodarowania przestrzenią, Warszawa 2001.
40. Książek J., Lata dwudzieste, lata trzydzieste w powiecie wieluńskim, Wieluń 1998.
41. Kula W., Szkice o manufakturach w Polsce w XVIII wieku, Warszawa 1956.
42. Langner D., Bursztynowym szlakiem drewnianych kościołów, Warszawa 2015.
43. Lewik R., Siedem wieków Wielunia, Warszawa 1987.
44. Lustracja województw wielkopolskich i kujawskich 1616 - 1620, Wrocław 1994.
45. Lustracja województw wielkopolskich i kujawskich 1659 – 1665, Toruń 1996.
46. Lustracja województw wielkopolskich i kujawskich 1789, Toruń 2007.
47. Maciejewski J., Z Paulinami przez wieki, Wieruszów 2002.
48. Maciejewski J., Almanach Ziemi Wieruszowskiej, Wieruszów 2004.
49. Maciejewski J., Nad Prosną i Niesobią, Wieruszów 2005.
50. Maciejewski J., Gaj liści palmowych dla erudyty, Wieruszów 2006.
51. Mikołajczyk A., Zapomniana średniowieczna mennica w Wieluniu, Wieluń 1987.
52. Milczarek J., Produkcja górnictwa i hutnictwa żelaznego w Wieluńskim w XIX i pierwszej połowie XX wieku; Rocznik Łódzki, T. XXIX, 1980.
53. Milczarek J., Powstanie Styczniowe w Sieradzkim, Sieradz 1983.
54. Olejnik T., Powstanie Styczniowe na Ziemi Wieluńskiej, Wieluń 2013.
55. Olejnik T., Przeszłość administracyjna Ziemi Wieluńskiej, Wieluń 1996.
56. Olejnik T., Pieczęcie i herby miast ziemi wieluńskiej, Łódź 1971.
57. Olejnik T., Sześć wieków Lututowa. Studia i materiały, Wieluń 2007.
58. Olejnik T., Zagłada ludności żydowskiej w powiecie wieluńskim w latach okupacji hitlerowskiej; Rocznik Łódzki, T. XXIX, 1980.
59. Oxiński J., Wspomnienia z powstania polskiego 1863 – 1864, Warszawa 1965.
60. Pawelec A., Wspomnienia z lat młodości i II wojny światowej, Wieluń 2006.
61. Pietrzykowski J., Walka i męczeństwo, Warszawa 1981.
62. Polski Słownik Biograficzny, T. II, Kraków 1936.
63. Regulski R., Dzieje Ochotniczej Straży Pożarnej w Węglewicach 1911 - 2011, Węglewice 2011.
64. Regulski R., Węglewice dawniej i dziś, Węglewice 2007.
65. Regulski R., Chrystusowy znak w Węglewicach, Węglewice 2017.
66. Rosin R., Siedem wieków Wielunia. Studia i materiały, Łódź 1987.
67. Rosin R., Ziemia wieluńska w XII – XVI w. Studia z dziejów osadnictwa, Łódź 1961.
68. Rosin R., Słownik historyczno – geograficzny Ziemi Wieluńskiej w średniowieczu, Warszawa 1963.
69. Rosin R., Corpus Inscriptionum Poloniae, Warszawa 1981.
70. Sadowski T., Książęta opolscy i ich państwo, Wrocław 2001.

71. Seweryn T., Kapliczki i krzyże przydrożne w Polsce, Warszawa 1958.
72. Sinko K., Szlakiem Polski murowanej Kazimierza Wielkiego, Lwów 1934.
73. Skowroński T., Pamiętniki 1914 – 1939, Pruszków 1999.
74. Słownik biograficzny Wielkopolski południowo – wschodniej. T. I, Kalisz 1998.
75. Sulimierski F., Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich, Warszawa 1880.
76. Szczygielski W., Dzieje Ziemi Wieluńskiej, Łódź 1969.
77. Szylak M., Zbigniew Nienacki. Życie i twórczość, Olsztyn 2017.
78. Szymański G., Z okazji jubileuszu 70 – lecia parafii, Ostrówek 1992.
79. Świątkowski P., Polakom i psom wstęp wzbroniony, Poznań 2017.
80. Tomaszewicz A., Życie kulturalne ośrodków miejskich guberni kaliskiej w latach zaborów, Sieradz 1998.
81. Urbański M., Archiwalia archeologiczne z powiatu wieruszowskiego, Wieluń 2006.
82. Wieczorek Z., Oświata rolnicza w rejonie kępińskim i wieruszowskim, Baranów 2002.
83. Wieruszowski słownik biograficzny, Wieruszów 2018.
84. Wilczyński W., Informator wieluński, Wieluń 1935.
85. Wiślicz T., Upodobanie. Małżeństwo i związki nieformalne na wsi polskiej XVII – XVIII wieku, Wrocław 2012.
86. Włodarczyk Z., Wieluńskie w dobie Prus Południowych 1793 – 1806, Wieluń 2005.
87. Wróbel J., Żelazko J., Wojskowy sąd rejonowy w Łodzi, Warszawa 2004.
88. Zabłocki W., Borusowe bajania, Lututów 2008.
89. Zaleski W., Święci na każdy dzień, Warszawa 1989.
90. Zbrodnie Wehrmachtu w Wielkopolsce, Kalisz 1986.
91. Ziętara K., Wieruszów i okolice, Kalisz 1979.
92. Związek J., Katalog kościołów i duchowieństwa Diecezji Częstochowskiej 1978, Częstochowa 1979.
93. Związek J., Dzieje Diecezji Częstochowskiej w okresie II Rzeczypospolitej, Częstochowa 1990.
94. Związek J., Z Ziemi Wieluńskiej do Dachau, Niedziela Nr. 46, 1991.